

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

CENA 1,60 F.

PRIX 14 F.B.

2-9 sierpnia 1970

Rok wydania XIII
Nr 31-32 (667-668)

NUMER PODWÓJNY
WAKACYJNY





AGENCE DE VOYAGES

LENS — Face à la Gare — tél.: 28-24-03 et 28-16-14

PARIS — 48, rue Vivienne — PARIS 2-ème tél.: 508-50-42

METZ — 43-45, rue Serpenoise — 57-METZ tél.: 68-24-01

BRUAY-EN-ARTOIS — 35, rue Ch. Marlard 62-BRUAY-EN-ARTOIS — tél.: 432

GRALLA

LICENCE 530

**PROPONUJE WAM BOGATY PROGRAM WAKACJI W 1970 ROKU
POCIĄGIEM ♦ SAMOLOTEM ♦ STATKIEM ♦ AUTOKAREM**



WYJAZDY GRUPOWE DO POLSKI

— pociągiem:

w każdy poniedziałek z PARYŻA (Gare du Nord) oraz z LILLE do POZNANIA i WARSZAWY

w każdą sobotę z PARYŻA (Gare de l'Est) oraz z METZ (w niedzielę rano) do WROCŁAWIA i KRAKOWA

DO POLSKI SAMOLOTEM

stosując podczas wakacji specjalne ceny

* * *

Si vous désirez d'autres voyages avec séjour ou circuit
PAR AVION au départ de LILLE
BALEARES — TUNISIE — ITALIE — ADRIATIQUE — CORSE
PAR AVION au départ de PARIS
YUGOSLAVIE — BULGARIE — ROUMANIE — etc.
AUTOCARS: Très beaux circuits en France et en Europe
CONSULTEZ VOTRE AGENT DE VOYAGES GRALLA — C'EST D'ABORD UN AMI!

Na zdjęciach: u góry — firma Gralla w Lens. U dołu — ratusz we Wrocławiu.

W DZISIEJSZYM WAKACYJNYM NUMERZE — MIĘDZY INNYMI

- Bez kobiet ani rusz... One organizują nasze wyjazdy do Kraju str. 3-4
 - Samotnie czy we dwoje? (pytanie przed urlopem) „ 5
 - Podczas wakacyjnej wędrówki (co należy zwiedzać we Francji) „ 6-7
 - Kontrasty (różne) „ 8-9
 - Jeden z weekendów (paryskiej rodziny) „ 10
 - Opole 70 — intymnie (podczas Festiwalu Piosenki) „ 11
 - Koncerty w zabytkowej stodole — Filharmonia z Warszawy w Grange de Meslay „ 12-13
 - Umizgi nosorożca do... auta (autentyczne) „ 14
 - Nad Marną w 1914 — Relacja naocznego świadka (kolejny odcinek z cyklu „Dialog z przeszłością”) Edwarda Ligockiego „ 15-16
 - Dzieje jednej z najpiękniejszych kobiet „ 17-18
 - W najdłuższy rejs, czyli Wojciech Żukrowski o Leonidzie Telidze „ 19-20
 - Wybitni Francuzi — potomkowie Polaków (w relacji dr Włoszczewskiego) „ 21
 - Tańczą, grają i śpiewają górale (relacja fotograficzna) „ 22-23
 - Polacy na świecie „ 24
 - Osiemnaście... dwadzieścia... pas! (oczywiście przy kartach) „ 25
 - Polskie okręty w ostatniej wojnie i Zapomniany Kraj (Nowa Gwinea) „ 26
 - W źródło królowej Julianny, Jana Kiepury i licznych pań „ 27
 - Gdzie zdrowia brak — tam o wesołość nie pytaj „ 28
 - J. Wiącek — „Moje wspomnienie o Tadeuszu Brezie” i nowe reportaże pani Bailly o Koperniku i krakowskich szopkach z cyklu „Belgijscy przyjaciele Polski” „ 29
 - List Grzybka o jego „samotnych wakacjach” i Tygodniowa Gawęda Mariana, czyli list z Polski „ 30
 - Rady od serca Pani Anny „ 32
 - Dla pań i o paniach „ 33
 - Pieśniarka Pilar Tomas przed wyjazdem do Polski, Martine: „Ou en êtes-vous dans vos amours?”, Michalinka ma głos: „Rozmawiamy o mo-dzie...” „ 34
 - Sportowe notki, ciekawostki, plotki (dotyczące polskiego sportu) „ 35
 - Heniu pisze z kolonii w Polsce „ 37
 - O Casanovie i jego potomkach oraz Casanova w Warszawie „ 37 i 42-43
 - Dzień jak co dzień: „Na grochu za Béthune” „ 38
- Poza tym: Rozrywki umysłowe ● powieść ● program TV i inne

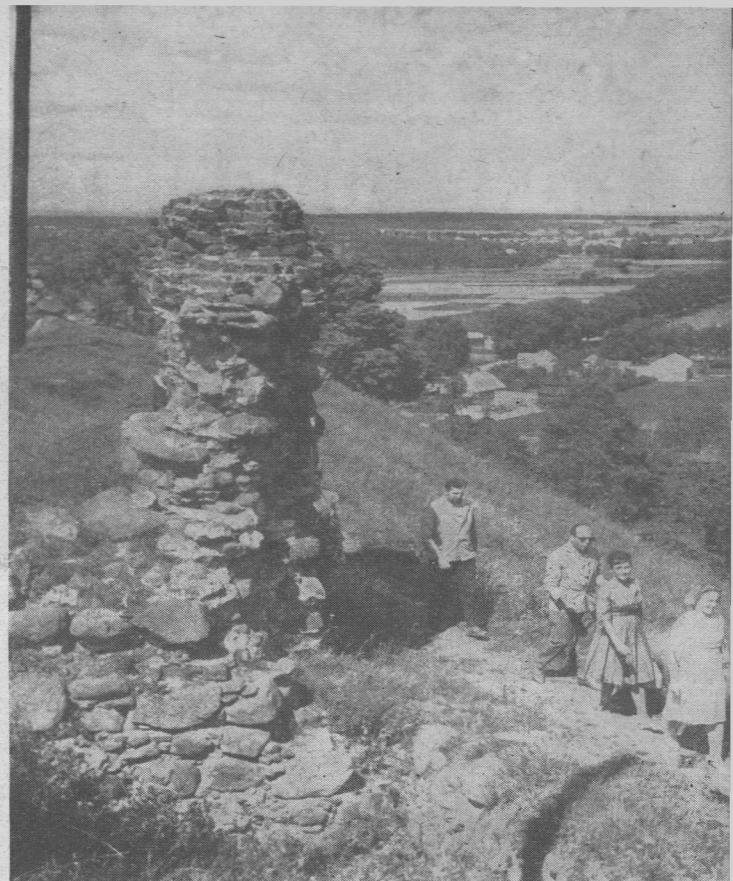
**NASTĘPNY NUMER
„TYGODNIKA POLSKIEGO”
ukaze się z datą 16 sierpnia**

NA WAKACJE!

Zgodnie z dziesięcioletnią tradycją pierwszy sierpniowy numer Tygodnika Polskiego jest numerem wakacyjnym. Wydajemy go — jak w latach poprzednich — w podwójnej objętości. Materiały, jakie w nim zamieszczamy, odbiegają częściowo od normalnej treści, mają bowiem stanowić przyjemną urlopową i rozrywkową lekturę.

Doroczny letni wypoczynek, wszystko jedno jak go przewidzieliśmy w formie, czasie i przestrzeni, każdemu z nas nie tylko się należy, ale jest jak najbardziej potrzebny. Oderwanie się od codziennych kłopotów, trosk i prac przywróci nam w kontakcie z przyrodą nadwątlone zmęczeniem siły, a poznanie nowych regionów, krajów, miast i ludzi wzbogaci naszą wiedzę, wyobraźnię i radość życia. A jeżeli nawet nie skorzystamy w tych dniach z urlopu, to i tak przecież w upalne dni lata, choć każdy z nas prowadzi inny tryb życia, po pracy szuka zetknięcia z naturą — w ogródku, parku, wśród pól, w lesie lub nad wodą. I tu wakacyjny numer Tygodnika Polskiego powinien umilić Wam wypoczynek.

A więc życzymy wszystkim przyjemnej lektury.



BEZ Kobiet ANI RUSZ



Mimo przemęczenia i nawału pracy, pani Gralowa dla wszystkich, którzy z usług biura korzystają, znajduje miły uśmiech i uwagę

SPACER podczas wakacyjnego wypoczynku nie wymaga specjalnego przygotowania, ubioru i wyposażenia. Niewprawnemu turyście daje on jednak pełnię zadowolenia, dużo wrażeń i krajoznawczych korzyści, równych przeżyciom rutynowanego alpinisty w urwistych górach. Na zdjęciu widzimy właśnie taki urlopowy spacer w okolicach miejscowości Kurzętnik w Polsce, która leży na krawędzi pięknej doliny rzeki Drwęcy, w odległości 5 km od Nowego Miasta Lubawskiego w woj. olsztyńskim. Na wzgórzu osiedla zachowały się ruiny zamku Kanoników Chełmińskich (na pierwszym planie), prawdopodobnie z XIII—XIV wieku. Pod zamkiem tym biwakowały wojska Władysława Jagiełły zdążające pod Grunwald.

ONE ORGANIZUJĄ NASZE WYJAZDY DO KRAJU

Kto z Polaków i Francuzów polskiego pochodzenia nie wie w Pas de Calais i na Nordzie, kto to są **panie Gralowa z Lens** i **Broniarzowa z Lille**. I cóż z tego, że dyrektorami znanych biur podróży „Gralla” w Lens i „Express” w Lille są panowie **Gralla** i **Broniarz**; oni są od ogólnych koncepcji przedsiębiorstw, załatwiania wielkich spraw, umów i szerokich powiązań międzynarodowych z innymi biurami, do czuwania nad ekonomiczną stroną całości itp. itp. One zaś — panie domu i jakby programowe kierowniczkę obu biur, pozostają w bezpośrednim kontakcie z szerokimi rzeszami swych klientów, muszą im doradzić, pomóc, wybrać miejscowość wypoczynkową, czas wyjazdu i przyjazdu, hotel czy pensjonat, miejsce na campingu, no i odpowiednio tanio skalkulować, bo któżby chciał drogo płacić...

A wszystko to nie jest takie łatwe.

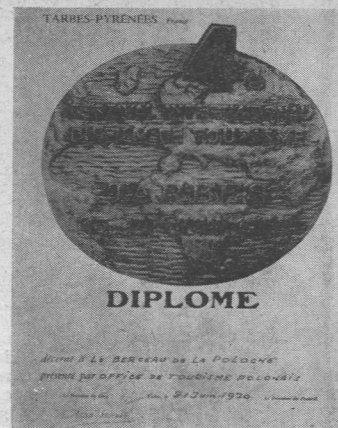
Trzeba się na tym szczegółowo znać. Trzeba znać nie tylko Francję, ale i Polskę, Europę, ba, inne kontynenty. Trzeba się znać na lotnictwie i połączeniach kolejowych, na żegludze morskiej i rzecznej oraz wymianach walut, przepisach celnych i na muzeach, na zdrojowiskach, kąpieliskach i na czytaniu różnego rodzaju rozkładów; wiedzieć gdzie można polować, a gdzie łowić ryby; gdzie plaża jest z piaskiem, a gdzie przyjemnie wyleguje się w cieniu drzew przy śpiewie ptaków; gdzie jest kojąca cisza, a gdzie muzyka nowoczesna z gitarami; komu wybrać morze, a komu zalecić pogórze czy góry wysokie; jak zaszyć się w puszczy i odciąć na czas urlopu od świata i ludzi lub podróżować od miasta do miasta, gdzie turystę nęca zabytki, pamiątki, kulturą, wielki międzynarodowy świat a wreszcie jak najwygodniej w Polsce dojechać do jakiegś tam Dąbrowy czy innej Borowej Woli, skąd pochodzą nasi krewni itp., itp.

Taka praktyczna, światowa wiedza letniskowo-turystyczno-urlopowo-wypoczynkowa wymaga dużego doświadczenia, stałego studiowania problemów podróżniczych i zmian zachodzących w tych dziedzinach w różnych krajach, jednym słowem systematycznego trzymania ręki na pulsie.

Przez obie panie organizowana jest większość naszych wyjazdów do Polski. O obu piszemy i przedstawiamy je w serii zdjęć na następnej stronie w reportażu pod tytułem: **ONE ORGANIZUJĄ NASZE WYJAZDY DO KRAJU**. Bo tak jest rzeczywistość. Przeczytajcie i przyjrzyjcie się zdjęciom. Polonia w Pas-de-Calais może z obu pań być dumna — zwłaszcza kobiety!



Pani Broniarzowa, po usamodzielnieniu się dzieci, poświęciła się pracy zawodowej. Gdy będzie wnuk, mówi, wróć do domu



FILM „WIELKOPOLSKA” NAGRODZONY W TARBES

Podobnie jak w roku ubiegłym, **Polskie Biuro Podróży „Orbis”** wzięło udział również i w tegorocznym **Międzynarodowym Festiwalu Filmu Turystycznego w Tarbes-Pyrénées**. Festiwal ten staje się coraz bardziej popularny i coraz większa ilość krajów co roku jest na nim reprezentowana. W tym roku 36 państw zgłosiło w Tarbes swe filmy.

Zaprezentowany przez „Orbis” film pt. **„Wielkopolska”** (w wersji francuskiej: „Le berceau de la Pologne”) odniósł wielki sukces i został nagrodzony pucharem oraz dyplomem honorowym.

ONE ORGANIZUJĄ NASZE WYJAZDY DO KRAJU

Na pytanie: kiedy i gdzie jedzie się na urlop, najczęściej otrzymujemy odpowiedź: W lipcu. W sierpniu. Wiadomo, że jedzie się do Polski. Na pytanie kiedy wezmą urlop, PANI GRALLOWA z Lens i PANI BRONIAZOWA z Lille nie umiały mi odpowiedzieć. One przede wszystkim organizują nasze wyjazdy na urlop do Kraju. Pociągiem, samochodem, samolotem — jak kto woli. Załatwiają formalności, doradzają, organizują wszystko, by jak najwygodniej ich klienci dojechali do Polski.

W biurach podróży „GRALLA” W LENS i „EXPRESS” W LILLE ruch wciąż duży. I PANI GRALLOWA i PANI BRONIAZOWA nie bardzo miały czas, by odpowiadać na dziennikarskie pytania, a jednak chętnie przystąpiły na naszą wizytę.

Pani Gralłowa od pewnego czasu sama, ze względu na niedomagania zdrowotne męża, kieruje znanym i cenionym biurem podróży „GRALLA”. Od 1932 roku, gdy z mężem założyli to biuro podróży, pracowała wspólnie, jest więc nie tylko świetną specjalistką, ale i dobrze zna swych klientów i klienci ją znają.

Na pytanie, jak wygląda obecnie jej praca w sezonie turystycznym, mimo zmęczenia pani Gralłowa odpowiedziała z uśmiechem:

— W sezonie mój dzień pracy trwa od godziny 8 do 24. Roboty mamy rzeczywiście bardzo dużo. Dopiero wczoraj odjechał zorganizowany przez nas specjalny pociąg do Kraju, w którym udało się w odwiedzinę do Polski 590 osób. Teraz już przygotowujemy następny pociąg. Sporo jest wyjazdów indywidualnych, wiele osób leci też samolotami, no i niektórzy opłacają podróż i sprowadzają na wakacje do siebie rodzinę z Kraju. Kiedy ja wezmę urlop? O tym nie mam czasu myśleć i na ogół niewiele mam czasu na odpoczynek. Może trochę we wrześniu. Rzadko jednak wyjeżdżam na urlop. Ostatni raz byłam przed trzema laty z mężem samochodem w Polsce. Całe moje życie pochłania nasze biuro podróży i organizowanie wyjazdów, głównie do Polski, dla innych...

Rozmowę co chwila przerywają telefony, pytania klientów: Pani Gralłowa, jak załatwić dewizy na carnet de change? Czy w specjalnym pociągu do Polski mogę mieć miejsce w przedziale środkowym? I koniecznie przy okazji z biegiem pociągu?... Czy pieniądze dla mojej żony zostały już wysłane?...

Na każde pytanie pani Gralłowa spokojnie odpowiada, dokładnie zna i pamięta każdą sprawę, tak że każdy klient z zaufaniem powierza jej zorganizowanie swego wyjazdu do Polski, załatwienie formalności. Współpracownicy pani Gralłowej, podobnie jak ona, znają klientów i sprawnie załatwiają ich sprawy.

Na nasze pytanie o urlop pani Broniazowa, kierująca biurem podróży „EXPRESS” w Lille (pan Broniaz zaj-

muje się całością przedsiębiorstwa, nadzorując również agentury i korespondentów w terenie), też nie bardzo umiała odpowiedzieć.

— Na razie — stwierdziła z uśmiechem — w ogóle o tym nie myślimy. Nie mamy czasu. Ale po sezonie postaramy się z mężem gdzieś na dwa tygodnie wyjechać, zaszyć się w jakimś ładnym zakątku i odpocząć. Nigdy nie planujemy, bo zależy, kiedy się praca nasza w sezonie skończy. A teraz na nic nie mam czasu. Pracuję od rana do nocy. Na szczęście, domem zajmuję się mamusia, dzieci są już dorosłe... Bo przede wszystkim jestem szczęśliwą matką. To uważam dla kobiety jest najważniejsze. Jednak gdy przed laty mąż nagle poważnie zachorował, zastąpiłam go z konieczności i teraz już zostałam całkowicie w naszym biurze „EXPRESS”. Wciągnęła mnie ta praca bardzo, znałam ją zresztą i wcześniej, bo zawsze mężowi pomagałam, ale teraz, gdy dzieci wyfrunęły już z domu, te żywe kontakty z ludźmi, możliwość zorganizowania dla nich wyjazdów wakacyjnych, no i przede wszystkim wyjazdów do Polski, daje mi dużo satysfakcji. Polonię tutejszą dobrze znam — sama jestem jej typową przedstawicielką; mąż zaś już przed wojną był przedstawicielem „ORBISU” w Lille, więc dobrze rozumiemy stale wyjazdy wakacyjne Polonii do Kraju. Zaś Francuzom przede wszystkim my, Polacy, możemy przekonywająco i właściwie przedstawić uroki Polski, o której często przecież niewiele wiedzą...

Gdy więc my w sierpniu odpocząwać będziemy w Kraju, spędzać spokojny urlop na wsi u rodziny w Poznańskim, Rzeszowskim, czy Krakowskim, pani Gralłowa i pani Broniazowa nadal kolejnym chętnym na wyjazd do Polski będą doradzały, jak najwygodniej pojechać, załatwiały formalności i życzyły przyjemnej podróży i wakacji w Kraju.

UKA



W dziale polskim Biura Podróży „GRALLA” ruch jest bardzo duży



Pani Gralłowa wraz z córką, z którą współpracuje od lat, w ciągu każdego dnia załatwia sprawy związane z wyjazdami do Polski

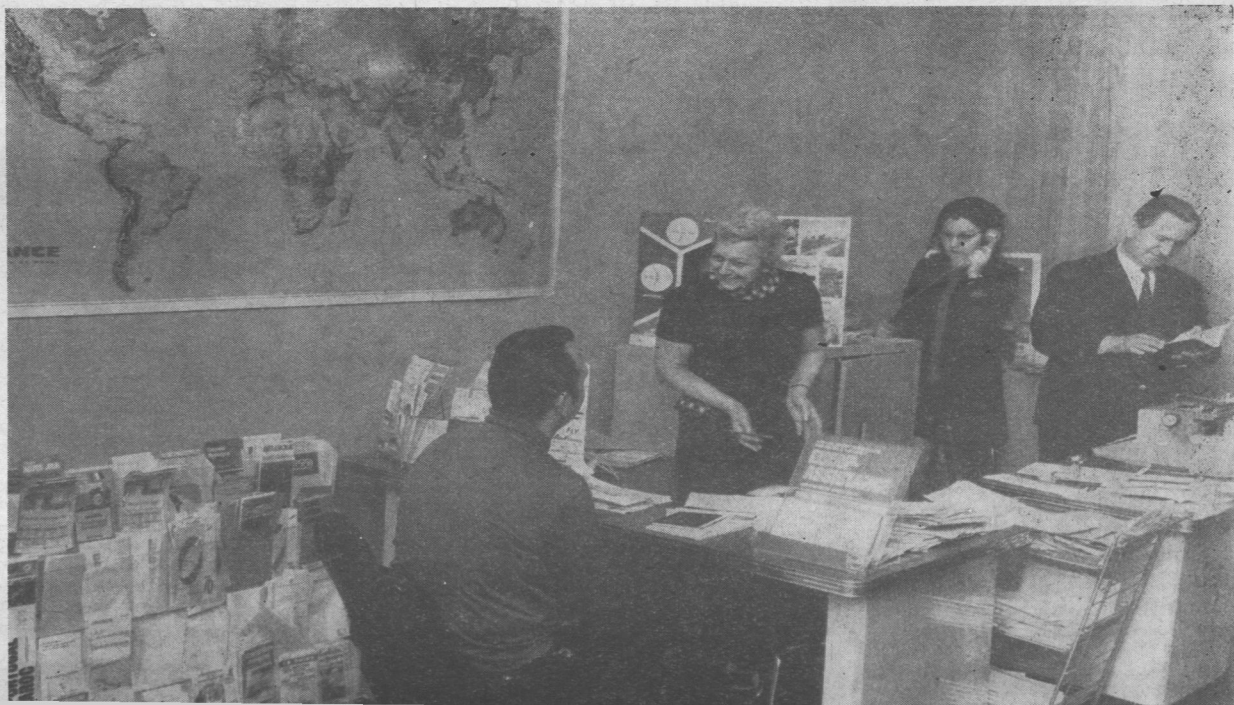


W drugim dziale (podróży zamorskich) sporo młodych, pragnących za pośrednictwem biura „Gralla” poznać świat



Pan Broniaz powierzył żonie biuro w Lille, a sam kieruje całością przedsiębiorstwa. Pracy sporo, ale pan Broniaz zna ją dobrze i bardzo lubi

Pani Broniazowa w Biurze Podróży „EXPRESS” w Lille dla każdego również znajduje uśmiech i cierpliwość. Od początku ubiegłego roku „EXPRESS” znajduje się w Lille w nowym estetycznie urządzonej lokalu





SAMOTNIE CZY WE DWOJE

PYTANIE TO powtórzone zostało za nieżyjącym już poetą polskim Ildefonsem Gałczyńskim. Próby odpowiedzi na to pasjonujące pytanie trwają od bardzo dawna a w ostatnich latach są coraz częstsze. *Samotności* poświęcono tysiące utworów, wylano morze łez i goryczy. Nie fascynowała ona jednak artystów wszelkich dziedzin sztuki w takim stopniu jak miłość — a więc problem *we dwoje*.

Samotni — to zawiedzeni w miłości. Wystarczy przypomnieć Mickiewicza i jego żonę *Marylę*, która gdyby spełniła pokładane w niej przez wieszczka nadzieje, nie dałaby mu chyba inspiracji do najpiękniejszych strof o miłości, w rodzaju: „*Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę, nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę*”... Także *Zygmunt Krasiński* w niezliczonych jeszcze listach do *Delfiny Potockiej* nie pisałby: „*Coś zatrutego, coś bezrozumnego jest w rozdziale dwóch serc kochających się*. Życie obojgu zmienia się wtedy na ciągły nonsens i na wieczną boleść”.

O ironio losu! Wzorzec romantycznej miłości przestał obowiązywać w naszym stuleciu. Dziś kocha się inaczej. A jak? — Spróbujmy sobie odpowiedzieć na to pytanie podczas urlopowego wypoczynku.

Ile niepowtarzalnych uroków mają spacerować we dwoje, a ile w sa-

motności? — Nie znaleziono tu dotąd złotego środka, o czym świadczą między innymi kryzys instytucji małżeństwa, tak mocno niepokojący współczesnych społeczników. Na słowo „*MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA*” wielu ludzi parska śmiechem. Inni próbują dawać recepty dowodząc, że związek przekreśla w ogóle miłość. A tymczasem małżeństwo to instytucja bardzo poważna. Tak poważna że w miarę upływu lat, wielu zapomnia o celu, jaki przyświecał zanim do niego doszło. Miłość zagubiła się gdzieś po drodze do takich przyziemnych spraw jak mieszkanie, pieniądze, samochód itp. Miłość stała się obowiązkiem, a to już wielu nie dogadza. Uważają, że i tak mają dość obowiązków w pracy zawodowej, czy społecznej i że miłość z obowiązkiem to luksus w epoce tempa, lotów kosmicznych, dynamicznego postępu i cywilizacji. Kryzys więc pogłębia się. A życie trwa.

Jesteśmy na upragnionym urlopie — samotnie lub we dwoje, szczęśliwi lub zawiedzeni. Niejeden z tych dwojga marzy o samotnym nadmorskim spacerze, niejedna samotna dziewczyna tęskni do tego, by zostać porwaną na jakiegoś mechanicznego rumaka i nim popędzić *we dwoje* w ciszę letnich pól i lasów... A co potem? — Ktoś powie po latach „*Do szaleństwa kochała, po szaleństwie przestała*”. *Saint Evremond* mówił o tym, że: „*nie szaleństwo jest złe, lecz okoliczności, że tak mato czasu pozostaje na szaleństwo*”.

Zdjęcia: J. KOSIŃSKI, K. BARTOSIEWICZ (4), W. WIEDEŃSKI



Czy naprawdę chcę być samotna?...



Początki we dwoje zawsze są szczęśliwe i rzadko myśli się w uroczystym dniu ślubu co potem... za tydzień, miesiąc, rok

Jedni samotnie, inni... we dwoje. To zależy od nastroju chwili i naszych potrzeb duchowych



Samotność to często tęsknota za przyrodą, za przyjacielem..



Przyjemnie w pojedynkę...

We dwoje wyścig z wiatrem, czasem i przestrzenią



Mapy, plany i przewodniki turystyczne po Polsce nabyć możesz w

la boutique polonaise

25, rue Drouot
Paris 9e

c.c.p. Paris: 189-46-68
téléphone: 770-83-37

Wielki wybór albumów pamiątkowych
z miast i regionów nad Wisłą, Odrą i Bałtykiem

NAFTA ze... ŚMIECI

JESZCZE chyba nigdy nie mówiono o śmieciach. Rosnące ilości alarmują statystyków; przed dalszym beztróskim ich wyrzucaniem np. do mórz i oceanów przestrzegają biologowie; nad sposobem ich niszczenia — łącznie ze spalaniem przy pomocy kontrolowanej reakcji nuklearnej — dyskutują naukowcy.

Istotnie problem jest poważny: cywilizacja techniczna w krajach uprzemysłowionych niesie ze sobą — obok wzrostu produkcji wszelkiego rodzaju dóbr — również wzrost ilości śmieci. I tak np. w USA w skali rocznej wyrzuca się 3,6 mld ton tzw. trwałych odpadów. W minionym roku Amerykanie wyrzucili 50 mld puszek po konserwach, 30 mld butelek i 4 mln ton opakowań plastikowych. Eksperci wskazują przy tym, iż tempo wzrostu ilości śmieci na jednego mieszkańca USA jest większe od tempa przyrostu ludności...

Toteż z ogromnym zainteresowaniem przyjęto wyniki badań amerykańskiego Urzędu Górnictwa, na podstawie których ogłoszono, że śmieci i odpady papierowe mogą się kiedyś stać surowcem do wytwarzania... benzyny i ropy.

Otóż chemicy z Ośrodka Badań nad Węglem, prowadzonego przez Urząd Górnictwa w Pittsburgu, przemienili wilgotne, zmielone odpady i papier w rodzaj surowej ropy naftowej. Urząd wspomniany zakomunikował, że można by z nich uzyskać w drodze rafinacji paliwo oraz inne cenne produkty, gdyby okazało się możliwe budowanie dużych zakładów przetwórczych dla przerabiania wielkich ilości odpadów.

Dotychczasowe próby ogranicza-

ły się bowiem do działań w skali laboratoryjnej. Naukowcy przez 20 minut poddawali obróbce cieplnej mokre, zmielone odpady i papier — tlenkiem węgla i parą, przy temperaturze 370°C w szczelnej komorze. Wskutek tych zabiegów 90 proc. materiałów organicznych w odpadach i papierze przemieniło się w wodę oraz podobną do ropy naftowej substancję, która rozpuszczała się w benzynie. Wytworzono także drobne ilości gazu i popiołu, pozostał również materiał, który nie podlegał przemianie.

Obecnie prowadzi się dodatkowe próby dla ustalenia jakości uzyskanej ropy oraz stwierdzenia czy proces przerobu można ulepszyć.

Na wynik tych badań oczekuje się ze zrozumiałym zainteresowaniem. Stosowane dotychczas sposoby usuwania śmieci przestały wystarczać. Amerykanie wyrzucają bowiem co roku do oceanów ponad 20 mln ton odpadów papierowych, nie licząc ogromnych ilości opon samochodowych, puszek, butelek, opakowań jednorazowych, całej masy odpadów przemysłowych i spożywczych. Smutne następstwa tej beztróski dały już o sobie znać: wody w pobliżu Nowego Jorku, które od dawna są takim wysypiskiem, stały się „morzem martwym”, z dna którego wyginęła cała roślinność i wszystkie żywe organizmy.

*

Ratowanie cywilizacji przemysłowych przed rosnącymi w zastraszającym tempie górami śmieci nie ogranicza się oczywiście do znalezienia sposobu racjonalnego spalania lub przetwarzania odpadów papierowych czy też śmieci zmieszanych z odpadami papierowymi. Kto wie, czy nie więcej kłopotów sprawiają odpady tworzyw sztucznych zapełniające miejskie wysypiska śmieci. Metody spalania ich nie zostały jeszcze na tyle opanowane, by pozbywając się śmieci — nie zatruwać atmosfery. Próbuje się wprowadzić rozdrabnianie je w specjalnych młynach, a potem materiał przemianu wykorzystywać jako napełniacz do mas bitumicznych, stosowanych na nawierzchnie dróg, ale ewentualność ta wymaga jeszcze wielu badań.

T. MIECIK

NASZ KĄCIK KOLONIJNY

KIEDY WRACAJĄ DZIECI Z KRAJU

Dzieci z okręgu konsularnego paryskiego wracają w środę, dnia 5 sierpnia. Lądowanie samolotu na lotnisku Le Bourget przewidziane jest o godzinie 18.20.

Dzieci z okręgu konsularnego Lyon wracają w poniedziałek, dnia 10 sierpnia. Lądowanie samolotu na lotnisku lyońskim przewidziane jest o godzinie 12.45.

Dzieci z okręgu konsularnego Lille, które odleciały na kolonie do Kraju z Lille w dniu 6 lipca, wracają w środę dnia 5 sierpnia. Lądowanie samolotu na lotnisku

w Lille przewidziane jest o godzinie 10.40. Dzieci z tego samego okręgu konsularnego, które odleciały natomiast z Lille na kolonie 7 lipca, wracają w czwartek, dnia 6 sierpnia około godziny 10.40, a dzieci, które odleciały z Lille 9 lipca, wracają w sobotę, dnia 8 sierpnia około godziny 17.45.

Dzieci, które odleciały z Metz dnia 9 lipca, wracają w sobotę, dnia 8 sierpnia. Lądowanie samolotu na lotnisku w Metz przewidziane jest o godzinie 10.30.

PODCZAS WAKACYJNEJ WĘDRÓWKI...

Wakacje już w pełni. Większość ludzi nastawia się tak, aby ten najmiłszy w roku miesiąc spędzić na kompletnym wypoczynku, nie robiąc, o niczym nie myśląc, o wszystkim zapominając. Niektórzy jednak w okresie urlopów podróżują. Albo uprawiają turystykę, albo jadą do miejsca, w którym spędzić zamierzają wakacje i po drodze mają możliwości zobaczenia tego i owego.

Właśnie o tych ostatnich myślimy w tej chwili. Podróżując po Francji, zwiedzając jej piękne miasta, malownicze wioski, bogate muzea, zobaczyć możemy przy okazji również i bardzo ciekawe, rzadkie, związane z dziejami Polski zabytki i pamiątki.

Jest ich naprawdę dużo. Oto niektóre tylko z nich:



▲
Będąc w Paryżu turysta dopytuje się o Tour Eiffel. Słynna wieża, Pola Marsowe i jego śliczny park, zespół fantastycznych fontann, pałac Chailot i jego muzea oraz teatr — wszystko to otacza plac noszący nazwę polskiej stolicy. Widoczny w głębi, pomiędzy basenem i mostem — to Place de Varsovie!



◀
Przejeżdżając przez Cours la Reine w stolicy odkrywamy nagle wspaniałą posąg na ozdobionej rzeźbami kolumnie. Nawet w tak bogatym w pomniki mieście, jak Paryż, zwraca on od razu uwagę. Jest to pomnik Adama Mickiewicza, dzieło Bourdelle'a. Godnie uciesza Francja największego z Polaków.



◀ Jeśli zawędrujesz do Normandii nie zapomnij wstąpić do Arromanches. W muzeum pamiątek po lądowaniu alianckim w r. 1944 na wybrzeżach normandzkich znajduje się, w skrócie, przegląd kolejnych etapów tej największej w dziejach operacji wojennej

Wraz z różnymi formacjami sprzymierzonych armii lądowały w lecie 1944 r. w Normandii oddziały I Polskiej Dywizji Pancernej pod dowództwem generała Stanisława Maczka. Stoczyły one później słynną bitwę pod Falaise-Chambois. Dla upamiętnienia jej w Arromanches jest manekin w polskim mundurze



Niejednym z Was przejeżdżać będzie przez Alpy. Jeśli droga Twoja prowadzi przez Grenoble, Villard-de-Lans, Val Chevreire, skieruj się na szlak męczeństwa żołnierzy Wolnej Francji, którym tu wystawiono cały ciąg pomników. Jeden z nich upamiętnia bohaterstwo i męczeństwo żołnierzy-Polaków.



▲ W Paryżu napotykamy często pamiątki po polskim wodzu, marszałku armii napoleońskiej, księciu Józefie Poniatowskim. Posąg jego spotykamy na północnej fasadzie Louvre'u, bulwar jego imienia otacza południowo-wschodnią część stolicy, imię jego wyryte jest na Łuku Triumfalnym.

ZDJĘCIA:
WŁAŚCIWA SŁAWNY



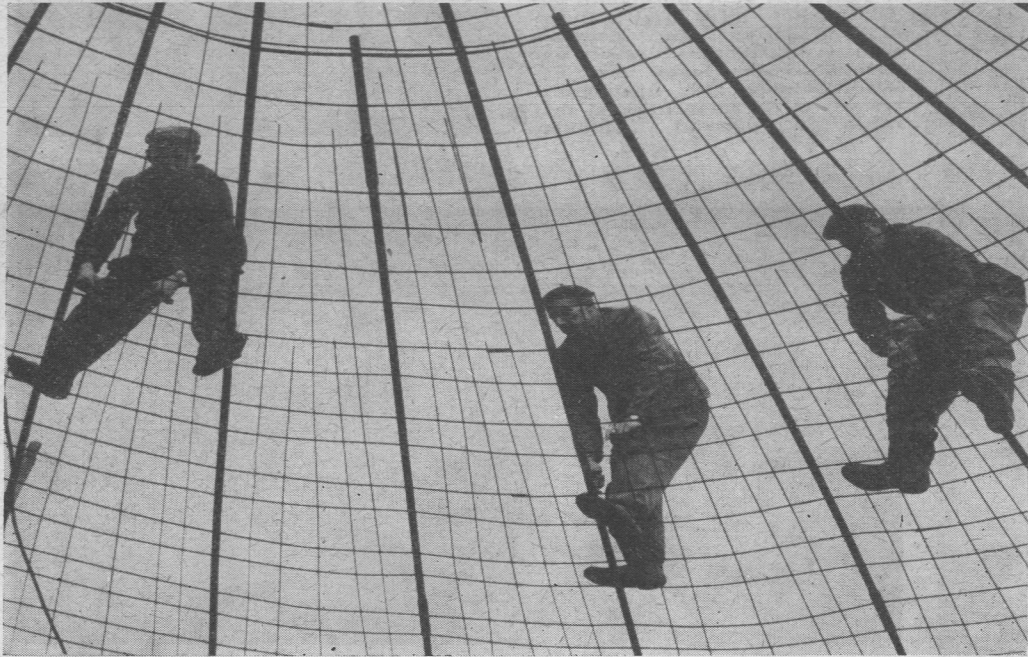
Na tym wzgórzu, w Mentonie, jest cmentarz. Na pewno wielu z Was znajdzie się w ciągu lata na Lazurowym Wybrzeżu. O ile czas Wam pozwoli, pójście na ten cmentarz i tam w skupieniu odczytywać będziecie nazwiska polskich tułaczy na starych, często zapomnianych już grobach. Warto zobaczyć!

W r. 1966 obchodziliśmy 200 rocznicę śmierci Stanisława Leszczyńskiego. Król Polski, potem władca Lotaryngii, nigdy nie przestał być oświeconym władcą-filozofem, opiekunem podwładnych, protektorem sztuki. O ile losy zaprowadzą Cię do Nancy, obejrzyj w tym mieście pomnik i plac jego imienia

W pobliżu Nancy znajduje się bardzo ładny pałac, który był niegdyś siedzibą księcia Lotaryngii: Luneville. W okresie, gdy rezydował tu znakomity władca tej ziemi, dawny król Polski Stanisław Leszczyński, nazywano pałac lotaryńskim Wersalem. Dzisiaj odbywają się tu czasami polskie imprezy



Kontrasty



LUDZIE PAJĄKI

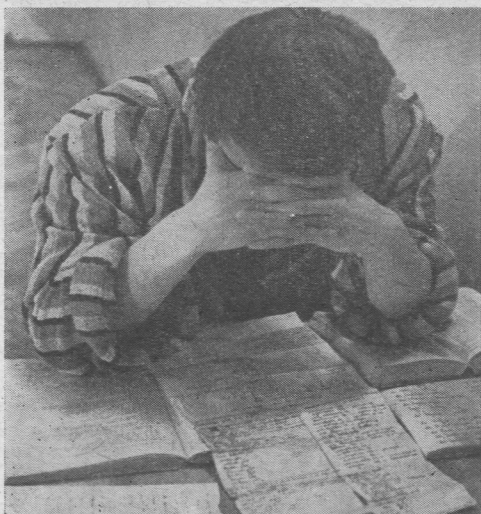
Montują pajęczą sieć. Wiszą nad ogromnym sklepieniem wznoszącej się kopuły: pajęczyna stali, wsporników, drutów. Okryje ją później skorupa betonu, twardniejąca jak skała.

To człowiek rozciąga sieć swoich fabryk. Każdemu wyznacza zadanie, składające się na czyn zbiorowości.

Z betonowej bryły fabryki wy-

rastają łodygi kominów. Układa się je z klocków cegieł, lecz mogą być ogromną sterczącą w niebo rurą z metalu. I na nie musi wejść inny człowiek-pająk, któremu dla przekory przypisali ludzie prawo przynoszenia szczęścia: kominiarz. Wprawdzie teraz mieszkania ogrzewa się częściej centralnie, ale prawdziwa sztuka — to oczyszczać z sadzy wielki komin przemysłowy.

Foto: Andrzej Wiernicki



ZACZYNA SIĘ OD CIEKAWOŚCI

Trzeba wszystko poznać, wszystko zobaczyć, wszystko umieć. To ciekawość świata zrodziła naukę, która później przeobraża się we wzory, kolumny wzorów, symboli — i staje się nudą wkuwania.

Dopiero, gdy młody student wyzwoli się od pańszczyzny studiów, wystrzeli w górę projektem mostu, wieży, będzie rozpinał sieć energetyczną, a może zbuduje innym nowe, sztuczne serce?

Foto: Andrzej Bogusz i Jan Łukasiewicz





PUNKT WIDZENIA

Starszy pan ma skórę trochę jak hipopotam, ale jest zadowolony. Koń idzie doskonale. Lornetka skraca odległość. Galop do totalizatora to piękna rzecz. To punkt widzenia lornetką.

Wizjery pryzmatyczne wprawdzie pomagają, lecz najlepiej wyszło zdjęcie temu — kto sfotografował kolegów. Wysoko uniesiony w rękach obiektyw przypomina, proszę wybaczyć dziwne porównanie, szyję łabędzia.

Niestety nie wiemy, co miało dostrzec szklane oko tych obiektywów. Osobistość urzędową, piękną panią kryjącą się za wysokim płotem?

Foto: Włodzimierz Ochnio



BOĆKI

Nie lubią nowych bloków mieszkalnych. Lubiły dawniej strzechy, ale tych coraz mniej w Polsce. Gdzie zbudować gniazdo? Na szczycie sterty słomy, skąd młode boćki niedługo ruszą do pierwszego lotu?

A może na słupie telefonicznym, bo jest mocny, z betonu, a pod gniazdem asekuracja z drutów, które śpiewają, gdy wieje wiatr?

Tylko co na to wszystko powiedzą monterzy, oto problem mieszkaniowy bocianów.

Foto: Wiesław R. Zyla

ELEGANCI

Na oficjalny pokaz trzeba być ostrzyżonym i to rzeczywiście na prawdziwy medal. Jeśli się już zdobywa medale tuzinami, jak dwaj eleganci u dołu, trzeba nawet do fotografii przybrać odpowiednią pozę. To duża sztuka i ukazanie dobre-

go wychowania, które się odebrało za młodu.

Można także czarować innego typu elegancją: ostrym spojrzeniem szelmowskiego temperamentu, nieco rozwichrzoną czupryną. Wtedy nawet medalu nie trzeba, by każdy wysoko ocenił klasę naszej psiej elegancji. Kto, wie, czy jednak

znawca nie powinien zarzucić sympatycznym czarnuchom, że na oficjalnych wystąpieniach nie wypada być zziąjanym... Fe, to nie jest przecież w dobrym tonie. Dobrze wychowany pies nie ugania się po polach i ogrodach, a tylko spaceruje ze swoją panią.

Foto: Andrzej Radomiński





Duża to zabawa dla starszych postrzelać sobie do celu. I panu Louis Cornavin i paryżanom szło to nie najgorzej. Ciotka Maria - Louise obawiała się jednak bardzo o stadko kur



Pan Louis Cornavin (po prawej) z kolegą swego syna z wojska — Claude Gallot. Dla wszystkich przyjaciół dzieci dom państwa Cornavinów jest otwarty i gościnny



Tuż przed odjazdem do Paryża postanowiono zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Od lewej: p. Louis Cornavin, Claude Gallot — kolega z wojska syna, ciocia państwa Cornavinów, która dobrze pamięta Polaków, mieszkających kiedyś w Blaisy, Claude Cornavin z małżonką Eliane. Pośrodku pani Cornavin

JEDEN Z WEEKENDÓW



Pan Louis Cornavin odprowadzi swych miłych gości do skrzyżowania

TYSIĄCE samochodów pod koniec każdego tygodnia opuszczają Paryż. Jedni jadą do krewnych, inni do swego domu na wsi, jeszcze inni do przyjaciół czy na wycieczkę. Jedźmy i my wraz z typową, paryską rodziną, na weekend do rodziców do Blaisy (Morvan).

...Mały samochód „Renault-4” obecnie jeszcze dobrze może pomieścić całą 5-osobową rodzinę **Claude'a Cornavin**. Dzieci są małe, a więc cała trójka — Martine i Brigitte — bliźniaczki i 4-letni André wygodnie mieszczą się na tylnym siedzeniu. Od wczesnego rana nie mogli się już doczekać wyjazdu do babci i dziadka. Tam przecież dopiero można pohasać i pobawić się przed domem czy na łące! To nie to, co w domu, w HLM!

Wreszcie dołączył jeszcze przyjaciel **Claude'a Cornavin** z wojska — **Claude Gallot** i oto rozpoczynając się może weekendowa podróż.

Trasa biegnie przez Sens, Joigny, Auxerre, Clamecy. Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów i wreszcie Blaisy! Powitanie i okrzykom nie ma końca. Niespodzianka z przywiezieniem do Blaisy **Claude'a Gallot** też udała się. Dziesięć lat rodzice Cornavin nie widzieli go i tej wizyty nie spodziewali się.

Duży dom nad jeziorem ożywił się w mgnieniu oka. Dzieci wbiegały do domu i za chwilę już zabawa trwała w ogródku. Ich 85-letnia prababka, przykuta nieścisły ostatnio do łóżka chorobą, przez chwilę nacieszyła się prawnukami, wnukiem i potem już cieszyła się gwarem, który wypełnił dom.

A dom ojciec Cornavin pokazywał przybyłym z niemąłą dumą. Wszystko prawie tu sam wykonał.

— Tak jak teraz na emeryturze — żartuje — jeszcze się nie napracowałem! Od dwóch lat, jak przenieśliśmy się z żoną do Blaisy, nad jeziorem, by być z matką, ile to mam obowiązków! I roboty budowlane i wykończenie wnętrza, i ogrodu trzeba doglądać, i ryby od czasu do czasu połowić!...

Gdy się synowi i jego przyjaciółom opowiada o obecnym życiu na emeryturze, to się i ponarzeka, ale tak w rzeczywistości **Louis Cornavin** tryska zdrowiem i humorem. Żarty i dowcipne wydarzenia przeplatają się więc z wybuchami śmiechu. Potem jeszcze trzeba pokazać paryżanom zapórę wodną, zbudowaną w 1951 roku, objechać jeziorem, powspominać czasy, kiedy to na miejscu jeziora była wioska i ich dom, pokazać Chateau-Chillon — najbliższe „większe” miasto, liczące nie więcej jak 10—15 tysięcy mieszkańców, no i wstąpić do kafejki na „un demi”, gdzie znowu wszystkich się zna, Blaisy liczy bowiem zaledwie kilka rodzin.

Po powitaniach w kafejce znowu od razu pytanie:

— To Claude czy Michel?

W rodzinie **Cornavin** do takich pytań wszyscy są przyzwyczajeni. **Louis Cornavin** ma bowiem dwóch synów-bliźniaków **Claude'a** i **Michela**, których do dziś jeszcze trudno rozpoznać.

— A więc to Claude czy Michel?...

I podobne pytania co chwilę padają w stosunku do córek-bliźniaczek **Claude'a**:

— To Brigitte?

— Nie, ja jestem Martine...

Sobotnie popołudnie, wieczór i niedzielny ranek szybko mijają. Jeszcze trzeba umyć samochody, postrzelać do celu i niestety już trzeba myśleć o drodze powrotnej do Paryża.

Mimo krótkich chwil pobytu w Blaisy, wszyscy czują się odprężeni, wypoczęci. Do ostatniej chwili zabawom dzieci, opowiadaniom starszych nie ma końca.

I tutaj w Blaisy, okazuje się, do niedawna mieszkał jeden Polak, a jedyną kuzynką Cornavinów wyszła za mąż za Polaka. **Eliane** — żona **Claude'a Cornavin** rodem z Alzacji — z dużą serdecznością wspomina polską rodzinę Wasylewiczów, z którą sąsiadowała i która tyle serca i pomocy jej okazała. Pozostały jej też w pamięci piękne kurpiowskie obrusy haftowane, które widziała u Wasylewiczów i do dziś o nich marzy.

W tym czysto francuskim środowisku, pojawili się już Polacy, pozostawiając dużo uznania, sympatii i serdeczności. I o tym warto też wiedzieć, że sympatię i serdeczność do Polaków i Polaków spotkać można nawet podczas jednego z weekendów w tym zagubionym zakątku Francji.

Tekst i zdjęcia:

Urszula KOZIEROWSKA



Pani Marie-Louise Cornavin przypomina, by niczego nie zapomnieć

Mały André Cornavin próbuje piłki nożnej. Całkiem dobrze mu to idzie

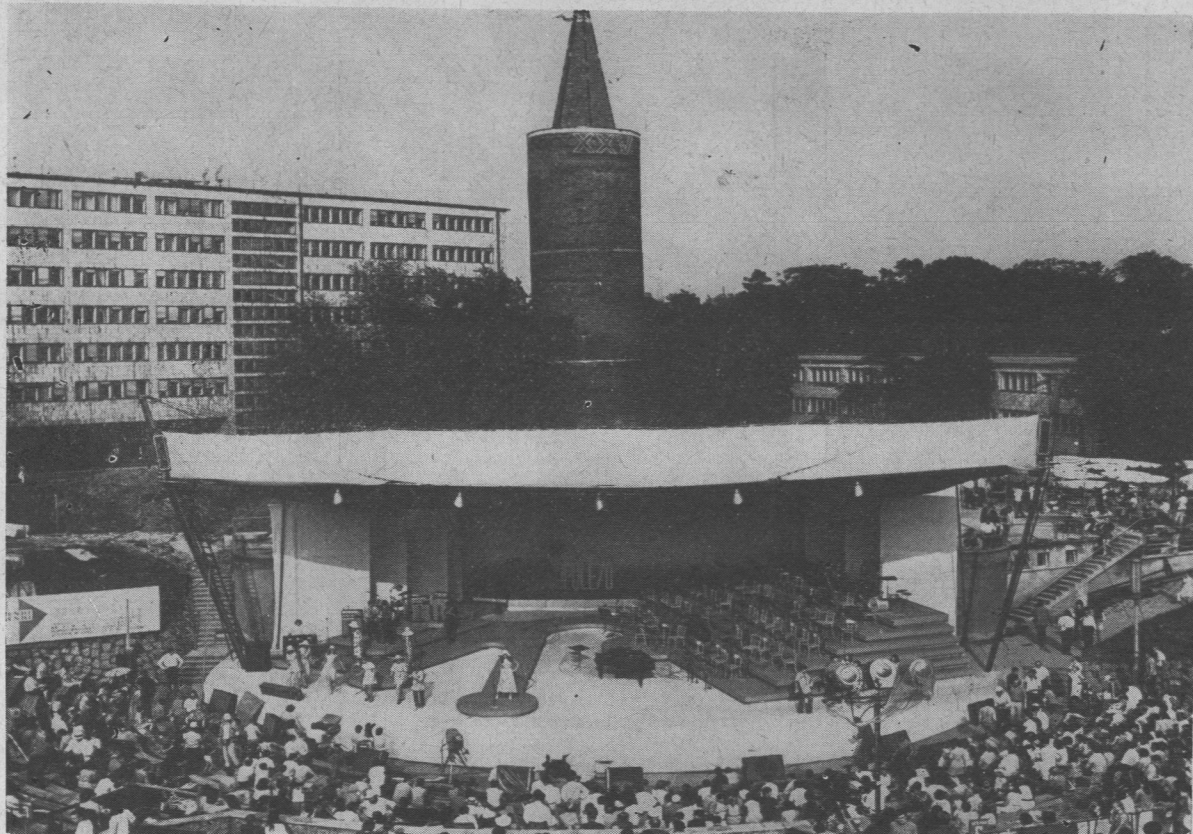


Warto skorzystać z okazji i umyć samochód. W Paryżu trzeba do mycia oddawać. Samemu robi się dokładniej



Która z nich jest Martine, a która Brigitte? Tutaj, u babci i dziadka dziewczynki lubią bawić się przede wszystkim wodą i piaskiem, czego brak im w domu

OPOLE INTYMNIE



Dziesięć wieków Opola widzimy na tym zdjęciu. Wieża zamku piastowskiego z XII w. stoi na dawnym grodzie Opolan z IX w., odsłoniętym w wykopaliskach w jej najbliższym sąsiedztwie. Jest tu interesujące muzeum archeologii słowiańskiej. Budynki obok — to wiek XX, a amfiteatr na pierwszym planie powstał dopiero w ostatnich latach specjalnie z myślą o Festiwalach Piosenki Polskiej



Gwiazda Festiwalu, najpiękniejsza piosenkarka Opola Urszula Sipińska, wybranka kamer TV i fotoreporterów

ZNACZNIE ciekawsze od koncertów na Festiwalu Piosenki okazały się w tym roku próby — zauważył autor zamieszczonych obok zdjęć. Przykład? Proszę. Wszyscy niemal soliści podczas przygotowań śpiewali po prostu źle. Wielokrotnie powtarzali te same fragmenty piosenek, fałszowali, nie potrafili sprostać orkiestrze. A przecież wieczorem mieli oślniewać publiczność na widowni i miliony telewidzów. Co piękniejsze piosenkarki, zrezygnowane, wołały zająć się ręcznymi robotkami na drutach. Przywędrowała do Polski moda z paryskiego metra... Nie dziwota więc, że reżyser Janusz Rzeszewski starał się wprowadzić rygor, że wychodził z nerwów, zwłaszcza wtedy, gdy np. tacy popularni ulubieńcy widowni jak Chyła czy Dąbrowski, mimo niepowodzeń na próbach, zapewniali ze słodyczą w głosie, że wieczorem wszystko będzie w porządku... Miałe-li reżyser wierzyć tym mirażom o szczęściu? Dodać trzeba, że borykać się musiał nie tylko z przekorą artystów, ale i psikusami przyrody. Bo oto, podczas jednej z prób, kiedy już jako tako wszystko „grało”, spadł nagle ulewny deszcz. Ogromna połać dachu legła na estradzie. „Stało się to już tradycją festiwalową” — opowiada spokojnie fotoreporter i dalej fotografuje najpiękniejszą piosenkarkę, Urszulę Sipińską. W sukurs — mówiąc z francuska, czyli z pomocą przyszli dzielni strażacy. Wypompowali wodę z instrumentów, ale nie byli w stanie wypompować jej z głów niektórych gwiazd.

A wieczorem... Rzęsiście iluminowana scena przez trzy dni skupiała uwagę tysięcy widzów, żadnych nie tylko dobrych, pięknych melodii, ciekawych interpretacji najnowszych przebojów, ale i odpowiedniej scenografii, pięknych, pełnych gracji sylwetek solistów i pokazu najmodniejszych strojów. Wielu ponoć się rozczarowało, choć cały Kraj rozbrzmiewa szlagierem pt. „Ach, co to był za ślub” (i my ją drukowaliśmy w nr 21/70 TP). A że trudno dogodzić wszystkim, któryś z krytyków napisał „Ach, co to był za grób”...

K.K.

Zdjęcia: Tadeusz POŹNIAK



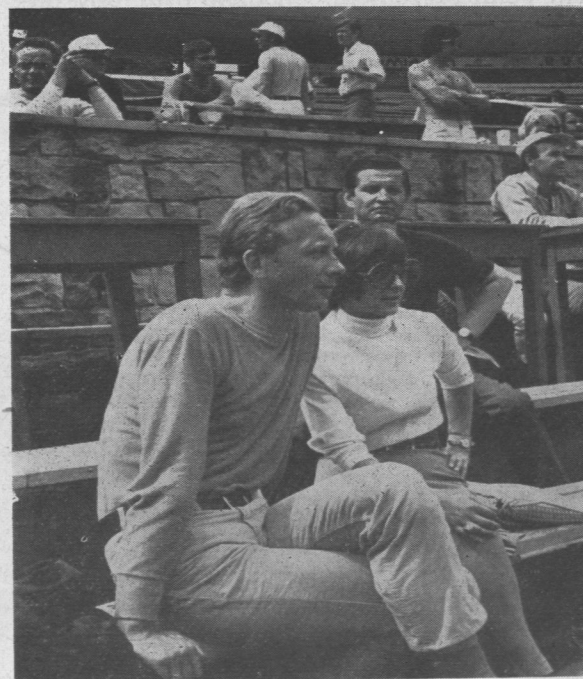
Irena Santor intymnie... Jest ona laureatką Złotego Mikrofonu Polonii amerykańskiej



Halina Frąckowiak — ulubienica młodzieży, solistka popularnego zespołu ABC podczas próby

J. Suzina, spikera warszawskiej TV, zna całą Polską

Zanim wszystko będzie grało, trzeba się dobrze napocić: oto tak np. jak operator filmowy J. Kreczmański



Quand, il y a quelques années, il fut décidé d'organiser des manifestations musicales en Touraine, personne ne se doutait que le choix tomberait sur une grange. Oui, mais quand on est une grange aux dîmes, qu'on a été élevée au XIII^e siècle, qu'on a conservé une porte d'entrée en plein cintre, qu'on a 60 m de longueur sur 25 de largeur, quand l'intérieur éblouit par une forêt de piliers en châtaignier qui s'en vont former une très belle charpente du XV^e siècle, on n'est pas une grange comme les autres, on est classé monument historique.

C'est ainsi que Les Fêtes Musicales en Touraine se déroulent dans la Grange de Meslay, près de Tours. Cette année, l'Orchestre de Chambre de la Philharmonie Nationale de Varsovie a pris part aux Fêtes Musicales et il a interprété des oeuvres de Haydn, Mozart et Henryk Mikołaj Górecki.

Créé il y a six ans, cet ensemble a déjà remporté des succès au cours de tournées qui l'ont menées dans le monde entier. Il s'est déjà produit en France et la perfection de ses exécutions avait provoqué l'admiration. Si l'ensemble est dirigé par Karol Teutsch, il n'est pas pour autant un chef d'orchestre placé face aux exécutants. Un léger signe de sa part à l'attaque du morceau suffit. Premier violon, il joue avec tous les musiciens. Parmi les seize solistes, on notait le violoniste Krzysztof Jakowicz, et les hautboïstes Stanisław Malikowski et Emilian Werbowski.

La tournée à travers la France a entraîné l'orchestre à Avignon, Toulon, Arles et Guebwiller où partout il connut l'ovation du public.

FILHARMONIA Z WARSZAWY W GRANGE de MESLAY



Piękno Grange de Meslay jest porywające. Konstrukcja dachowa jest misternym spletem belek

KONCERTY W ZABYTKOWEJ STODOLE

Już podczas prób przed koncertem polscy muzycy zorientowali się, że w stodole jest świetna akustyka



GDY kilka lat temu powstał projekt zorganizowania w Turenii wielkiej imprezy muzycznej, od razu inicjatorzy tego projektu zaczęli oglądać się za odpowiednim pomieszczeniem. Chodziło o to, aby impreza miała stały punkt oparcia i co rok odbywała się w tym samym miejscu. W ten sposób liczba wielkich przybytków sztuki we Francji powiększyć się miała o jeszcze jeden.

W jaki sposób poszukiwania te zakończą się, nikt chyba wtedy nie był w stanie przewidzieć.

Region Tours, słynny z pięknego krajobrazu, z żyznej ziemi, dobrego wina, z wyjątkowo czystej, starannej francuszczyzny jest również, a może przede wszystkim, słynny z zamków. Wzdłuż całego dolnego biegu Loary znajdują się hojnie przez historię usiane prześliczne renesansowe zamki. W samym mieście Tours zamku nie ma, ale są zamki w Blois, Amboise i wielu, wielu innych miastach i miasteczkach tej uroczej krainy. Poza zamkami Turenia ma bardzo wiele innych budowli, z których jest dumna.

W poszukiwaniach miejsca dla Fêtes Musicales en Touraine wziął udział wielki muzyk Stanisław Richter. No i wynik poszukiwań zaskoczył wszystkich. Na miejsce festiwalowych koncertów wybrano — stodołę. Tak jest, prawdziwą stodołę, ale bardzo starą, zbudowaną w 1220 roku i zachowaną szczer-



Liczba przybytków sztuki we Francji powiększyła się przed siedmioma laty o ten niezwykle obiekt



Wiolonczelę orkiestry Filharmonii Narodowej w czasie próby. Jak pięknie brzmi tu orkiestra



Robienie zdjęć zespołu jest o wiele łatwiejsze podczas prób niż w czasie trwania koncertu



Wykonany przez Krzysztofa Jakowicza z towarzyszeniem orkiestry Filharmonii Narodowej w przepięknej Grange de Meslay koncert Mozarta był wielkim przeżyciem dla licznie przybyłej publiczności

śliwie do dzisiejszego dnia w znakomitym stanie.

Już sama architektura tego gmachu godna jest, aby przyjechać tu z drugiego końca Francji. Ma on 60 m. długości i 25 szerokości. Zbudowany jest z kamienia. W fasadzie frontowej znajdują się wysokie, wąskie oraz okrągłe otwory okien, a także szeroka brama, zakończona romańskim łukiem. Całość nakryta wysokim dwuspadowym dachem z czerwonej dachówki.

Ale prawdziwie porywające jest dopiero wnętrze. Z ziemi strzela w górę cały las potężnych kasztanowych słupów. Uszeregowane bardzo regularnie wzdłuż szerokiej alei środkowej, tworzą pięć naw, jak w każdej wielkiej katedrze, budowanej w średniowieczu. W górze rozgałęziają się w misterną, a silną zarazem konstrukcją, na której spoczywa dach. Jeszcze bardziej potęguje ona wrażenie wielkości, prostoty i siły.

Stodołę tę wzniesli mnisi z opactwa Marmoutier. Przez siedem i pół wieku gromadzono tu zboże z żyznych ziem Turenii. I dzisiaj jeszcze pełni ona rolę stodoły przez cały rok. Na jeden tydzień tylko monumentalna Grange de Meslay zamienia się w salę koncertową.

Arcyważnym walorem stodoły jest poza jej architektoniczną urodą również i świetna akustyka. Gdy stwierdzono to, nie było już żadnej wątpliwości, że Fêtes Musicales de Touraine odbywać się będą właśnie, tu,

o dziesięć kilometrów od miasta Tours, w średniowiecznej stodole Grange de Meslay.

Festiwale Turenii stały się bardzo szybko wielkimi imprezami muzycznymi o światowym rozgłosie. Biorą w nich udział słynne zespoły i soliści z różnych krajów. W tym roku, w siódmym z kolei festiwalu, wystąpił zespół „Soliści Chóru ORTF”, Kwartet Parenin, pianista Arturo Benedetti Michelangeli, Zespół Instrumentalny i Wokalny z Lozanny, a także Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej z Warszawy.

Polski zespół zainaugurował w tym roku serię koncertów Fêtes Musicales de Touraine. Zaproszono go dla wykonania utworów Mozarta, Haydna i polskiego kompozytora Henryka Mikołaja Góreckiego.

Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej w Warszawie istnieje od 6 lat. Występowała ona już we wszystkich większych miastach Polski i we wszystkich krajach Europy, a także w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Meksyku, Panamie, Kolumbii, Libanie, Syrii i innych krajach. W najbliższym czasie grać będzie w Hiszpanii i Portugalii.

W tym roku dała kilka koncertów we Francji: w Rennes, w Avignon, w Tuluze, w Arles, w Guebouiller. W skład 16-osobowego zespołu wchodzi znani soliści: Krzysztof Jakowicz — skrzypek oraz Stanisław Malikowski i Emilian Werbowski — oboiści.

Zespołem kieruje jego pierwszy skrzypek — p. Karol Teutsch. Dyrygenta nie ma.

Najważniejszym z koncertów tegorocznego tournée Orkiestry Filharmonii Narodowej po Francji był oczywiście koncert w Grange de Meslay. Otwierając cykl wieczorów muzycznych w tym nowym jeszcze, ale już bardzo znanym ośrodku życia artystycznego Francji, orkiestra polska grała przed bardzo liczną publicznością, przed wieloma osobistościami ze świata artystycznego Francji i innych krajów.

Przyjęcie zespołu było bardzo gorące. Znakomita interpretacja utworów, piękne, jednorodne i potężne brzmienie 16-osobowej grupy, wybitne indywidualności poszczególnych muzyków — wszystko składało się na wyjątkowo udany, świetny wieczór. Po symfonii Mozarta nastąpił jego koncert skrzypcowy w wykonaniu Krzysztofa Jakowicza z towarzyszeniem orkiestry i wreszcie Divertimento tego autora. Program drugiej części wypełniły Góreckiego „Trzy utwory w dawnym stylu” i wreszcie symfonia Haydna. Długo, po jej zakończeniu, publiczność oklaskiwała zespół. Owacja była gorąca i szczerą. Pod trzynastowiecznym stropem Grange de Meslay, jednym z tych cudów francuskiej architektury, które dopiero XX wiek odkrył i docenił, rozpoczęli polscy muzycy Fêtes Musicales de Touraine wyjątkowo pięknym występem.

UMIZGI NOSOROŻCA do... AUTA

W IADOMO OGÓLNIENIE, że wilki najchętniej żyją w gromadzie, choć spotyka się również samotników.

W wilczym stadzie rządzą najbardziej tyrańskie prawa. Nie ma tam ani równouprawnienia ani miłości. Wilczy naczelnik jest w stosunku do swych poddanych jak najbardziej bezwzględny. W stadzie obowiązuje ściśle system starszeństwa, oparty wyłącznie na sile i bezwzględności. Cała ta wilcza organizacja nie jest niczym specjalnie rewelacyjnym. Komuś nieobeznanemu bliżej ze światem zwierzęcym, może się po prostu wydawać pochodną od wilczego charakteru. Natomiast na pewno będzie dla niego zaskoczeniem, że podobny ustrój obowiązuje wśród... kur. Odkryto to dopiero kilkadziesiąt lat temu. Każda kura wie, której kurze może się pozwolić dziobać i którą sama może dziobać.

Można by nawet sporządzić wykaz szarż od kurzego frejtra do kurzego generała, które obowiązują w kurniku. Zresztą nie tylko u kur. Również u koni i wszystkich zwierząt żyjących w stadzie. Każda klacz wie już po kilku tygodniach, kto jej przewodzi, kto jest na pastwisku drugim w kolejności siły, kto trzeci...

O wszystkich tego rodzaju zwierzęcych sensacjach można się dowiedzieć z książki **Bernharda Grzimka** pt. „20 zwierząt i 1 człowiek” *). Dr Grzimek to wybitny zoolog, od 25 lat dyrektor Ogrodu Zoologicznego we Frankfurcie nad Menem. Jego artykuły i książki cieszą się niezwykłą popularnością i są tłumaczone niemal na wszystkie języki. Uchodzi on za niedoścignionego popularyzatora wiedzy o świecie zwierzęcym, przy tym jak najbardziej autorytatywnego, sam bowiem jest naukowcem.

Dr Grzimek zasługuje na naszą uwagę jeszcze z innego względu. Jest Niemcem pochodzącym z Górnego Śląska, urodzonym w Nysie (woj. opolskie) znającym nawet język polski. Nie jest członkiem żadnej z rewizjonistycznych organizacji ziomkowskich, a przeciwnie, jawnie wypowiada się przeciw rewizjonistycznym wystąpieniom. Z tego powodu był on nawet przed kil-



Nosorożec mama i jej dziecko w ogrodzie zoologicznym w Hamburgu

ku laty celem ostrych ataków i napaści ze strony odwetowców.

Dr Grzimek odbył kilka wypraw do Afryki, gdzie z wielką pasją zajmował się badaniem **dziko żyjących ssaków**. Zebrał tam olbrzymi materiał i napisał kilka ciekawych książek na ten temat. Jak większość przyrodników dr Grzimek jest „ochroniaczem”. Domaga się też w swych pracach ocalenia resztek fauny afrykańskiej i zabezpieczenia jej przed wytepieniem. Na podstawie książki pt. „Nie ma miejsca dla dzikich zwierząt”, jego syn nakręcił barwny film dokumentalny.

Dr B. Grzimek w swej pracy badawczej nie ogranicza się jedynie do własnego terenu działania, tj. do ZOO, w którym pracuje, czy naukowych wypraw. Śledzi on wszystko co dotyczy zwierząt na całym naszym globie. I to nie tylko w fachowej literaturze czy specjalnym czasopiśmiennictwie. Ale również w dziennikach, które w codziennych kronikach przynoszą mnóstwo informacji związanych ze zwierzętami — dzikimi i oswojonymi. Niejednokrotnie w artykułach przychodzi mu prostować dziennikarską fantazję czy ignorancję. Przede wszystkim jednak segreguje on w sposób fachowy zebrane wieści ze świata zwierzęcego. Jest mu to potrzebne dla poparcia niejednej hipotezy lub nowego argumentowania ustalonego już pewnika. Stąd też w pracach Grzimka aż roi się od przykładów, dowodów i faktów. Czytelnik, nie przyrodnik a jedynie miłośnik zwierząt, czy po prostu człowiek żądny wiedzy o otaczającym go świecie, do którego i zwierzęta należą, raz po raz jest w jego książkach zaskakiwany rewelacyjnymi przykładami.

We wstępie do omawianej książki dr Grzimek twierdzi że pragnie w niej pokazać, iż „zwierzęta są nie mniej interesujące niż samochody, silniki, samoloty”, co mu się też znakomicie udaje.

Zresztą jest też w jego pracy bardzo ciekawy rozdział pt. „Zwierzęta i samochody”. Co sobie „myśla” zwierzęta o tym śmierzącym, wiecznie śpieszącym się motorowym monstrum? — Niektóre po prostu **uważają samochód czy traktor za inne zwierzę**. Zdarzyło się nawet, że **krótkowidz nosorożec zalecał się do samochodu i był wściekły, gdy spostrzegł pomyłkę**.

A czy wiecie np. ile na kuli ziemskiej żyje obecnie goryli? — 15 do 20 tysięcy. „Trochę mało — zauważa autor — w porównaniu ok. 3 miliardów ludzi”. Właśnie jest on jednym z tych, któremu udało się sporządzić „**spis ludności goryli**”. Wynika z tego spisu, że zaledwie **56 goryli żyje poza Afryką**, z tego 35 samców. Oczywiście w ogrodach zoologicznych. **Europa ma ich tylko 12**. Dr Grzimek ujawnia też, że w cyrkach **bardzo często pokazują szympansy, a reklamują je jako goryle**. Obecnie **afrykańskie goryle są pod bezwzględną ochroną**. Najinteligentniejszymi z małp są szympanse i najbardziej spokrewnione z ludźmi, **wykazują one ludzkie przywary, goryle są natomiast bardziej dobroduszne**. Wierzymy na słowo.

Z trójki popularnych w Europie zwierząt, jakimi są **wilk, lis i dzik**, wbrew przypuszczeniom większości **najinteligentniejszym jest nie lis lub wilk, a właśnie dzik**.

Aby sfotografować **polatucha** w locie, stosującego lot ślizgowy, potrzeba światła błyskowego i szybkości 1/20 tys. Dopiero niedawno udało się dokonać takiego zdjęcia. Najszybszymi zwierzętami są **gepardy**. Setkę przebiegają w 5 sekund, podczas gdy najszybsze **charty** ustępują im na tym dystansie o pełną sekundę. Wśród ptaków **kormoran** potrafi rozwinąć szybkość do 105 km na godzinę. Stwierdzono to, gdy ptak ten próbował uciekać przed samolotem... **Jerzyk** osiąga w powietrzu do 200 km na godz., a so-



Kangury zawędrowały na Śląsk...



Jestem inteligentniejszy od wilka i lisa...

kół wędrowny polujący na gołębie nawet do 250 km na godz. Z długodystansowców **pszczolajady i sokoły** pokonują 3 tys. km nad Oceanem Indyjskim między Afryką i Półwyspem Indyjskim **bez lądowania**. A niektóre gatunki **bekasów i siewek** przelatujące z Alaski ponad Pacyfikiem robią nad otwartym morzem po 4 tys. km itd.

O wszystkich tych szczegółach i setkach innych, można przeczytać u dr Grzimka. Píše też o **zwierzętach-emigrantach** — przymusowych i dobrowolnych. Dowiadujemy się np. że kiedyś na Śląsku próbowano osiedlić **kangury**. Żyły one tam przez wiele lat, rozmnożyły się, później padły ofiarą kłusowników. Ciekawą historię opowiada autor o **platynowych lisach**. Norwegowie chcieli za wszelką cenę zachować dla siebie monopol hodowli tego gatunku. Eksportowali jedynie skórki, a surowo zabraniali wywozu żywych listów. Ale od czegoś przemysłowcy, przed którymi musiały nie raz kapitulować najbardziej doświadczeni i sprytni celnicy. Tak też było z platynowymi lisami. Sparzono samice lisa srebrzystego z lisami platynowymi. Wywóz srebrzystych lisic był dozwolony. Zaden z celników nie był też w stanie zwietrzyć, że pod ciemnym futerkiem pani lisicy, dojrzewają już do życia lisy platynowe. W ten sposób Norwegia straciła platynowy monopol.

(Dokończenie na str. 37)

Wypoczynek łosi w cieniu kasztanu, w dzikim rezerwacie przyrody w Danii



Kto z nas dwojga piękniejszy?... Długo trzeba się zastanawiać



Edward LIGOCKI

„DIALOG z PRZESZŁOŚCIĄ” (5)

NAD MARNĄ w 1914

Relacja naocznego świadka

W JAKIŚ TYDZIEŃ po bitwie nad Marną miasto zdążyło już wrócić do normalnego życia. Dzieliłem czas między pisanie książki o wojnie a współpracę z Władysławem Zamoyskim. Wszystkie moje wiadomości były właściwie z drugiej ręki, usłyszane od znajomych w kawiarniach, przeczytane w dziennikach. Okres marszu na Paryż układał się w żywą mozaikę, podczas gdy front, zastygły w okopach, był poniekąd legendą ani jednego fragmentu nie widziałem na oczy. Trzeba tam było pojechać, choćby w pobliże, zobaczyć warunki, w których żyli i ginęli żołnierze. Opowiadano, że rzadko kiedy odzywała się artyleria, tylko przed próbami ofensywy lokalnej, w operacjach zwanych „wyrównywaniem frontu”. Śmierć czyhała skądinąd. Jedni na drugich polowali z przeciwległych okopów. Czuwali przy strzelnicach, uważali, czy w okopie nie mignie jakiś hełm czy twarz ludzka, twarz oddającego się temu samemu sportowi żołnierza. Trzeba było wtedy czym prędzej strzelić i odskoczyć w bok, za zasłonę ochronnych zwałów gliny. Raz udawało się Francuzowi, raz Niemcowi. Czasem okopy leżały tak blisko siebie, że można było nawet krzyknąć, wymyślać. To też nęciło. Przyczyniała się do tego bezzębna nuda.

Okopy z reguły kryła warstwa gałęzi przysypanych ziemią, co stanowiło pewną ochronę. Tworzył się jednak nawet w słoneczny dzień półmrok przeskadzający czytać, a w nocy nie należało utrzymywać stałego oświetlenia, chyba w rzadko rozsianskich schronach. Nikły nawet poblask stawał się dla przeciwnika ponętą. Czasem nie reagował, czasem z zawziętością rąbał z karabinu leżącego w otworze strzelniczym i przygotowanego do strzału.

Wystarałem się o możliwość dojazdu na linię ognia z grupą wybierających się na reportaż dziennikarzy. Dołączył się do nas nieznamy Anglik, z osiemnastoletnim mniej więcej synem, który chciał przynajmniej wojnę zobaczyć, nie mogąc z powodu gruźlicy wstąpić do wojska. Był to jakiś lord, zdaje się Bedford. Przyłączył się do nas również przydzielony przez ambasadę brytyjską młody oficer. Zadaniem jego było czuwać nad lordem i jego wątłym potomkiem — w rezultacie jednak czuwał nad całą grupą i stał się rzeczywiście pomocny.

Pojechaliśmy samochodami w stronę miasta Soissons. Odłożyliśmy na później oglądanie ruin katedry, śpieszyliśmy dalej, by dotrzeć do strefy frontu i wrócić do Soissons jeszcze za dnia.

O parę kilometrów za miastem samochody się zatrzzymały; nieraz wystarczał zbyt głośny warkot silnika, by sprowadzić salwę artyleryjską wymierzoną na tyły, na drogi, którymi szły transporty żywności i amunicji.

Na skraju niewielkiego lasu kazano nam iść dalej zygzakowatym, błotnistym wykopem. Dobrnęliśmy do trzeciej linii, która była niedawno pierwszą, bo front posunął się w tym miejscu naprzód. Była tam cała potrzebna mi sceneria — długi korytarz, wykopany w dość suchym kredowym gruncie, wgłębienia dla strzelających i obserwatorów. W boku korytarza wygrzebano ziemię nie do poziomu dna, a trochę wyżej. Były to legowiska — w ten sposób nie tamowano ruchu. W tej trzeciej linii obronnej przebywali żołnierze, gotowi w razie potrzeby do złuzowania innych bądź też do wypełnienia braków powstających z powodu zbyt okazałej ilości wybitych i rannych od pojedynczych strzałów czy salw artylerii. Leżeli przeważnie na improwizowanych pryzkach, na warstwach słomy lub siana. Powydrapywano i mniejsze wgłębienia z boku — czasem leżały tam kawałki desek, a na nich walizki i książki. Tu i tam poro-

biono przejścia w tylnej ścianie okopu — były tam większe, lepiej ubezpieczone od góry gałęziami i gliną schrony. Ale najgorsze okazały się jednak wgłębienia chodnika. Zbierała się tam woda i nie było na nią sposobu. Próbowano wykopać rowki po bokach, ale okazywało się to jeszcze gorsze. W paru miejscach ułożono kładki z desek, ale i one często były zalane. Jednym z gorszych wrogów, prócz czyhającego nieprzyjaciela, był deszcz — brnęło się wtedy i stało w wodzie. W okopach trwał kwaśny zapach przepocowanych mundurów i mokrego obuwia, fekalii z improwizowanych latryn. Od czasu do czasu z przedpoła ognia dolatywał zapach rozkładających się trupów, bo rzadko gdzie po jakiejś lokalnej potyczce można było osiągnąć porozumienie o zaprzestaniu ognia na czas usuwania poległych. Niemcy chętnie się godzili na taki układ, ale niemalże z reguły naruszali obietnicę i wielu w pierwszych dniach pobytu na ustabilizowanym froncie poległo od kul niemieckich w czasie tego rzekomego zaprzestania ognia. Zakazano więc tych posępnych wycieczek. Ciała zabitych rozkładały się w dość ciepłym jeszcze powietrzu, zlatywały się wrony, kruki i kawki zaczynające swój posiłek od oczu i twarzy. Najgorzej było z rannymi. Słyszac ich jęki koledzy próbowali iść im na ratunek, i sami często wcześniej kończyli życie niż ranni. O losie tych jeszcze żyjących w strefie bezpośredniego ognia mówiono z głuchą rezygnacją. Nie sposób ratować, chyba czekać do nocy, gdy pełzanie stawało się mniej ryzykowne. A tymczasem ptaki nie robiły różnicy między poległymi a ledwie oddychającymi jeszcze rannymi. Nieraz do tych ptaków strzelano, chcąc je przepłoszyć, ale to z kolei wywoływało strzelaninę przeciwnika, a nawet ogień artyleryjski, gdy się komuś ubrdało, że przygotowuje się ponowny atak.

Rzecz charakterystyczna: o ile z reguły Niemcy łamali zaprzestanie ognia dla ściągnięcia poległych i rannych, o tyle bardzo rzadko zdarzało się, że strzelali do żołnierzy idących z wiadrami po wodę. Gadatliwy kapral, który w tych norach robił nam honory domu, opowiadał, że z niemieckiej strony krzyczano: *Wasser, o, o!* — a ze strony francuskiej: *Eau, Wasser, Wasser!* — i wtedy dwóch żołnierzy z wiadrami, bez broni, wychodziło z rowów bezpiecznie, by udać się na przelaj do najbliższej studni.

Z pisarskiego punktu widzenia widziałem na własne oczy i słyszałem od żołnierzy z trzeciej linii okopów dość szczegółów, by mógł powstać obraz dość rzetelny. Właściwy front tej pozycyjnej wojny mało się różnił od tego, co nam pokazywano w strefie względnie bezpiecznej, gdzie tylko ogień artylerii mógł sięgnąć.

Zwrócił moją uwagę szczególną fakt, że niektórzy żołnierze przy kurtkach mundurów nosili zwykłe, cywilne spodnie. Spytałem któregoś, czy wolno im się tak ubierać.

— Zmieniają nam mundury, nie wszyscy z nas zdołali wyfasować nowe. Te stare, czerwone, są zakazane. Zaraz po bitwie nad Marną kazano nam je oddawać — wyjaśnił mi żołnierz.

Wróciliśmy do Soissons. Ogromna, nadszarpnięta, rozdartą, wznosiła się gotycka katedra, jedna z notowanych w przewodnikach po Francji. Dach nad główną nawą zerwany i częściowo zwalony do wnętrza, gruz, deski, żerdzie, dachówki, spod których przegądał marmur posadzki. Koło okien strzelistych — szkła kolorowe potrzaskanych witraży.

Stamtąd zaprowadzono nas do szpitala pełnego rannych. Francuzi leżeli w wielkich salach. Niemców ulokowano w mniejszych i postawiono przed nimi straż. Zdarzyła się w tym szpitalu rzecz niezwykła. Gdy front

był bardzo blisko, w okresie bitwy nad Marną, do największej sali wpadł szrapnel niemiecki. Wybuchł i nie zranił nikogo. Odłamki powbiły się w mur, dziwnym jakimś nieregularnym wieńcem otoczyły wiszący na ścianie wielki, czarny krucyfiks i nie tknęły go również. Zakonnica dyżurna pokazywała nam to mówiąc z uśmiechem, że nic szpitalowi nie grozi. Owszem, dbają o zaciemnienie, żeby nie zdradzać w nocy położenia miasta, ale jest widomy znak, że nad tym domem czuwa Opatrzność...

★

PISZĄC moją książkę o wojnie postanowiłem uwzględnić i to dość obszernie, udział w niej Polaków. Jak dotąd materiału miałem niewiele. Spotykałem często znajomych z 2 pułku Legii Cudzoziemskiej z Rucil, których ćwiczono na podparyskich polach; wybrałem się nawet raz, by zobaczyć z drogi, jak się musztra odbywa, ale to wszystko było za mało. Równie bezcelowa byłaby podróż ku hiszpańskiej granicy, aż do Bayonne, gdzie stał 1 pułk, w których — jak mi wspominał Zamoyski — znalazło się przeszło 300 Polaków; oni również, jak w Rucil, przechodzili jeszcze okres ćwiczebny. Mówiono, że starali się o wyhaftowanie przez panie paryskie polskiego sztandaru dla swojej, wyłącznie prawie polskiej kompanii. Nie wyglądało na to, by w okresie rozentuzjowania się francusko-rosyjskim przymierzem, zezwolono im na własny emblemat, ale sztandar był już w robocie. Trzeba było odczekać, aż ktoś z bająńczyków pokaże się w Paryżu, by móc coś się o tym wszystkim dowiedzieć.

Na razie szukałem wiadomości konkretnych o stosunkach panujących w Legii. Zasięgałem języka głównie w Rotondzie, gdzie czasem pojawiali się Polacy będący w wojsku francuskim.

W parę dni po powrocie spod Soisson zaczęły mną targać niedobre dreszcze, przechodziły zawroty głowy. Termometr wskazywał prawie czterdzieści stopni. Mieliśmy jednego tylko znajomego lekarza, doktora Węgłęńskiego, syna emigranckiego. Ojciec jego, bardzo daleki mój krewny, był ministrem Rządu Narodowego w 1831 roku, dziadek Konstancy odwiedzał go w Paryżu w roku 1834. Była więc jakaś nitka łącząca. Poszedł do doktora pneumatyk, by przyjechał nie zwlekając. Zbadał, opukał.

— To nie pierwszy wypadek — orzekł. — Grypa hiszpańska. Szerzy się na pobojowiskach. Nie wyjeżdżał pan ostatnio z Paryża? Pełno chorych w pociągach.

Gdy już wstałem, zacząłem się intensywnie odżywiać, ale jeszcze nie wychodziłem z domu. Goście dowiedziawszy się, że mam hiszpankę, odchodzili od drzwi. Jeden tylko Władysław Zamoyski nie bał się zarazy. Przyjechał, ale oczywiście przed dziewiątą rano, gdyż tak zwany robotniczy bilet powrotny metra był ważny tylko do tej godziny, kosztował pięć su (25 centymów), a nie zwykłe sześć w obie strony.

Wypił kawę, opowiadał kilka anegdot i przeszedł do spraw bieżących. Powypuszczano wszystkich pseudo-Austriaków i Niemców, dano im spokój. Oblężenie Polskiego Biura Opieki prowadzonego przez jego siostrę, ustało, ale wyłoniła się nowa troska — jeńcy Polacy wzięci do niewoli razem z Niemcami. Panna Maria skontaktowała się z Czerwonym Krzyżem w Paryżu i z jego centralą w Genewie. Chodziło o to, by naszych wydzielić, dać im lepsze warunki. Władze francuskie wyraziły i na to zgodę, wszystko więc było na dobrej drodze.

— Musimy się liczyć i z tym — podkreślił Zamoyski — że mogą się zacząć masowe ucieczki Polaków z armii niemieckiej przez linię frontu. Nie można dopuścić, by traktowano ich na równi z innymi jeńcami.

Dowiedziałem się również, że grupie polskich ochotników w 1 pułku Legii Cudzoziemskiej w Bayonne udało się jednak z tym sztandarem; wydzielona polska kompa-

nia paraduje już z nim po mieście. Dwaj rozsądni Francuzi, dowódca pułku i komendant placu, przymknęli oczy na to, że emblemat nie istniejącego państwa polskiego powieść będzie nad głowami kilkuset naszych rodaków z Legii.

Rzadko kiedy widziałem Zamoyskiego w równie dobrym humorze. Powiedział mi jeszcze jedną rzecz ważną. Henryk Sienkiewicz z rodziną skorzystal z chwili, gdy Kielce zajmował chwilowo oddział Legionów polskich i czym prędzej końmi wyjechał do Krakowa, a stamtąd udało mu się dotrzeć do Szwajcarii. Zamieszkał w Vevey. Organizuje z Paderewskim, bawiącym w Morges, i z mecenasem Antonim Osuchowskim Komitet Pomocy. Jest to oczywiście tylko charytatywna pokrywka, choć i ta oficjalnie podkreślana pomoc również bardzo się przyda.

— Ważna rzecz — mówił Zamoyski — po raz pierwszy powstała instytucja, która łączy w sobie przedstawicieli wszystkich trzech zaborów. Rozumiesz?

Coraz więcej widziało się „urlopników” błąkających się bez celu po mieście. W Paryżu nie mieli nikogo — żołąd otrzymywali dość marny. Nie zorganizowano jeszcze żadnych przytułków, świetlic — nie przewidziano takiego napływu. Żołnierze chcieli po prostu mieć jakieś wytchnienie, oderwać się od frontu, od jego przeraźliwych fetorów, od kul i szrapnelów. Kiedy noc się zbliżała, wypełniali poczekalnie dworcowe, a tych mieli do wyboru niewiele, na peryferiach. Garnęli się do metra, gdzie w korytarzach było ciepło. Stacje te od północy do piątej były zamknięte, później dopiero zaczęto je dla urlopowiczów po trochu otwierać, wymagało to obsługi i tak już nadwreżonej przez pobór. Urlopownicy jechali do Paryża na ślepo, bo i cóż mieli zrobić ci wszyscy, którzy na dalsze podróże do rodzinnych stron zmarnowali cały okres swych permissions? W mieście dopiero zaczęli rozumieć, że niekoniecznie dobrze wybrali — ledwie im starczyło na posiłki w garkuchniach, a hotelach nawet myśleć nie mogli. Nocowali więc gdzie się dało: na schodach domów, gdzie dozorczy zastawiali ich z rana, bądź też po prostu gdy o dziesiątej pozamykano bramy domów, marli na ławkach skwerów i parków, ale i to woleli niż okopy. Tych włóczęgów się bez celu po mieście nazywano les chiens errants. Zajęły się nimi jakieś komitety dobroczynności, zbierały składki, kołatały do władz, ale trwało to długo. Był jednak efekt. Les chiens errants nagle znikli bez śladu. Urzędowano na dworcach, kierowano ludzi do sal noclegowych, do niektórych nie wypełnionych przez rannych szpitali, a nawet do szpitali kobiecych, gdzie położnice grupowane były jedna przy drugiej, by zapewnić miejsce żołnierzom.

Wpadł na dni kilka z frontu spieszony dragon, Wacław Giżycki. I on siedział w okopach, gdzieś niedaleko od Reims. Przez tych kilka wieczorów opowiadał nam wiele. Wszystko, co mówił notowałem skrzętnie w pamięci, rósł mój materiał książkowy. Z jego opowiadań, wspomnień, wyrosła historia o profesorze gimnazjalnym ze Stuttgartu, Otto Heinicke, który przekrzykiwał się uprzejmie z przeciwnikiem z okopów, by później, w niewoli, gdy konającego wniesiono na opatrunek do schronu, strzelić z wydobytego ostatnim wysiłkiem rewolweru w pierś pochylonego nad nim sanitariusza.

Wacław potwierdził to, co już mówiono w Paryżu, że za czerwone portki w bitwie nad Marną zniwem śmierci płacono. Kolor feldgrau, niemiecki, mało był widoczny z oddali, zlewał się z tłem — podczas gdy mundur francuski nie odpowiadał zupełnie potrzebom współczesnej wojny. Stanowił cel aż nadto widoczny, a gdy szły całe pułki do boju, odcinał się czerwoną, jaskrawą linią z daleka. Nieszczęśliwa była również napoleońska „furię” rozwinąć, trzeba było krótkiego przedpola. Dalekonośna broń, mitraliezy i artyleria przeobraziły doszczętnie warunki walki — tymczasem zaś żądano od żołnierza, by gnał dwa, trzy kilometry pod ogniem, zdywany i wtedy dopiero rzucił się na bagnety. Szereg absurdów — tego jednak uczyła oficjalna doktryna pułkownika de Grandmaison, szefa sztabu i profesora taktyki École de Guerre.

Otrząsnąłem z siebie nareszcie skutki grypy hiszpańskiej. Oczywiście pierwsza moja wizyta należała się Zamoyskiemu. Parę tygodni przedtem, gdy jeszcze mnie trawiła gorączka, mówił mi skrótami o powstaniu Polskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny i podkreślał wagę tej instytucji, mającej sięgnąć daleko poza teren Szwajcarii. Moje dotychczasowe wiadomości o Komitecie były bardzo ograniczone, ale nie miałem wątpliwości, że trzy czołowe nazwiska — Sienkiewicz, Paderewski, Osuchowski — stanowią same w sobie gwarancję poważnej pracy.

Tak samo musiał myśleć Zamoyski, skoro zgodził się przyjąć na siebie obowiązki delegata w Paryżu.

— Co, flirt z hiszpanką skończony? — powitał mnie, gdy się zjawiłem u niego. — Miałaś szczęście, sporo młodych ludzi poszło na paskudną chorobę. Ale dajmy spokój makabrze. Przyszłość jakoś lepiej wygląda. Jest w każdym razie coś konkretnego, moralny ośrodek walki, skromna na pozór komórka w Vevey, ale ona ma skrzydła szerokie. Punkt pierwszy: nareszcie powstała instytucja łącząca trzy zaborcy. Punkt drugi: pomoc ofiarom wojny, bardzo dobra pokrywka. Ludzie ze wszystkich trzech dzielnic Polski zaczynają się garnąć do Komitetu. Echo poszło szeroko. Przyniesiono mi parę numerów „Journal de Genève”. Uderzyli w fanfary. Komitet, piszą, nie napotkał sprzeciwów państw centralnych i nawet władz carskich. Będzie tolerowany. Nikomu nie grozi prześladowanie w tej akcji.

Nareszcie odezwała się Polska. Może to patetycznie wyrażę: na forum międzynarodowe wbiegła wreszcie Polska smartwychwstająca. Nie jakieś tam enkaeny, endecje, grupki lokalne. Polska, duchowa reprezentacja Polski, jeszcze rozdartej, skrwawionej, zmuszonej do walk na obcych frontach, w obcych mundurach, ale już jest na widowni. Jeszcze jedno: w polskiej prasie w Ameryce aż huczy. Zrozumieli. To bardzo dobrze.

— Czy w środowiskach ugodowych zechcą to zrozumieć?

— Zrozumią te capy, gdy nie będzie innego wyjścia i gdy będzie im groziło bankructwo. A zresztą mamy się na cymbałów oglądać? Robimy swoje.

W głosie jego brzmiał ton zapalczywy. Tak był zawsze. Łatwo się unosił.

— Buty bym czyścił temu Dmowskiemu — wykrzykiwał kiedyś — gdyby o niepodległość walczył i nie merdał przed carem ogonem!

To był cały Zamoyski. Stary kawaler, maniak nadrzędnej, wyidealizowanej polskości. Rozsadzała mu serce. Nosił w nim jeszcze inną miłość do matki, ale i to się z polskością wiązało. Generałowa była dla niego żywym ogniem z ojcem, powstaniem listopadowym, wojną krymską, z Adamem Czartoryskim, z dawnym Hotel Lambert.

— Chcę cię jeszcze poinformować, jak to wszystko organizacyjnie wygląda. Oficjalnie, dla Francuzów, Biuro Opieki prowadzone przez moją siostrę zlewa się z Komitetem veveyskim. Ja jako delegat tej grupy występuję jej imieniem tylko wobec zaufanych, czołowych osobistości francuskich, którym wciąż bez końca powtarzam, że żadnymi autonomiami czy manifestami Mikołaja Mikołajewicza sprawa polska rozwiązać się nie da. Nie rozgłaszam oficjalnie nawet w Czerwonym Krzyżu, że reprezentuję grupę veveyską. Trochę by mi to wiązało ręce, sprawdało działalność na grunt charytatywny, a mnie chodzi o tworzenie politycznej atmosfery.

— Kto, oprócz tych trzech z prezydium, należy do Komitetu?

— Niewiele wiem, ale to nieważne. Dość że są. Z Poznańskiego Żółtowski, z Inflant Andrzej Plater, iluś tam przemysłowców z Warszawy. Nie wiem, czy wszedł do Komitetu Władysław Leopold Jaworski, wiesz ten profesor z Krakowa. Ale był już w Szwajcarii i nawiązał stosunki. Liczą się z nim bardzo w Krakowie, a on na pewno z mnóstwem przyzwoitych ludzi się znosi.

Dostałem jeszcze jeden list od Paderewskiego, ktoś przywiózł w kieszeni. Planuje jakąś akcję w Ameryce, gdzie przecież każdy zna jego nazwisko. Nie podaje szczegółów, jaką akcją przedsięwziąć zamierza, ale coś się już kluje i na drugiej półkuli.

— Jak ja się mogę przydać w tej całej robocie?

— Już ci mówiłem, że liczę na ciebie i jako pisarza, i jako tego jedyne go dzisiaj w Paryżu Polaka, studiującego w Wyższej Szkole Nauk Politycznych. Nie zrezygnujemy z młodych, oddanych.

W parę dni po rozmowie z Zamoyskim otrzymałem pocztą pneumatyczną list od Władysława Szuyskiego — zapowiadał wizytę nazajutrz wieczorem.

Szuyskiego znałem od dwóch lat, miał dyplom kandydacki wydziału prawnego Uniwersytetu Petersburskiego, ale obracał się w kręgach artystyczno-malarskich. Nie pamiętam, czym się trudził, zdaje się, że był tłumaczem w banku czy w biurze podróży. Wiedziałem natomiast, że był bliskim krewnym syna Szuyskiej, Romualda Traugutta. Przeszedł o zmroku. Prosty w obejściu, jakby w coś dalekiego wpatrzony. Żołnierz-romantyk. Tacy bywali ci starcy z nerczyńskich kopalni, których w dzieciństwie spotykałem na Podolu. Gdy otrzymałem list, dziwiłem się: cóż może sprowadzać do mnie tego znajomego, rzadko widywanego i o dobrych lat piętnaście starszego ode mnie — ale gdy go zobaczyłem w mundurze z odznakami aspiranta, domyśliłem się od razu, jaki jest cel jego wizyty.

— Pan wstąpił do Legii, prawda?

— Tak, pierwszego dnia, razem z Sobańskim. Jestem służbowo w Paryżu, powiedzieli mi znajomi, że pisze pan książkę o wojnie, więc jestem. Mam kilka ciekawych szczegółów, które pana niewątpliwie zainteresują. Zapewne wie pan o tym, że w pierwszym pułku Legii w Bayonne udało się nam stworzyć polską kompanię?

— Owszem, i to mnie specjalnie interesuje. Pan jest z tej właśnie kompanii, o ile się nie mylę? Mnóstwo pytań chcę panu zadać, udział polskiego żołnierza, a zwłaszcza zorganizowanego w odrębną jednostkę we Francji, jest dla mnie zbyt ważkim tematem. Nie piszę kroniki. Nie chodzi mi o reportaż. Chciałbym dać kilka obrazów z waszego życia.

— Tak, jestem właśnie w tej polskiej kompanii. Ale zanim pan zacznie pytać, chcę dla ścisłości zrobić małe sprostowanie. Nie jest to całkowicie polska kompania, w jej szeregach musiano włączyć kilku żołnierzy innej narodowości bo trudno było podawać w oficjalnej korespondencji, że tworzy się wyjątkowo polska jednostka. W każdym jednak razie nie dopuszczono tu szumowiny, sutenarów, zbrodniarzy, złodziei, których mundur Legii uchronił przed wyrokami sądowymi. Kompania nasza, wywycieczona wzorowo, ma być przykładem dla innych i chlubą pułku. A teraz rzecz najciekawsza — mówił dalej Szuyski. — Jestem wybranym przez kompanię porte-drapeau — ale niech pan sobie wyobrazi — autentycznego polskiego sztandaru. Co, niezła rewelacja? — Tak, wielka rzecz. Wspomniał mi już o tym Zamoyski. Ale nie wiedziałem, że właśnie panu przypadł zaszczyt roli chorążego.

— A więc Zamoyski już wie?

— Nie tylko wie. Wprost rozpięra go radość i duma. Ale jakże to się w ogóle z tym sztandarem udało? Kto wpadł na pomysł?

— Między innymi właśnie moja skromna osoba, dlatego też ja zostałem porte-drapeau. Ugwarzyliśmy z Sobańskim, że sukces utworzenia polskiej kompanii byłby pełny wtedy dopiero, gdyby kompania miała swój polski sztandar. Udział polskiego żołnierza byłby wtedy udokumentowany w sposób jak najbardziej widoczny. Zdawaliśmy sobie sprawę z formalnych trudności. Postanowiliśmy jednak stworzyć fait accompli, fakt dokonany. Trafnie, jak się okazało, sądziliśmy, że starzy, doświadczeni oficerowie Legii zobaczywszy sztandar, zrozumieją od razu, jaką może mieć na wartości bojową dla takiej kompanii jak nasza. To właśnie mogłoby być dla nich stokroć ważniejsze niż jakikolwiek względy polityczne.

Kiedy Szuyski był u mnie, 1 pułk Legii był już na pozycjach w Lesie Argońskim, w górach, gdzie, jak opowiadał, dzień w dzień zdarzały się drobne utarczki, większych akcji jednak nie było, dotąd jeszcze polska kompania nie szła do szturm na okopy niemieckie, nie było więc okazji, by wyjść pod sztandarem. Opowiadał Szuyski, że kiedy szli do akcji, wśród drzew obciążonych białą okiścią, w tej pustce leśnej, wśród śniegów, ubierano ich w białe, długie kitle szpitalne. Niedaleko ich pozycji w dolinie było starze z oblicza ziemi ogniem artyleryjskim jakieś miasteczko, tak zasypane śniegiem, że można było przejść tuż obok i nie rozróżnić ruin. Strat jednak w ludziach, jak dotąd, było niewiele. Zegnałem się z Szuyskim serdecznie. W oczach już stał mi Argoński Las — tytuł ostatniego rozdziału książki.



Skończyłem książkę. Dałem jej tytuł „Sambra i Moza”, choć początkowo myślałem o „Lesie Argońskim”.

Ze stambulskiej kafejki na magnackie łoża...



Zofia Wittowa-Potocka. Portret pędzla Salvatore Tonic

DZIEJE JEDNEJ z NAJPIĘK- NIEJSZYCH KOBIEC

SPOJRZYJCIE na portret tej nieprzeciętnie pięknej kobiety: w jej twarzy i oczach łatwo doszukać się dobroci, dużej subtelności i jakiegoś niecodziennego uroku. Charakter tej damy i życie były jednak zdecydowanym zaprzeczeniem jej wdzięków i niemal wszystko, co poza tym można o niej powiedzieć, wymaga najgorszych określeń.

„Do najforemniejszego układu twarzy, do najśladźszych, najpiękniejszych oczu łączyła uśmiech anielski i głos chwytający za duszę. Rzekłbyś, patrząc na nią, że to żywy, z nieba przybyły anioł. Lecz niestety, jak bardzo zwodniczą jest powierzchowna postać. Ta tak piękna czarująca kobieta kryła w sobie najprzewrotniejszą duszę.” Tak mówi o niej jeden ze współczesnych kronikarzy. Zdradzała własnych mężów, kochanków i sprawy, które jej powierzono. Podłość i oszustwo były dla niej czymś zwyczajnym. Własny interes i wygodę miała za główną dewizę. Możliwe, że ciężkie dzieciństwo ukształtowało w niej brak wszelkich moralnych skrępułów na późniejszy, dojrzały okres życia.

Urodziła się na tureckiej ziemi z greckich rodziców. Najwcześniejsze lata spędziła w zaułkach konstantynopolskiego przedmieścia, młodość w jego portowych knajpach i zajazdach. Niezwykła piękność sprawiła, że poseł Polski na sułtański dwór, Holender z pochodzenia, a obiężyświat i kombinator z charakteru, wykupił ją z przeznaczeniem na królewską kochanicę w Warszawie.

W drodze do Polski utknęła w Kamieńcu Podolskim. Był to po wyjeździe z Konstantynopola drugi, zwrotny moment w jej życiu. Kolejno zaślubiła dwóch polskich magnatów, rozsiadłych na ukraińskich włościach. Niezależnie od nich, od czasu do czasu, ściśle dość często, dzieliła łoża z wieloma wybitnymi osobistościami swoich czasów, nie wyłączając króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Doszła do znacznego majątku. Kłaniali jej się do kolan magnaci, zabiegali o względy politycy, łasili prawie wszyscy mężczyźni, na których choćby raz rządziła laskawie spojrzeć...

O kimże to tyle wstępu?

O Zofii zwanej Greczynką, „Don-don”, co z turecka znaczy pani. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało *Celice Glavani*. Po pierwszym mężu została panią Wittową, po drugim — *Szczęsną Potocką*. Można by się nią nie zajmować, gdyby nie fakt, że jej zły wpływ na wielu mężczyzn fatalnie oddziałał na polityczne losy Polski.

Zwięźle ujęte podreżniki historii rzadko sięgają do kulisy prywatnego życia polityków i innych ludzi, decydujących o ważnych pu-

blicznych sprawach, niechętnie też mówią o wpływie kobiet — żon, kochanek, przyjaciółek — na ich rozstrzygnięcia. Nikt jeszcze nie zajął się całokształtem tego odcinka dziejów, zwłaszcza jeżeli chodzi o czasy nowożytny i najnowsze.

Wróćmy jednak do Zofii Greczynki i jej czasów za panowania *Stanisława Augusta Poniatowskiego*. Nie można co prawda twierdzić, by jej osoba nie pasjonowała pisarzy i historyków. Przeciwnie jest ona może nawet pod tym względem uprzywilejowana. Zajmowali się nią m. in. *J. U. Niemcewicz* i wielu pamiętnikarzy. *Stanisław Trembecki*, zamiast pisać zamówione i obiecane dzieje Kościuszki, wolał w poemacie „*Zofiówka*” sławić miejscowość zbudowaną na cześć *Zofii Greczynki Glavani-Wittowej-Potockiej*. Jej portrety malowali wybitni współcześni malarze, a z pisarzy w ostatnich latach prof. *Jan Reyhmann* poświęcił jej w pracy „*Życie polskie w Stambule w XVIII wieku*” kilkanaście stron źródłowych dociekań. Ale wiele szczegółów z biografii tej pięknej kobiety na zawsze chyba pozostanie tajemnicą, choć przyznać trzeba, że co jakiś czas docieklivi szperacze odkrywają w archiwalnych papierach różne na jej temat ciekawostki.

Rodzice przyszłej magnatki byli biednymi ludźmi, dzieckiem opiekowała się ciotka. W późniejszych latach, gdy Greczynka dosięgła majątku, godności i zaszczytów, tworzone wokół jej młodości legendę zaciemniając prawdę pierwszych lat jej życiorysu. *Niemcewicz* mówi w swych pamiętnikach, że wysłannik *Stanisława Poniatowskiego* do *Otomanskiej Porty* znalazł ją „*posługującą w kafenhauzie na Perze*”, a w osobnym wierszu o stambulskiej piękności wyjaśnił:

W szynkowni przychodzącym wynosiła strawę.
Ile urząd nieświeżny, tyle piękność ciała
Wszystkie świata wielkości wdziękiem przewyższała.

Wcześniej zwrócono uwagę na piękność Zofii. A była *Glavani* jedną z tych stambulskich Greczynek, o których autor wydanego w Polsce w 1786 r. dzieła „*Wiadomości o państwie tureckim*” pisał, że „*są umysłu wysokiego, lubiące strój, ozdoby i zaloty, złośliwe przy tym i niestałe w kochaniu, i co jest najwięcej, że nigdy kobiety nie zdradzają bardziej mężów jak Greczynki...*”

Często się nawet zdarza, że trują i mężów, chcąc dogodzić zmysłom i intrydze. Ta charakterystyka jak najbardziej odnosi się do Zofii, jest jakby dla niej napisana. Wprawdzie nie otruła żadnego ze swych mężów, ale za to drugiego z nich zdradzała z jego własnym synem z pierwszej żony, przyprawiając małżonka niemal o utratę zmysłów. Swobodę obyczajów poznała piękna Zofia

już w stambulskich kafejkach i domach zajezdnych, wierność była dla niej pojęciem z gruntu obcym, podobnie zresztą jak wszelka uczciwość.

Wysłannikiem królewskim do Porty, który wydobyl Greczynkę z oparów kafejki w Stambule, był *Karol Boscamp Lasopolski*. *Niemcewicz* w ironicznym wierszu mówi, że „*jednego poranku, kiedy fusy w kamiennym gotowała dzbanku*”, stanęła przed dziewczyną wróżka przysłana przez *Boscampa*, „*co był króla posłem i rajfurą*”, wołając do niej:

„...nie do tej stworzonaś roboty,
Lecz byś królów swoimi cieszyła pieczyoty!
Porzuć fusy i kawę, i te garnki mleka:
Godniejsze wdzięków twoich przeznaczenie czeka!...
Najpierwszego z magnatów dzielić będziesz łoża.
A chociaż się biedną zrodziła dziewczyną,
Rzadką przypadków pierwszą ty będziesz sprężyną;
Lupić skarby, czarować — oto twoja dola!
Idź ze mną, taka władz jest niepojętych wola!”

Tak też się stało w istocie. Ale nim zajmujemy się dalszym życiem i działalnością Zofii Greczynki, przedstawmy *Karola Boscampa*, „*dypłomate i awanturnika w służbie Stanisława Augusta*” — jak mówi o nim „*Polski Słownik Biograficzny*”.

Boscamp uchodził za Włocha, ale w rzeczywistości pochodził z Niderlandów. Jakiś czas przebywał we Francji, potem kilka lat na Wschodzie, gdzie wypłynął w czasie wojny siedmioletniej jako agent posła pruskiego *Fryderyka II* w Konstantynopolu, *Rexina*, a następnie jako jego agent przy boku chana Krymu *Gireja*. Władzał biegle francuskim, holenderskim, tureckim, polskim, niemieckim, włoskim, wołoskim, angielskim i łaciną. Intrygował, gdzie się tylko dało. Marzył przez całe życie, aby zostać stałym posłem przy dworze sułtańskim, zresztą obojętne mu było czyim. Turcy nigdy mu jednak nie wierzyli i nigdy nie dali mu tzw. *agrément*. Jeździł tylko do Turcji, wypełniając krótkotrwałe czynności dyplomatyczne. Po kłótni z chanem o jakąś kobietę stał się niepotrzebny dla Prusaków. Wtedy zjawił się w Polsce (w 1764), ofiarując swe usługi przyszłemu królowi *Stanisławowi Poniatowskiemu*. Przydał mu się niebawem, kiedy *Porta* nie chciała uznać jego wyboru na króla. Dwukrotnie wojażował do Stambułu, wypełniając tam różne zlecenia, a kiedy uzyskał w Polsce indygenat, czyli szlachectwo, przydał sobie drugie nazwisko, podpisując się odtąd *Boscamp Lasopolski*.

Wykonywał on później wiele przeróżnych czynności, wiązał się z wrogami Polski, został agentem carycy, szpiegował konfederatów barskich, intrygował między państwami, działał wyraźnie na szkodę kraju, który go żywił i któremu zaprzysiągł służbę, aż podczas rewolucji warszawskiej w 1794 r., kiedy w jednym ze zdemolowanych poselstw znaleziono jego kwity za usługi szpiegowskie, nie zdążył umknąć z rąk ludu Warszawy i skończył na szubienicy.

Liczna gromada dzieci *Boscampa* z kilku żon rozeszła się po świecie. Jeden z synów, *Karol Fryderyk August de Boscamp Lasopolski* kształcił się w Krakowie, świetnie mówił po polsku, a później został dyrektorem urzędu górniczego w Tarnowskich Górach, dobrze się przysługując rozwojowi śląskiego przemysłu.

Z drugiej podróży do Porty przywiózł *Boscamp* „oprócz ciekawych opisów wewnętrznych spraw Turcji” słynną piękność, *Zofię Greczynkę*, obok bōwmiem wielu czynności trudnił się jeszcze tym, co się dzisiaj określa mianem handlu żywym towarem.

Zofia przeznaczona była dla króla *Stanisława Poniatowskiego*, ale nie od razu do Warszawy dojechała. *Niemcewicz* twierdzi, że „*ledwie stanęła w pogranicznym miasteczku Zwańcu, odgłos jej nadzwyczajnej*

piękności już się w Warszawie rozszedł i pa-
dła trwoga na wszystkie królewskie kochan-
ki, głównie zaś na panią Tomasis, panującą
naówczas”.

Pani Tomasis to Katarzyna, dużej urody
baletnica, wtedy królewska faworyta, żona
włoskiego aferzysty Tomasisa, dyrektora
warszawskiego teatru i właściciela modnej
restauracji w Stolicy. Z jej inicjatywy wy-
ślano — według Niemcewicza — specjalne-
go wysłannika do Zwańca z rozkazem za-
trzymania Greczynki.

Ze Zwańca zawiózł Boscamp Zofię do Ka-
mieńca Podolskiego, granicznej twierdzy
ówczesnej Rzeczypospolitej, którą dowodził
generał Jan Witt de Witte. Zakochał się tam
w niej na zabój jego syn major Józef Witt,
który później, po śmierci ojca, objął kome-
ndę nad twierdzą. W czerwcu 1779 r. doszło
do konspiracyjnego ślubu, gdyż stary Witte
— Ormianin sprzeciwiał się stanowczo temu
małżeństwu. W dwa lata po tym pani Zofia
Wittowa, już jako generałowa, odbywa z
mężem liczne podróże, odwiedza wielkie
stolice i dwory, wzbudzając wszędzie sen-
sację.

Przybyła także do Warszawy. Wtedy to
zobaczył ją po raz pierwszy Niemcewicz i
zanotował: „ostupiałem jak drudzy; widok
jej sprawił zawrót powszechny, o niczym nie
rozmawiano, jak tylko o pięknej Greczynce.
Kiedy raz pokazała się u pani hetmanowej
Ogińskiej, tak wszyscy stracili przytomność,
iż zapomniawszy przywoitości, jedni obsta-
pili ją hurmem, drudzy, by lepiej cudo to
widzieć, na stoły i stołki wlazili”.

Wtedy też przedstawiono ją królowi, dla
którego początkowo przeznaczyl ją Boscamp.
Wiadomo, że król spotykał się z nią następ-
nie po kryjomu. Wyszukanemu estecie, rów-
nocześnie lubieżnikowi nie przypadła jednak
na dłużej do gustu, podobno miała niezbyt
zgrabną stopę. Ale inni za to za nią szaleli,
wybierała tylko niektórych, przy czym nie
można powiedzieć, by ich było mało.

Wkrótce po wizycie w Warszawie została
Wittowa agentką carycy Katarzyny II. Go-
ściła często w Petersburgu, na czele wy-
cieczki polskich magnatek odwiedziła rodzi-
nny Konstantynopol. Rzekomo dla zobaczenia
starej matki, w rzeczywistości chyba, jak
przypuszcza prof. Reyman, w „misji dy-
plomatycznej” lub po prostu szpiegowskiej.

Pogranicze polsko-tureckie — informuje
prof. Reyman — było w XVIII wieku te-
renem ożywionej akcji politycznej. Pozornie
zgniła i rozpadająca się Turcja Ottomańska
miała bardzo rozgałęzioną organizację wy-

wiadowczą. Posługiwała się szeroko rozbu-
dowaną siecią informacyjną gospodarów mo-
dawskich, którzy śledzili dokładnie wszyst-
ko, co się działo w Polsce i przekazywali ra-
porty z zadziwiającą ścisłością. Właśnie przez
Kamieniec, przejściową siedzibę pięknej Zo-
fii, i sąsiedni Chocim przechodziły nici tej
sieci, tu się zbiegały i koncentrowały. Tu
wszyscy pracowali „dla kogoś” — i handla-
rze ormiańscy czy żydowscy, urzędnicy, księ-
ża francuscy i włoscy placówki misyjnej w
Jassach. Reyman przytacza dowody dzia-
łalności Wittowej na tym polu. Generał mał-
żonek też nie był w tym wszystkim bez wi-
ny. I na pewno nie bez powodu w czasie po-
nownej wizyty Wittów w Warszawie kurso-
wały szeroko na ich temat takie zagadki:

W Stambule postradała wieńca,
Przyjechała tu z Kamieńca,
By udziałem swego ciała
Winy mężowskie zmasała.
Znając swoje złe sprawy
Przywiózł ją do Warszawy.
Tu, choć mu różek przysposobi,
Ale go nadal komendantem zrobi.

„Przez czterdzieści lat — mówi o Witto-
wej jeden z badaczy — gorszyła Europę swą
pięknością, swymi grzechami i swymi zbrod-
niami.” Uległ jej urokowi między innymi po-
wiernik Katarzyny II, książę rosyjski, dy-
plomata i feldmarszałek Gregorij Potiom-
kin. Poznał ją w Jassach, gdzie — jak po-
daje głośna malarka Elżbieta Vigee-Lebrun
— wymyślał na jej cześć różne szaleństwa.
Zaprosił m. in. na bal wyprawiony przez
siebie dwieście pań, każdej ofiarował wspa-
niały szal kaszmirowy, aby najpiękniejszym
obdarzyć Greczynkę.

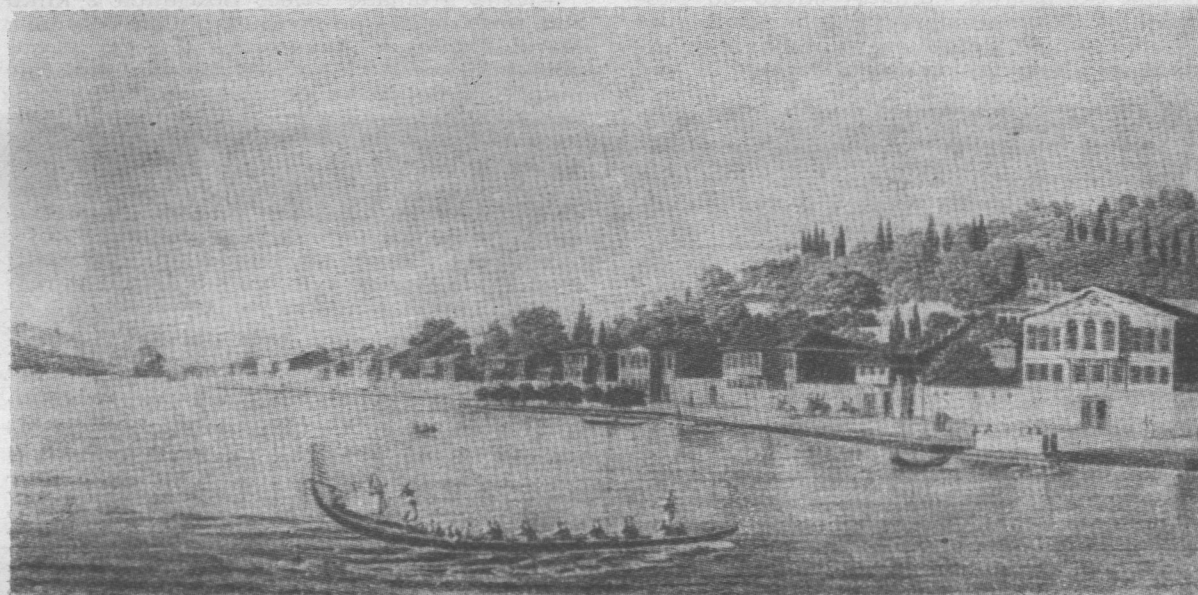
Niemcewicz informuje, że zdobycie Zofii nie
przyszło Potiomkinowi trudno. „Zawołał ją z
rana do siebie. Zastąpiła go leżącego w sobo-
lowym tułubie, rozmamianego, rozczochrane-
go, włosy miał pokryte puchem. Przy łożu
stała szkatuła, pełna rozmaitych drogich ka-
mien i perel. Przebiorając w nich garścią,
wziął je, dłoń całą dał Wittowej i nasycił
swe chuci...”

Tyle Niemcewicz z archiwalnych doku-
mentów i plotek. Wiadomo ponadto, że Wit-
towa prócz garści cennych kamieni wyniosła
jeszcze inną korzyść. Potiomkin mianował
jej męża komendantem Chersonu.

Okres najpodlejszych wyczynów Galvani-
-Wittowej na polu politycznym miał jednak
dopiero nadejść.

Antoni GÓRSKI

Pera, siedziba przedstawicielstw dyplomatycznych przy Porcie Ottomańskiej. Stąd Karol Boscamp-Laso-
polski przywiózł do Polski piękną Greczynkę — Zofię Galvani — późniejszą Wittową-Potocką



DLACZEGO SIĘ ŚMIEJEMY?

ŚMIECH jest wrodzoną cechą natury
ludzkiej. Niemowlę już w drugim
miesiącu życia zaczyna układać bu-
zię do śmiechu, dając nim początkowo wy-
raz swemu zadowoleniu z życia, a w
miesiącach późniejszych — także typowo
ludzkiej chęci do nawiązywania i utrzy-
mywania towarzyskich kontaktów. U
człowieka dorosłego śmiech jest wypróbo-
wanym sposobem zmniejszenia psychicz-
nego napięcia i przywrócenia równowa-
gi, toruje drogę stosunkom przyjaźni, ula-
twia wybrnięcie z nieoczekiwanych sytua-
cji, pozwala znieść pogodnie troski, a
nawet cierpienia, jakich nie szczędzi nam
życie. Śmiech jest oznaką zdrowia; czło-
wiek, który nie potrafi się śmiać, jest
prawie zawsze ofiarą jakichś zaburzeń
psychicznych, bądź znajduje się w stanie
nerwowego napięcia...

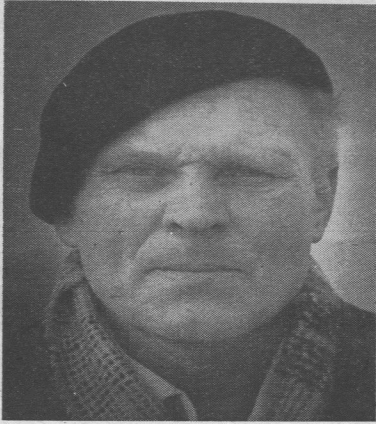
Ale mimo że śmiech stanowi ważny
czynnik ludzkiej natury jego istota nie
została dotychczas w pełni zbadana.
FREUD — zgodnie ze swą teorią nieustan-
nej walki toczącej się w głębi psychiki
ludzkiej między pierwotnymi popędami
naturalnymi a przyswojonymi wskazaniami
cywilizacji i kultury — uważał, że
śmiech jest m. in. formą wyładowania się
owej pierwotnej energii, skrępowanej kul-
turalnym „gorsetem” (np. w dowcipach na
tematy seksualne). SCHOPENHAUER
znowo uważał, że śmiech jest sprzymie-
rzeńcem człowieka w jego walce przeciw-
ko dyktaturze rozumu. Znajduje to m. in.
swoją wyraz w tzw. dowcipach typu „pu-
re nonsens”, czy też w skojarzeniach
sprzecznych z logiką.

Ostatnio filozof nowozelandzki, D. H.
MONRO, ułożył listę sytuacji, na które
zazwyczaj reagujemy śmiechem. Obej-
muje ona 10 pozycji:

naruszenie zwyczajowo ustalonej kolejności rzeczy
(np. ktoś wstaje z łóżka, zaczyna ubieranie się od
nałożenia kapelusza), naruszenie ogólnie przyjętych
zasad postępowania (np. komus głośno odbija się na
proszonym obiedzie), nieprzywoitość (paradowanie
po ulicy w ineksprymablach), niezwykle sytuacje (pi-
jany w kościele), różne niecodzienne przebiegłości (np.
dwóch ludzi w skórce udających konia), gra słów,
nonsens (w formie żartu bądź traktowany poważnie,
choć powszechnie widoczny), drobne nieszczęścia
(pęknięcie na ulicy gumy przy majteczkach), nie-
zgrabność lub nieumiejętność posługiwania się po-
wszechnie używanym przedmiotem (miotkiem w palec
— zamiast w gwóźdź), zakamuflowany przytyk (żona
do męża: dla ciebie małżeństwo to tylko czcze sło-
wa. Mąż: o to więcej niż słowa, to wyrok!).

Monro sformułował również pewne za-
sady, dotyczące wszelkich rodzajów hu-
moru. A więc — nowość lub zaskoczenie
(najlepszy nawet żart słyszany po raz
wtóry wydaje się mniej śmieszny). Dru-
ga cecha to niezwykłość skojarzeń (Czy
Pan jest żonaty? Nie, ale mam niekrepu-
jące mieszkanie). Na ogół — stwierdza
Monro — ludzie tak przywykli do stereo-
typów w swym sposobie myślenia, że
każde odejście od utartego szlaku pobu-
dza ich do śmiechu. Toteż choć można
ustalić, z czego się śmiejemy, nie zawsze
potrafimy wyjaśnić, dlaczego...

Próbie taką podjął jednak ostatnio in-
ny uczoney, GEORG B. MILNER, lingwi-
sta ze studium orientalnego i afrykani-
stycznego w Londynie. W czasopiśmie
„New Society” opublikował on artykuł, w
którym twierdzi, że człowiek jest w poło-
wie produktem kultury — i w połowie
produktem natury. Na wpół cywilizowa-
ny i na wpół pierwotny, stara się nieu-
stannie zgrać ze sobą tkwiące w nim
sprzeczności. Popchnięty zbyt daleko w
jednym czy w drugim kierunku, instynk-
townie rozpoznaje niebezpieczeństwo, a
śmiech przywraca mu równowagę psy-
chiczną.



O Leonidzie
Telidze
co
samotnie
opłynął
Ziemię

Wojciech ŻUKROWSKI

W NAJDŁUŻSZY REJS

NIE POTRAFIE jeszcze myśleć o Nim jak o zmarłym, choć na ogół łatwo przystajemy na odejście nawet bliskich osób. Tłumaczymy sobie konieczność kresu rozpatrując chorobę, doszukując się zrozumiałych przyczyn, trudniej jednak pogodzić się ze świadomością, że już nigdy, że powietrze się zawarło i wygładziło szybciej niż woda, nie ma Go, odszedł i nie wróci, choć tyle razy powracał niespodzianie. A wraz z Nim, przepadła i częśćka nas, wspólnych zabaw młodości, słonecznych godzin na wagarach, prostego rozradowania, jakie sprawia poczucie siły, sprawność mięśni, pewność, że świat do nas będzie należał.

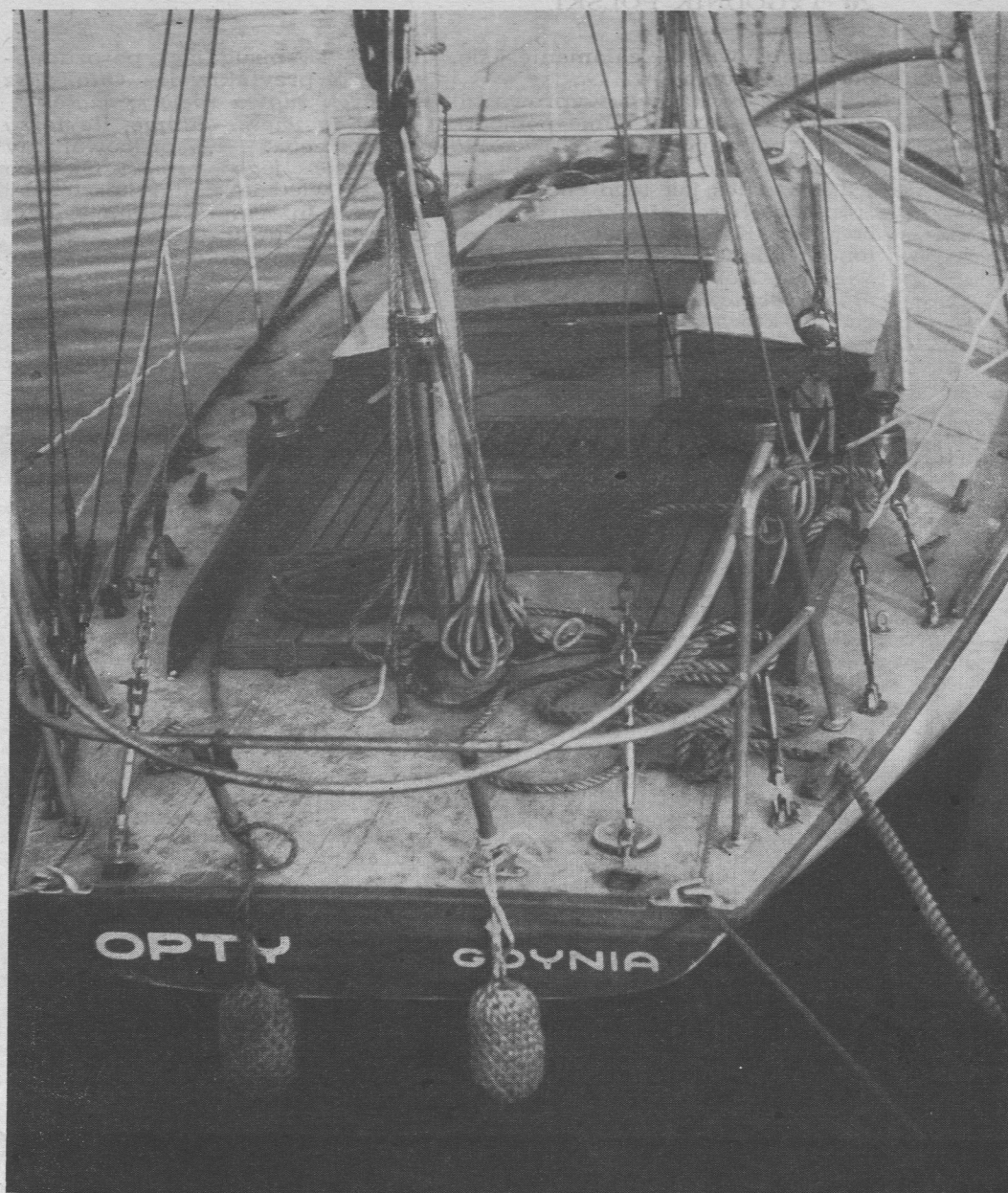
Wyścig na szczyt topoli pod srebrzystym obłokiem, którego zdawało się można sięgnąć ręką, a ciepły wiatr pachnący kwitnącym żytem kołysał, kołysał jakby ziemia nabierała obrotów. Opadanie z kamieniem w wyciągniętych rękach w czarną, coraz chłodniejszą głębinę glinianek, aż po zaciśnięcie w garści puszystego mułu i ucieczka ku górze, światło łykane z pierwszym oddechem. Wyprawa w mszczonow-

skie lasy na pożyczonych rowerach, zaskroniec wijący się pod koszulą, powoli nabierający ciepła od ciała spieczonego czerwonym słońcem. Widzę Cię jak skaczesz napięty, opalony, same mięśnie, by ściąć z suchym kłaśnięciem piłkę nad siatką... Pamiętam ogród przy wypożyczalni. Zojkę podobną do zadumanej sówki, cierpki smak smykanych w zakłopotaniu porzeczek...

Któż z nas wtedy nie marzył o wyprawach dalekich, nie pochłaniał podróźniczych książek. Na konarach czereśni żeglowaliśmy w podmuchach oddychającej ziemi, objedzeni do smutku, z pociemniałymi ustami. Już wtedy chciałeś wyruszać na oceany. A życie dokoła było jakby skarłale, trzeba się było mocno natrudzić, wykonać sto zabiegów, naczapkować, żeby dostać pracę. Dziś się nawet wierzyć nie chce, jakie upokorzenia rodzice znosili, byle móc dzieci wykarmić, zapewnić im kosztowne wykształcenie.

Pamiętam chwile, kiedy na początku roku powiedziałeś, że przyjdzie nam się pożegnać, że opuszczasz naszą budę, bo matki nie stać na opłacenie czesnego.

Inna szkoła, inni koledzy. U-



„Opty” sławnego żeglarza — kapitana Leonida Teligi. Na tym małym jachcie jako pierwszy Polak opłynął w samotnym rejsie naokoło całej kulę ziemską

kończyłeś gimnazjum dzięki niezwykłej zycziwości profesorów w Grodzisku. Ale przyjaciółmi zostaliśmy nadal. Poszedłeś do podchorążówki, na zawodowego, bo chciałeś odciążyć rodzinę, miałeś od razu mundur, wyżywienie, stałą pracę, a za parę lat i pozycję społeczną. Byliśmy już wtedy, jak przystało na młodych, skłonni do buntu, lewi. Nie tylko wiersze *Szymańskiego*, *Wandurskiego*, *Broniewskiego*, ale i wydarzenia poruszały nas mocno, zmuszały do zażartych dyskusji: *Gaston Koeller* zastrzelony przez *Juliana Blachowskiego*, procesy młodych Ukraińców, strajk głodujących górników w sztolniach kopalni *Klimontów*, biedaszyby, bezrobocie, młodzi inteligenci szlifujący bruki, wyzyskiwani, przyjmowani na długie bezpłatne terminowanie za samą nadzieję, że jeśliby zjawiała się okazja zostaną zatrudnieni.

Spotkałem Go w czasie urlopu, postarzałego nagle, może do tego przyczynił się mundur, galowy i rzemienny pas. Trudno przychodziło o chłopięcych planach rozprawić bez politowania, już każdy z nas wiedział, nie mamy szans, by wyruszać na dalekie wyprawy. Uparcie powracała myśl o wojnie, gdyśmy pod mianowskimi sosnami przechadzali się znacząc ślad w śniegu oprószonym czerwonymi strzępami kory i czarnymi, dwoistymi igłami. Dlatego z taką swobodą gadaliśmy o wojnie, bo nie wierzyliśmy, że nadejdzie naprawdę.

A jednak przyszła.
Nie widzieliśmy się siedem lat.

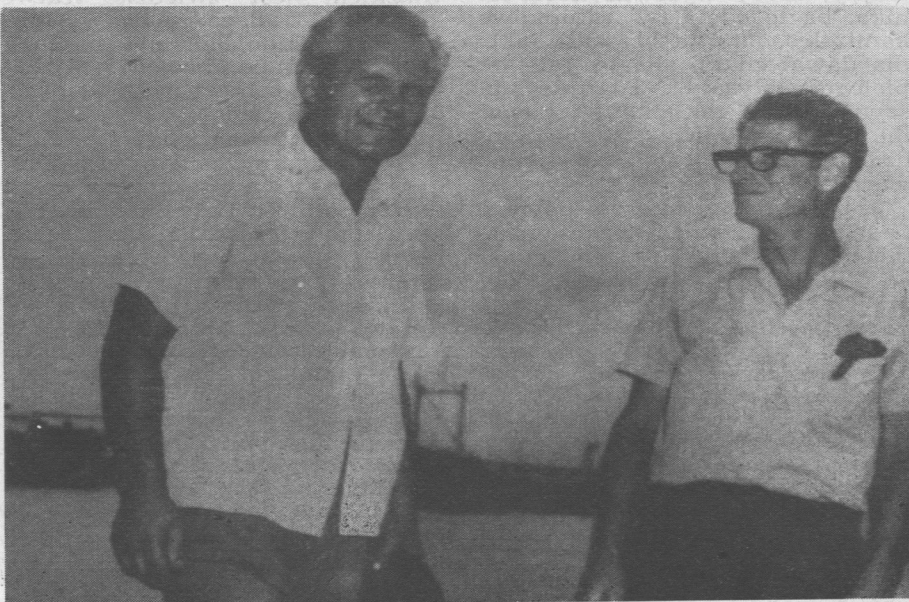
— *To nie jest nasz Lolek* — ostrzegala mnie żona, która też go znała jeszcze ze szkoły — *on się bardzo zmienił, a może go zmienili, nie wiesz co przeszedł i kim jest dzisiaj.*

Był jak drzewo, które wyrosło, bo mu odrąbano dolne gałęzie. Mówił przez zaciśnięte wargi, w oczach miał chłód. Bardzo powoli ten chłód tajał. Zbyt długo krążył po dalekich orbitach, żeby nasze małe prowincjonalne dzieje mogły go zainteresować. Przeszedł przez Ukrainę, już we wrześnie spruł dystynkcje i stał się cywilem. Sam szukał pracy, z mechanika kołchoźnego dostał się do kutrów rybackich, wypływał na połowy aż po turecki brzeg, ku Dardanelom. A gdy wojna wybuchła i pancerne armie pałac wykłoszone łany uderzały na Krym, ewakuował nocami rannych i dzieci. Marynarze zbrojni w karabiny przemykali się pod żaglami, jeśli ocaleli, to tylko dlatego, że ich kuter był niegodnym celem dla Stukasów, pchłą czarnomorską.

Brał udział w zaciekłych walkach na Kerczu, w słonych limanach, gdzie błoto jak mnie zapewnił, miało smak krwi.

A potem przyszedł układ generała Sikorskiego. Polacy stawiali się sojusznikami, formowano armię. Zgłosiłeś się do niej, chciałeś walczyć o wolną Polskę. Ale Anders nie wierzył, że Związek Rad się utrzyma, jeszcze jed-

Leonid Teliga w porcie Cristobal, znajdującym się po atlantyckiej stronie Kanału Panamskiego. Razem z Teligą w Cristobalu znalazł się dnia 5.VI.1967 inny samotny żeglarz — Michael Law (z prawej), płynący na jachcie „Windsor”



na ofensywa i załamanie się, bohaterski opór.

Wbrew rozkazowi wyprowadził żołnierzy. Anglicy mu pomogli, bo ich potrzebował w Afryce, do obrony swego imperium.

I poszedłeś jak tego chciałeś na front, najbardziej określną drogą bo przez Kanadę, gdzie Cię szkolono w nawigacji, latałeś w *Dywizjonie Bombowców im. Ziemi Mazowieckiej*, tej najbliższej sercu, tej która się sosnami, lasami, zagonami łubinów jawiła pod powieką, gdy pomyślałeś — Ojczyzna.

— Nie mam żalu do Niemców — bo to byli Niemcy, nie żadni hitlerowcy jak dziś uprzejmie próbujemy rozdzielać, gdyby każdy z Polaków mógł tak wyróżniać rachunek, nie mielibyśmy kompleksów, żeśmy zawsze przy czyimś boku, na przyprzążkę — mówił z niedobrym uśmiechem. — *Lecieliśmy z ładunkiem bomb, a oni lizali reflektorami chmury. Naród wybrany, naród panów... Boga też chcieli zatrudnić po swojej stronie, chcieli mieć pewność zwycięstwa. „Gott mit Uns” wytłoczyli na klamrach pasów, nawet nie wiedząc, że przywołują Sędziego. Lecieliśmy z Jego wyroku. Gotowało się pod nami dudnienie eksplozji, błysk przy błysku, a potem pożarami rozjarzało pięknie... Tak, świadomie użyłem tego słowa. Nie tylko samolot, myśmy też czuli w sobie pustkę — dokonało się. Chcieliśmy tylko wracać jak najszybciej — po prostu wiać...*

Ci z dotu strzelali niebu w brzuch, a myśmy w nim się kryli. Aby tylko nie dostać, człowiek się kurczy, żeby stanowić mniejszy cel, a samolot zostaje taki sam jakby stał na pasie startowym... Byłe tylko dociągnięciem nad Anglię, tam przynajmniej można było skakać...

Boże, jak on umiał opowiadać! Oszczędnie, znajdując trafne słowo, bez aktorskiej przesady punktując akcję. Przywoływał obraz, wciągał słuchaczy w nastrój. Dlaczego nie chodziliśmy za nim z magnetofonem? Tyle roztrwonionych opowieści, tyle wieczorów przegadanych, z których poza bólem głowy, bośmy popijali tego, zostaje wrażenie czegoś pięknego, niepowtarzalnego, anegdota się wymyka pamięci.

W dniu otwarcia Wystawy Ziem Odzyskanych opiekował się gośćmi z zagranicy, miał to poczucie wyższości, był komunistą, ale i znał cenę jaką dotąd przyszło płacić za próbę wygrania pokoju.

Wspominam o tym, bo mimo wojny domowej były to dobre czasy, kiedy wierzyło się, że ten co orze i sieje będzie plon zbierał. Latałem rozbite pociskami ściany domu nad Słezą, kończyłem studia, uczyłem dziecko stawiać pierwsze kroczki... Choć miałem już sygnały. Dlaczego Teliga nie został w MSZ? Bo chyba jasne jest dlaczego nie został, choć mógł, na Zachodzie. Zepchnięto go, poszedł terminować do „Sztandaru Młodych”. Teliga, matros i żołnierz, gorzko tamte lata przeżywał, czuł się współwinnym, tak jak Borowski za to, że cało wyszedł z Oświęcimia.

Miał w sobie dobroć, która zawsze bywa słabością silnych. Był głodny ciepła, serdeczności, objawów przyjaźni. Ożenił się, cenilem Wandę, to była kobieta na niepogodę, na trudny czas. A on nie był łatwym towarzyszem. Miał tę swoją szaleńczą, obsesyjnie powracającą myśl — zbudować jacht i opłynąć glob. Słucha-

liśmy i mrugając porozumiewawczo, przytakiwali. „Oho, nasz Loleczek znowu rozwija żagle!”

Czy ty wiesz, chłopie, ile forsy na to trzeba? — próbowaliśmy przygasić jego zapał. Okazało się, że wiedział. Miał kosztorysy i plany. Już całym swoim życiem rozgospodarował.

Wyjeżdżał jako tłumacz do Korei. Wiecie co stamtąd przywiózł? Dobry łuk i kołczan ze strzałami. Podobnie było w Rzymie, a potem w Laosie. Inni wracali wozem, on ciulał uparcie, na drewno, na ożaglowanie, na wyposażenie kajut, na motorek... Pukaliśmy się w czoło, kompletny pomyleniec.

Wreszcie, a łeb mu siwiał, oznajmił triumfalnie, że mu szutnik osadził stempkę, szaluje kadłub. Potem uroczystość spuszczenia na wodę i znowu okazało się, że pieniędzy braknie, trzeba chodzić, prosić, dziadować. Ponieważ nie dorwał się do państwowego cyca, nie doił ze wspólnego, tylko sam, trudno było o protektorów. Wojsko dało komandosowskie porcje i rakietnice, żeby mógł przywołać pomoc, jeśli prócz mewy coś dojrzy na ołowianym niebie, nad zbielałą od piany falą. Trochę dobrzy ludzie przynieśli, wygrzebali ze złomu, przecież spełniał ich chłopięce marzenia, z których dawno zrezygnowali opadłszy na biurowe stołki. Płynął za nich wszystkich, uskrzydlał nadzieje młodych. Dziś się lekko mówi „nasz kapitan Teliga”, wtedy miano go za samobójcę. Żeglarze w niego wierzyli, polska marynarka handlowa szczerze mu pomogła. Ale problemy mnożyły się jak pluskwy, jak u nas bywa, nawet ważność paszportu, bo to aż na trzy lata, a daje się tylko na rok. Bank Narodowy odpalił mu piątkę jak każdemu turyście na Zachód, pięć dolarów, żeby nie było wątpliwości. Wyjeżdżał na dwa lata co najmniej, mając ich zaledwie kilkaset, a przecież czekały go opłaty portowe, nieuniknione naprawy, korespondencja, po prostu znaczki na list i te dolarki się wysmykują niepostrzeżenie... A tam trzeba za wodę do baku też nimi płacić... Dawał czasem sygnały, że jest mu ciężko ale nigdy o nic nie prosił. Listy chowano do biurka jako przejaw chwilowej słabości, no i obeszło się bez wydatków... Z ulgą witano następnym komunikat, że płynie dalej.

Chichester... Co za wspaniałe wyposażenie, radiostacja nadawcza. Flota wojenna i handlowa Wielkiej Brytanii postawiona w stan alarmu. Nieustanna łączność, niemal podawali go sobie z rąk do rąk. Zrzucali mu pocztę z helikopterów.

A nasz? Tfu, u diabła, nie będę się roztkliwiał. Jemu Australia odmówiła zezwolenia na lądowanie, akt tak haniebny, że wart odnotowania. Pisał do mnie, że zarobił parę dolarów, bo sprzedał malowane przez siebie akwarelki, wydrukował wiersz po włosku, spotkał Polaka na antypodach, bo gdzie ich losy nie rzuciły, i znalazł nie tylko pomoc, ale i serce, namiastkę domu.

Nieraz przychodził do mnie jego brat i z żroską obliczaliśmy czy już nie powinien nadejść jakiś znak życia. Widywały go polskie statki, obdarował go kiedyś i rosyjski, ale Teliga wybierał szlak z dala od uczęszczanych tras, bo chciał bodaj parę godzin przespać, bał się, że światła pozycyjnych ze stalowych kolosów



Załoga Lancastera *Dywizjonu im. Ziemi Mazowieckiej*, pierwszy z lewej kpt. pil. Stanisław Abramowski, drugi Leonid Teliga. Stare dzieje lat wojny

nie dostrzegą, rozjadą go i zatopią, tylko chrupnie.

Samotność, dociekałem, czy ciężko Ci było ją znieść miesiącami? Może i mewa.

— Tyle miałem do roboty, że nawet nie starczyło czasu, żeby się ogolić.

Obrastał, wyglądał jak jeden z Trytonów towarzyszących Neptunowi. Spalony na brąz z wielką brodą, okaz zdrowia. Tylko za zdrowie. Ale kiedy ją zgolił, obnażyła się twarz ściągnięta, poprzez skórę spierzchniętą od soli rysowała się konstrukcja czaszki. Czulo się piętno śmiertelnego utrudzenia, jeśli nie choroby.

— Miałem bóle — przyznał się, kiedy już siedzieliśmy w słońcu, pośród kwitnących krzewów szpitalnego ogródka, było po operacji, było już tak dobrze, że planował nie tylko książkę napisać, ale samemu opłynąć wybrzeże z odczytami. Lekarze świetni, pacjent twardy, tylko choroba była niedobra. — Jak mnie nocą złapało, pomyślałem, że wrzód żołądka, z konserw i starej wody... Złapało i nie chciało puścić. Już nie byłem sam na OPTY. Przychodziła myśl, żeby się pozbyć tego niepotrzebnego pasażera, żeby go utopić... Czasami tak mnie zmogło, że ba-wiłem się w mola... No, rozumiesz, koc gryzłem. A musiałem płynąć. Tak niewiele już brakowało do ukończenia rejsu. Mówiłem sobie: jeszcze parę godzin, jeszcze dobie. Nie stawiałem sobie długich terminów. Przywiązałem się linką, żeby w chwili zamroczenia nie wypadł za burtę.

— A mew nie lubię, mają dzioby jak haki — dorzucił jeszcze.

I wtedy przypominałem sobie jego dawne opowiadanie z czasu wojny, kiedy wyłowili nocą lotnika, bryłę odętą w ratunkowej kamizelce, latarka błyskała jakby nią dawał znaki, ale to fale topielcem kołysały... Te miłe ptaszynki, które tak chętnie karmimy rzucając kawałki bułki, wydziobały mu oczy, wyszarpały wargi...

Z męczeńskim uporem dobił do Casablanki. Powiecie, że sam sobie taki los wybrał, że nie ma go co żałować. Może. Opasał białoczerwoną wstęgą glob, opłynął go w pojedynkę. Pierwszy z Polaków. Chciałoby się, żeby przeżył należną mu radość, uczucie triumfu, wiedział, że jego wyczyn został należycie doceniony. Dlatego jakże wdzięczny jest tym, którzy do niego listy pisali w czasie podróży, dodawali mu otuchy, wierzyli w powodzenie wyprawy. Dobrze, że „Trybuna Robotnicza” szczerze się nim zainteresowała, nagliła o reportaż,

bo inaczej mielibyśmy sam dziennik pokładowy, rejestr manewrów nawigacyjnych i sygnały pogody, niewiele z tego da się odtworzyć, co żeglarz naprawdę przeżywał, można by sądzić, że płynął jak na transatlantyku tylko nieco dłużej, że pasat odwiał mu wszystkie troski, a wiem z listów, że to nieprawda. Miał swoje chwile zwątpienia i halucynacje wywołane samotnością.

Dobrze, że znaleźli się ludzie, którzy dali mu złudną chwilę zadowolenia z siebie, choć wiedzieli jaki jest stan jego zdrowia, że auto, którym się tak ucieszył bo nigdy go nie było stać, żeby je sobie kupić, wysokie odznaczenie, komandoria, to trochę jak zabawki przynieszone na pocieszenie, wiadomo, że jutro śmierć je odbierze. Jestem osobiście wdzięczny ministrowi Szopie, że wyszedł żeglarzowi naprzeciw, że dobrze rozumiał, ta sprawa nie kończy się mogiłą na Powązkach, tylko trwa, będzie rosła w legendę.

Przecież cały ten szalony rejs nie został podsunięty światu w czasie trwania, jakoś przemknął się bokiem, był sprawą na wskroś polską, a więc marginalną. Może dopiero znaczek pocztowy go rozślawi.

Zostały w jego celi, bo trudno to pokojem nazwać, paczki listów, zeszyty z notatkami, papierzyska. Trzeba to uporządkować, przebrać, skatalogować, chyba brat jest do tego najlepszy, bo przez jego ręce szły wszystkie materiały w czasie rejsu, najwięcej wie, dużo się nasłuchał. Trzeba zachować „Opty” nie jako obiekt muzealny, ale mądrze użyć. Jeśli w Sztokholmie obowiązkowo jest zwiedzić tratwę „Kon Tiki” dlaczego by w Gdyni, czy Swinoujściu nie miałyby łajba Teligi popracować, z biletołów zebrano by na stypendium dla młodego żeglarza, stypendium imienia kapitana Teliga.

Był skromny, łatwo przystępny, skory do przyjaźni, bardzo go ludzie polubili. Człowiek nie tylko z charakterem, ale i z sercem. Niepostrzeżenie wyrósł na bohatera, miliony młodych uznały go za swego żeglarza. Nie jest to sezonowa sława. I wcale się nie zdziwiłem wielotysięcznym tłumom, jakie go żegnały, przyszła warszawska ulica.

Wyruszył na ostatni rejs, w wieczność. A dzień był słoneczny, zielen soczysta i szpaki, kiedy orkiestra żałobna ucichła, śpiewały tak jakby wiedziały, kogo przyjmuje płowy, mazowiecki piach.

„Stolica”

WYBITNI FRANCUZI POTOMKOWIE POLAKÓW

dr Stefan WŁOSZCZEWSKI

W POŁOWIE 1938 roku *Institut Badań Naukowych nad Emigracją Polską we Francji* (założony na początku 1938 r. i kierowany przez niżej podpisanego) wystąpił z inicjatywą powołania do życia nowego — oryginalnego — zespołu pn. „*Stowarzyszenia Francuzów — Potomków Dawnych Polskich Emigrantów*”.

Celem tego ugrupowania miała być akcja na rzecz zbliżenia kulturalnego pomiędzy Francją a Polską i zabezpieczenia śladów po dawnych, często bardzo zasłużonych dla Francji emigrantach. W ten sposób potomkowie ich spłaciliby swój dług moralny wobec ojczyzny dziadów i pradziadów.

Dawni emigranci z Polski! Cóż to za nowy termin?

Nie cofając się za daleko, a więc choćby do czasów pobytu we Francji i działalności w tej przybranej dla nich ojczyźnie *Nowodworskich* i *Łaskich*, *Przyjemskich* i *Maurycych* *Saskich*, warto przypomnieć, że już za czasów napoleońskich całe mnóstwo patriotów polskich — działaczy na *Sejmie Czteroletnim*, względnie entuzjastów *Wielkiej Francuskiej Rewolucji*, wyemigrowało z Polski do Francji, bądź jako uchodźcy polityczni, bądź jako dobrowolnie przybyli emigranci, nie mówiąc już o potomkach tych dworzaków polskich króla *Stanisława Leszczyńskiego*, którzy, jak *Łazowscy*, po śmierci suwerena na Lotaryngii pozostali we Francji.

Najwybitniejszym chyba z żyjących w 1938 r. przedstawicieli tych emigrantów z epoki Rewolucji i wielkiego Napoleona, był sędziwy już wówczas, ale wciąż jeszcze czerstwy starszy pan, profesor Sorbony i prezes Paryskiej Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, *Fortunat Strowski*. Zapytany, dał natychmiast swą zgodę na przystąpienie w charakterze członka do mającego powstać stowarzyszenia, a także udzielił swych cennych wskazówek odnośnie osobistości, które należałoby zaprosić, a o których tylko wtajemniczeni w ich arkana rodzinne mogliby domyślać się ich polskiego pochodzenia. Nazwiska ich brzmiały na przykład: *Marquigny*, *Girard*, a więc całkiem po francusku.

W Paryżu mieszkano, naturalnie, gros tych potomków. Wśród nich najliczniej występowała grupa potomków emigrantów z 1831, z okresu tak zwanej *Wielkiej Emigracji Politycznej*. Niemało okazało się także potomków emigrantów politycznych ze zrywów powstaniowych 1846, 1848, 1863, okresu Wielkiego Proletariatu i wreszcie z rewolucji 1905 roku.

NAZWISKA NA „SKI”

Nazwiska kończące się na „ski” zdradzały oczywiście polskie pochodzenie u *Palewskich*, *Londyńskich*, *Niewęglowskich*, *Szumlańskich* itd., ale których się domyślał, że dyrektor jednego ze znakomitych liceów paryskich — *Marquigny* albo dyrektor rotszyldowskiej *Compagnie des Chemins de Fer du Nord*, *Girard* był stosunkowo świeżego polskiego pochodzenia. Ten ostatni był także profesorem *Ekonomii Społecznej* w słynnej paryskiej *Ecole des Sciences Politiques*, którą między innymi ukończyło wielu polskich dyplomatów i działaczy państwowych — *Gralński*, *Malhomme*, *Boratyński*, *Komarnecki*, itd. Ukończył ją i niżej podpisany.

Jeszcze trudniej było odgadnąć w jednym z byłych gubernatorów kolonii francuskich (o typowo francuskim nazwisku, niestety nie mogę sobie tego nazwiska przypomnieć, a jego właściciel był jednym z najrichliwszych członków przyszłego stowarzyszenia) potomka emigranta polskiego, którego córka czy wnuczka wyszła za rodowitego Francuza. A właśnie ten eks-gubernator jeździł specjalnie do Polski, ażeby poznać siedzibę swego dawnego rodu w okolicach Wiśniowca.

Wyjazd do kilku miast prowincjonalnych — do St. Etienne, Sens, Troyes, Auxerre, Dijon — przyniósł też obfite żniwo. Zwłaszcza bardzo pomyślne pod tym względem były moje wizyty w Troyes (Aube) i w Auxerre (Yonne). Po kilku miesiącach tych rozeznania dysponowaliśmy kilkudziesięcioma nazwiskami kandydatów na członków zaprojektowanego zespołu, a prawie wszyscy reprezentowali pokaźną ilość stosunków i wpływów.

Warto wymienić spośród tych, którzy bądź osobiście przybyli na konstytucyjny zjazd „*Stowarzyszenia Potomków Dawnych Polskich Emigrantów*”, bądź tylko zgłosili swój akces, ale na zjazd przybyć nie mogli i tę niemożność swoją usprawiedliwili — choćby najważniejsze nazwiska. Zacznę od wyliczania potomków najdawniejszych emigrantów politycznych.

A więc na ich czele ustawiłbym już raz wymienionego profesora *Fortunata Strowskiego*, który należał już wtedy, od samego początku istnienia *Stowarzyszenia „France-Pologne”* do jego grona, a w dodatku zgodził się przewodniczyć radzie *Institutu Badań Naukowych nad Emigracją Polską we Francji*, który powstał na początku 1938 r. z inicjatywy piszącego te słowa.

Do bardzo dawnych potomków emigrantów polskich należał także *Niewęglowski*, kuzyn słynnego matematyka, wysoki urzędnik w randze dyrektora departamentu w ówczesnym ministerstwie górnictwa (podczas wojny szefem jego był minister de Monzie).

POŁAMANE TWARZE

Polskiego pochodzenia był także sekretarz generalny *Związku Inwalidów Wojennych* pod głośną i jakżeż wzruszającą nazwą „*Gueles Cassées*” (Połamane twarze), *Szumlański*. Nie pamiętam już, kto go rodził i jak dawne jest jego polskie pochodzenie, ale ten wpływowy człowiek dał w 1940 roku wymowny dowód swej duchowej więzi z polskością. Oto, gdy go do głosu powołał przewodniczący wielkiej manifestacji ku czci Polski, która się odbywała wtedy w wielkim amfiteatrze Sorbony, w obecności przedstawiciela rządu polskiego na wygnaniu, profesora *Stanisława Strońskiego*, *Szumlański* złożył następujące oświadczenie:

„Kiedy leżałem w szpitalu, gdzie mi kawałek po kawałku przeszczepiali skórę na tej potwornej ranie, która kiedyś była moją twarzą, a twarz nie chciała się goić i ciągle gorączkowałem, bacznie obserwująca mnie starsza pielęgniarka razu pewnego podeszła do mego szpitalnego łóżka i zapytała wręcz, co mnie trapi? — Odpowiedziałem, że mi się nie chce żyć, bo cóż ja z taką ohydłą twarzą pocznę w życiu? Wszysey z obrzydzenia będą ode mnie stronić, żadna kobieta nie zechce połączyć swych losów z moimi. Skazany będę na wieczną samotność...”

A na to siostra:

„Mylisz się, *Szumlański*! Ty masz tę wyższość nad innymi, że nosisz na twarzy znak nieomylny, żeś poświęcił Ojczyźnie coś miał najdroższego... Z takim piętnem heroizmu i ofiarności będziesz wszędzie poszukiwanym gościem i pożądanym towarzyszem pracy. I powiem Ci, jako kobieta, że każda z nas chętnie zostanie Twoją towarzyszką życia... A zresztą — dodała po chwili — czyż nie jesteś polskiego pochodzenia? Polacy nie tchórzają ani przed śmiercią, ani przed życiem!”

Od tej chwili coś się we mnie zmieniło. Zaprzagnąłem żyć, a twarz zaczęła się goić. Długo rozpamiętywałem słowa siostry: „Jestem Polakiem”... Przypomniały mi się albumy z fotografiami rodzinnymi, a wśród nich jakaś postać w kontuszach i z karabela... To miał być mój pradziad! Co za rolę grało w mej formacji psychicznej owo polskie pochodzenie?

I oto którejś nocy miałem taki sen: stałem nad grobem, a grób ten nagle się rozwarł i wyszedł z niego taki sam, jak na zdjęciu, kontuszowy jegomość z zawieszonym wąsem i przy karabeli, na której opierał rękę. Na palcu miał taki sam sygnet, który przekazywano u nas z ojca na syna jako cenną relikwiię rodzinną. Mam go i dziś na palcu. Groźnie na mnie spojrzawszy, rzekł: „A cóżeś ty, *Szumlański*, zrobił dla Polski?”

Obudziłem się cały w potach. I odtąd postanowiłem coś dla Polski zrobić. Powiedzieć mi, drodzy przyjaciele, czym mógłbym przysłużyć się Polsce?”

Ten sam „głos krwi” lub raczej jakiś oddźwięk głęboko tkwiącej w każdym z potomków dawnych polskich emigrantów więzi z polskością, skłonił i kilkunastu innych bardzo wybitnych Francuzów, dalszego i nieco bliższego pochodzenia polskiego, do przystąpienia do „*Stowarzyszenia Potomków Dawnych Polskich Emigrantów*”.

Znaleźli się więc w nim, prócz już wymienionych — profesora *Fortunata Strowskiego*, profesora *Józefa Girard* i dyrektorki *Marquigny-Wyszławskiej*, a także dyrektora *Niewęglowskiego* i gubernatora (którego nazwisko wyszło mi z pamięci) — wybitny działacz samorządu z departamentu *Yonne*, *Fijałkowski*, dyrektor paryskiej Akademii Sztuk Pięknych, znakomity rzeźbiarz *Landowski*, którego dzieło zdołał panować w Rio de Janeiro, profesor gastrotechniki w *Institucie Pasteura*, *Edward Pomian-Pożerski*, wybitny artysta i lekarz-ginekolog w jednej osobie, *Antoni Szczypiński*, dzisiejszy przewodniczący klubu poselskiego przyjaciela francusko-polskiej adwokat *Jean-Paul Palewski*, wnuczka *Adama Mickiewicza* panna *Ger-*

maine Mickiewicz (córka zapomnianego *Józefa*), *dr Gierszyński*, syn wybitnego lekarza — emigranta politycznego z okresu Wielkiego Proletariatu i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam, a byli wśród nich i mieszkańcy miast *Saint Etienne* (Loire), *Sens* (Yonne), *Troyes* (Aube) i *Dijon* (Côte d'Or).

Stowarzyszenie odbyło dwa swoje zjazdy: konstytucyjny w 1938 i nadzwyczajny w 1940 roku. Na bankiecie kończącym pierwszy z tych zjazdów mówcami byli: przedstawiciel emigrantów doby napoleońskiej, dalej — z *Wielkiej Emigracji Politycznej*, a jeszcze dalej z okresów 1846, 1848 i 1863, kolejno — profesor *Strowski*, *Edward Pomian-Pożerski*, *Antoni Szczypiński* i *Jean Paul Palewski*. Z tych wszystkich mówców dobrze władał językiem polskim tylko profesor *Pożerski*, trochę mówili po polsku mecenas *Palewski* i *dr Szczypiński*, a zupełnie nie mówili, ani rozumiał języka polskiego prezes paryskiej Akademii Nauk Moralnych i Politycznych. Obrady naturalnie toczyły się po francusku.

„*Stowarzyszenie Potomków Dawnych Polskich Emigrantów*” zaczynało już Polskę oddawać pewne usługi w dziedzinie propagandowej. Na uroczysty bankiet ku czci *Fijałkowskiego*, który odbył się w Auxerre pod przewodnictwem prefekta departamentu *Yonne*, przybył, zaproszony przez organizatorów, ówczesny ambasador polski w Paryżu *Alfred Chałapowski*. Pod koniec 1939 odbyła się także, z inicjatywy *Fijałkowskiego*, duża impreza przyjaźni francusko-polskiej, podczas której odegrany został patriotyczny skecz, gloryfikujący Polskę, pióra młodej francuskiej poetki. Wreszcie, w pierwszych miesiącach 1940 roku odbyła się w wielkim amfiteatrze Sorbony owa manifestacja.

Okupacja północnej Francji przez wojska hitlerowskie przekreśliła działalność *Stowarzyszenia PDPE*, ale nic chyba nie stoi na przeszkodzie, aby została wznowiona, gdyż towarzystwo formalnie nigdy nie zostało rozwiązane i figuruje w rejestrach prawnych.

ECHA DAWNYCH HISTORII

Oczywiście, minęło już 30 lat od tego czasu. Odeszli w zaświaty *Strowski* i *Pożerski*, *Fijałkowski* i wielu jeszcze innych z tych, którzy stanowili kościć ówczesnego zespołu. Ale są przy życiu, wciąż jeszcze aktywni, bracia *Palewscy*, poseł *Jean Paul* i *Gaston*, były doradca generała *Charles de Gaulle'a*, zapewne żyją także *dr Antoni Szczypiński* i wnuczka *Adama Mickiewicza*. Żyją także i ci, do których do 1939 roku nie zdołałem jeszcze dotrzeć — potomkowie *Antoniego Kłobukowskiego*, wysokiego komisarza międzysojuszniczej komisji w 1919 r., potomkowie trzech braci *Łazowskich*, *La Croix-Krzyżanowskich* i *Jezierskich*, profesora *Danysza* i *dr Gierszyńskiego*, optyka *Niewińskiego* (z *Troyes*) i *Hieronima Kohna*. A rodziny *de Lipkowskich*, *Poniatowskich*, *Niewęglowskich*, *Girardów*, *Londyńskich* i tylu innych?...

Są to wszystko, na ogół biorąc, ludzie na wysokich stanowiskach, bardzo ustosunkowani, a więc mogący wydatnie wpływać na odcinek kształtowania się i utrwalania przyjaźni polsko-francuskiej. Pod ich patronatem mogłyby się ukazywać periodyczne monografie z dzieł dawnych polskich emigrantów, a historycy polscy i francuscy mogliby czerpać z udostępnionych im cennych archiwów rodzinnych tych potomków cnymi garściami nieznane, a nieraz rewelacyjne szczegóły do dzieł polskiej emigracji we Francji.

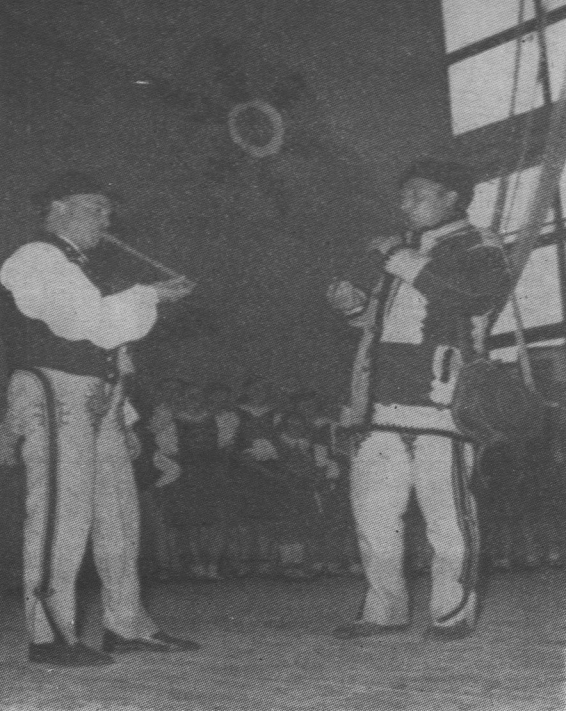
Przy okazji wspomnę, że należałoby także zająć się poszukiwaniami archiwum *Institutu Badań nad Emigracją Polską we Francji*, w którym figurowały i takie dokumenty, jak protokoły i korespondencja (a więc i adresy) *Stowarzyszenia PDPE*. Pozostawiłem je w lokalu biurowym *Institutu*, który mieścił się na piętaku nad *Księgarnią Polską* przy *Saint Germain* (dawniejszej *Gebethera* i *Wolffa*), będącej wówczas własnością *Banku Polska Kasa Opieki*.

O ile wiem, gestapo tam wszystko spłądowało, ale może władze banku zdążyły zabezpieczyć te archiwa w swoim głównym gmachu przy *Taitbout*? Może się też ujawni dawna kierownicza biura, młodzieńca wówczas i świeżo wyszła za mąż? Może jest wśród żyjących? Niestety, nazwiska jej męża nie zanotowałem, a od niej na pewno można by się dowiedzieć o losach tych archiwów, bo z prawdziwym przejęciem sprawowała swoje funkcje sekretarki korespondencyjnej.

W wachlarzu społecznych instytucji pomocniczych przy utrwalaniu i rozwijaniu węzłów przyjaźni polsko-francuskiej nie powinno zabraknąć, obok „*Les Amis de la Pologne*” i „*France-Pologne*”, a także *Stowarzyszenia Odra-Nysa — „Stowarzyszenia Potomków Dawnych Polskich Emigrantów”*. „*Last but not least!*”



Paryż kojarzy się każdemu Polakowi przede wszystkim z Sekwaną, z Wyspą Św. Ludwika, z Notre Dame i okolicznymi zabytkami — od półtora wieku ośrodkami polskiego życia kulturalnego i społecznego



Fujarki górali z Orawy, po polskiej i słowackiej stronie są takie same. Melodie skoczne, podrywające do szybkich ruchów tanecznych. Tylko strój nieznacznie odmienny, krój serdaka i kapelusik inny...

T A Ń C Z A G R A J A I Ś P I E W A J A G Ó R A L E



Taneczna szermierka na ciupagi jest oczywiście pozosta



Tylko górale polscy wmontowali w skład swego tańca popisy junackich skoków, sprawności fizycznej — jaką musiał posiadać bohater tego ludu: zbójnik. Ale tańce wojowników stopił się tu z ogólną zabawą ludową

W Ziemi Cieszyńskiej istniały tylko echa pochwały zbójnictwa. Tańce bardziej oddają nastrój ogólnej zabawy i radości, bez wstawek „wojowniczych”. Stroje piękne, bufiaste rękawy, szum spódnicy



KTO zacznie szperać w książkach zajmujących się pochodzeniem tańca ludowego, może napotkać dziwne twierdzenia. W dziele „Les visages de la danse” A. Levinsona (Paryż — 1933 r.) spotykamy na przykład osobliwą teorię usiłującą wyjaśnić zgoła uderzające podobieństwo wielu tańców, motywów pieśni, figur choreograficznych choćby między tańcami pirenejskimi a karpaccskimi. A. Levinson twierdzi, że to... Cyganie wędrujący po Europie roznieśli motywy taneczne, upodabniając je do siebie. Wynikałoby z tego, że wszystkie tańce ludowe powstawały w ostatecznym rachunku z... naśladownictwem Cyganów. Z kolei znakomity tancerz i znawca tańca „klasycznego”, scenicznego — S. Lifar w książce „La danse” (Paryż — 1938 r.) twierdzi, że upowszechnienie form tańca ludowego według pokrewnych form należy tłumaczyć tym, że lud naśladował... tańce dworskie. Przykłady mazurka, polki, walca — dowodziłyby czegoś wręcz przeciwnego: to warstwy wyższe przejmowały formy tańców ludowych.

Większość współczesnych badaczy obyczajów ludowych dochodzi do wniosku, że podobieństwo form muzycznych, a przede wszystkim tanecznych, bardzo nawet od siebie odległych regionów wynika z podobieństwa warunków życia, egzystencji, pracy, stosunków społecznych. To stwarzało przede wszystkim podobieństwo tańców, które są przecież wypowiedzią tego, co w ludziach tkwi.

Zresztą tańce ludowe jest wynikiem narastającej czasem przez całe wieki obrzędowości, różnych świąt, obchodów, pór roku. Narastały one czasem przez całe wieki. Korzenie ich często sięgają głęboko w epokę pogaństwa. Tańce górali tatrzańskich, tak pokrewne tańcom u stóp Pirenejów, są żywym, istniejącym do dziś zaprzeczeniem zarówno tez Levinsona, jak Lifara. Ani to dworskie, ani cygańskie...

Najbardziej żywy tańce górali tatrzańskich — „zbójnicki” odtwarza przede wszystkim sprawność fizyczną zbójnika, w którego tancerz się wciela; jest to ideał góralskiego ludu — tęsknota za swoim arcybohaterem Janosikiem, który łupił bogatych, a rozdawał biednym, który wymykał się zandarmom, aż go zdrada w ręce obcej narodowo przemocy wydała. Gdy przyjrzymy się tym zbójnickim legendom, które trwają w pieśniach, opowieściach i tańcach, okaże się — że zawsze powtarzają się te same motywy, chociaż zarówno słowacki Janosik jak i Ondraszek z Beskidu Śląskiego są przecież postaciami historycznymi. Tylko ich czyny i przygody obrosły legendami.

Zresztą, tańce ludowe wyrażały w przeszłości bardzo różnorodne pragnienia, tęsknoty lub wierzenia ludowe. Tańce miały również znaczenie magiczne, bo mógł sprawić rolnikom dobre plony. Znana pisarka czechosłowacka Bożena Němcová podaje w swojej książce o obyczajach słowackich, że w czasie godów zapustnych nawet najstarsza babcia „musi se podskoczyć”, bo inaczej konopie i len by jej nie wyrosły. Jeden z najstarszych polskich dziejopisów — Długosz, wymienia tańce na dworze Popiela (tego prehistorycznego, którego myszy zjadły). Najczęściej były to tańce o charakterze związanym z rytuałem religijnym. Chrześcijaństwo zakazywało wykonywania tych tań-



...nością „zbójnictwa”, popisów waleczności, bystrości, zręczności fizycznej. Popis górali tatrzańskich

ców, gdyż były one składnikiem oddawania hołdu pogańskim bożkom, błaganiem o dobre urodzaje, zdrowie, płodność kobiety, dostatek rodziny.

Ciekawe, że w słowiańskich tańcach ludowych rzadko występuje pragnienie walki, elementy tańca wojowników. Niemal wszystkie tańce ludowe mają w Polsce charakter zbiorowej zabawy młodzieży, w której uczestniczą zarówno dziewczęta, jak chłopcy; są też bardziej stateczne tańce, jak „chodzony” (z tego rozwinął się polonez), w którym chętnie uczestniczyły także starsze osoby, stateczni gospodarze i matrony. „Zbójnicki” jest w tym ogólnym charakterze polskiego tańca ludowego pewnym wyjątkiem. Jedyne on zawiera w sobie elementy tego, co można by nazwać „tańcem wojowników”, którzy popisują się przed szarym tłumem mężczyzn i kobiet. Uderzają się ciupagami („aby skry leciały”), udają szermierkę, walkę, skoki (po skałach?). Później „zbójnicki” wcisnął swoje elementy do innych tańców górali tatrzańskich i innych regionów górskich. Tak trafiły do góralskich tańców wspaniałe podskoki, akrobacje z ciupagami, skoki przez ognisko.

W tańcach z podgórskiej Ziemi Cieszyńskiej lub

Przy „watrze”, nocnym ognisku — snują się pieśni, nie zawsze pogodne: tęskne, namiętne kochające swobodę. Dopiero na końcu każdej „Tatrzańskiej Jesieni” odbędzie się zbójnicki finał: skoki przez ogniska



Polacy z Beskidu Śląskiego po czechosłowackiej stronie używają mocno wydłużonych fujarek. Strój górali z okolic Jabłonki trochę inny, choć pas jest taki sam

Kontrabas ma w dolinie Popradu, po stronie słowackiej duże znaczenie. Nie ma tam kapeli bez tego instrumentu. I mistrzowie-kontrabasiści są tam znakomici



POLACY NA ŚWIECIE

Campo de Majo — tyle co Grudziądz

Major Janusz Komorowski znany przed wojną jeździec i członek polskiej ekipy olimpijskiej w hípice, mieszkający stale w Brazylii, bawił ostatnio w Polsce. Warto tu przypomnieć, że często majora Komorowskiego mylono z Borem-Komorowskim, przypisując temu ostatniemu tytuł olimpijczyka. Janusz Komorowski w drodze powrotnej do Buenos Aires zatrzymał się w Londynie, gdzie jeden z emigracyjnych reporterów przeprowadził z nim rozmowę. Oto jej ciekawa treść:

— Zaraz po wojnie my, polscy ex-olimpijczycy, ujeżdżaliśmy w Anglii konie dla gwardii królewskiej. Potem przygotowaliśmy konie brytyjskie na olimpiadę w 1948 roku w Londynie. Na tej olimpiadzie zaprzyjaźniłem się z jednym z czołowych jeźdźców Argentyny.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Ten jeździec zaangażował mnie na głównego instruktora w Klubie Hípico Argentino. Ten klub jest połączony z urzędem corocznych konkursów, wobec których Europa może się schować.

— Wspaniale! I pan wytrzymał tam całe 20 lat z takim?

— No, nie. Nie zamierzam się wysilać. Zrezygnowałem po 10 latach, bo wolałem przejść do spokojniejszego zajęcia — ujeżdżania własnych koni. Sprzedaż ujeżdżonego konia to świetny interes. Wojsko zaangażowało mnie na kontraktowego instruktora do szkoły w Campo de Majo. To taki argentyński Grudziądz. Uzyskałem wygodne utrzymanie dla siebie i dla swych koni za darmo.

Czy uważa pan tę zmianę za korzystną?

— Bezwzględnie. Chodzi mi przecież o możliwość ujeżdżania koni. Mój „Caribe”, na którym jeździł Brazylijczyk Nelson Pessaa Braz, zajmował przez kilka lat pierwsze miejsce w świecie. Mój koń „Boy-Friend” ma już cztery międzynarodowe nagrody. Sprzedałem już trzy dalsze konie rokujące najlepsze nadzieje.

„Dziennik Polski”



Na stronie tej zamieszczamy garść ciekawych informacji z życia Polaków w różnych krajach zaczerpniętych z prasy i książek emigracyjnych oraz krajowych

PIĘKNO WARSZAWY I KRZYWDA CHICAGO

W chicagowskim programie telewizyjnym w ramach „Passage Adventure” wyświetlono reportaż filmowy o Warszawie. Działacz Polonii Amerykańskiej — ks. prałat dr Paweł S. Iliński tak na ten temat pisze:

„Byłem do tego reportażu nastawiony sceptycznie. Nieraz bowiem czytałem i oglądałem fabrykowane przez cudzoziemców reportaże, które pozostawiały wiele do życzenia. Tymczasem jakoś miła niespodzianka! Bo Spence Crylli i Jim Stewart, obaj Amerykanie, stworzyli i pokazali wspaniały film o odbudowanej Warszawie i o otworzonym pałacu króla Sobieskiego w Wilanowie.

KONNI HARCERZE

Harcerze polscy w Kanadzie mają kilka oddziałów konnych, ale oddział w Springford (Ontario) jest pierwszym, w którym chłopcy trenują według zasad Królewskiej Policji Konnej, odróżniającej się dużą sprawnością w ujeżdżaniu konia i prezencją w różnych korowodach na galowych pokazach. Pierwszy publiczny pokaz polskich harcerzy w kapeluszach o dużych rondach, z lancami w rękach, na których widnieją chorągiewki z Klonowym Liściem — herbem Kanady, zapowiedziany został na miesiąc jesienne.

„Czas” (Winnipeg)

Pokazali przy tym uchwycone w barwnych obrazach tętno życia kulturalno-społecznego. Narrator, Spence Crylli, który pokazał się tylko na początku i na końcu reportażu, opowiadała piękną, literacką, angielszczyzną swoje wrażenia z podróży po Polsce oraz krótko objaśniał każdy, w dniu słonecznym nakreślony obraz. Poświęcił też wiele ciepłych słów roli Polski w dziejach Europy i powojennym osiągnięciom narodu polskiego. Opisując piękno odbudowanej Warszawy, zabytkowej i nowoczesnej, parokrotnie podkreślał, że była ona w 85 proc. zniszczona.

Był to reportaż z prawdziwego zdarzenia, na wysokim poziomie artystycznym i rzeczowym. Należy się zań szczerze uznanie i wyrazy wdzięczności.”

Natomiast bardzo skrytykował ks. dr Iliński reportaż filmowy, który następnego dnia pokazała TV Chicago w tym samym kanale na temat miejscowej Polonii. Autorami tego wypaczonego „dzieła” byli jednak inni autorzy, którym ks. Iliński nie szczędził ostrych słów nagan. Obraz miejscowej Polonii został wypaczony. Toteż nie dziwnego, że po szczegółowym omówieniu braków i błędów reportażu ks. dr Iliński słusznie stwierdził: „Ukrywać i lekceważyć dorobek Polonii i jej wkład do życia amerykańskiego może tylko wróg lub ten, kto zatracił ostatecznie związki z kulturą polską, a innej jeszcze nie nabył...”

„Dziennik Chicagowski”

JAPOŃCZYCY NADALI w ANDACH POLSKIE NAZWY

ZNANY w górach Andach pisarz emigracyjny, alpinista i inżynier Wiktor Ostrowski, mieszkający od lat wojny w Argentynie informuje o polskich nazwach kilku szczytów w południowo-amerykańskich Andach, nadanych przez wyprawę... japońsko-argentyńską. Alpinści tej wyprawy uczcili tym sukces pierwszej polskiej wyprawy w te góry, odbytej przed 35 laty. Jednym z uczestników polskiej wyprawy był właśnie wtedy inż. Ostrowski.

„Przed paroma dniami otrzymałem z San Juan — pisze Ostrowski — oficjalne wydawnictwo Club Andino Mercedario... Bogato ilustrowany numer zawiera długi artykuł z wyczynów japońskiej wyprawy na Mercedario... (wyprawa składała się z 7 Japończyków i jednego Argentyńczyka). Wielkie było moje

zdziwienie, gdy przeglądając zdjęcia nrafitem na fotografii zespołu Japończyków pokonującego „Glaciast Ostrowski” i dalej zdjęcie Japończyka podnoszącego czekan na szczycie Mercedario — po pokonaniu właśnie tego lodowca. Na wielu innych zdjęciach uwidoczono El Pice Polaco — Szczyt Polaków, Glaciast Ostrowski — Lodowiec Ostrowskiego i Glaciast Karpiński — Lodowiec Karpińskiego”. Karpiński był jednym z wybitnych polskich alpinistów i himalaistów w okresie międzywojennym.

„O takim wrzuszającym uznaniu dla Pierwszej Polskiej Wyprawy Andyjskiej — pisze dalej Ostrowski — ze strony bądź co bądź egzotycznej ekspedycji dowiedziałem się dopiero z tej publikacji”.

„Taternik”

TRZY GRUPY LUDNOŚCI W KANADZIE

Prasa kanadyjska zajmuje się m.in. dyskusją jaka odbyła się w tamtejszym parlamencie w sprawie powołania ciała doradczego, które by w sprawach kultury przy współpracy z rządem reprezentowało grupy etniczne, czyli różne narodowości składające się na społeczeństwo kanadyjskie. Senator Yuzyk

z Winnipeg stwierdził w dyskusji, że ustalenie oficjalnych języków — angielskiego i francuskiego — wywołało poczucie dyskryminacji wśród grup etnicznych, które domagały się, by „zagadnienie to stało się przedmiotem specjalnych studiów”.

Sen. Yuzyk jest zdania, że sytuacja ludnościowa utrzymująca się już od 60 lat trwać będzie co najmniej do lat osiemdziesiątych naszego wieku. Jedna trzecia Kanady to ludność angielska, jedna trzecia — francuska i jedna trzecia — pozostałe grupy etniczne. Większość tej trzeciej grupy urodziła się już w Kanadzie i razi ją epitet „nowy Kanadyjczyk”. Ludzie ci — dowodził senator — czują się takimi samymi Kanadyjczykami jak Francuzi czy Anglicy... a w prowincjach Preirii grupy etniczne stanowią połowę ludności, górując liczebnie nad elementem francuskim czy brytyjskim. Grupy etniczne — obojętne czy będą to Polacy, Słowacy, Ukraińcy, Grecy, Włosi, Litwini czy inni — charakteryzuje jedna wspólna cecha: głęboka lojalność w stosunku do Kanady, ich niezachwiana wiara w zwarty naród, absolutne przyjęcie demokratycznych instytucji i sposobu życia, ale też gorące pragnienie utrzymania własnej kultury, która jest integralną częścią wzoru kulturalnego Kanady.

NAGRODA CHURCHILLA dla POLAKA

Stefan Knapp, polski artysta plastyk, były pilot w okresie ostatniej wojny, zamieszkały od lat w Wielkiej Brytanii, został tegorocznym zdobywcą nagrody plastycznej z Fundacji im. Winstona Churchilla „za wkład w rozwój współczesnego dorobku kulturalnego w dziedzinie sztuki w Wielkiej Brytanii”. Piękne w kolorystyce i w formie dzieła Stefana Knappa ze szkła i metalu zdobią wiele wnętrz mieszkalnych w Anglii i Ameryce a także w formie dekoracji — budynki i zespoły wewnątrz wielu miast.

Obecnie artysta pracuje nad przygotowaniem dekoracji ściennej jednego z pawilonów na londyńskim lotnisku. Prace Stefana Knappa pokazane zostały przed paru laty w Polsce, on zaś sam odwiedził swą rodzinę i matkę w województwie lubelskim.

„Kronika” — Londyn

IRLANDZKIE POLONICUM

Poczta w Republice Irlandzkiej dla uczczenia 50 rocznicy Międzynarodowego Biura Pracy wprowadziła serię znaczków pocztowych, które zaprojektował „Polak z pochodzenia — Krzysztof Copens Dąbczewski, student Akademii Sztuk Pięknych w Dublinie”. Seria składa się z dwóch znaczków: za 6 pensów (złoty) i 9 pensów (szary), przedstawione na nich są ręce robotnika z kluczami ślusarskimi oraz nazwa organizacji w języku irlandzkim. „Nazwisko projektanta nie zostało na znaczkach uwidocznione, wymienione jest jednak w tekście informacyjnym, który otrzymuje się do kopert z tymi znaczkami pierwszego dnia obiegu”.

„Filatelista”

„Głos Polski” (Toronto)

ZAPOMNIANY GUBERNATOR



W związku z przewidywaniami, że jednym z głównych kandydatów w przyszłych wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych będzie senator i gubernator stanu Maine, Edmund S. Muskie Marciszewski, prasa polonijna przypomina Amerykanom, że nie jest to pierwszy w USA Polak na stanowisku gubernatora stanowego. Wymienia przy tym nazwisko kapitana Leona Jastrzebskiego, który pod koniec swego życia został gubernatorem stanu Luizjana.

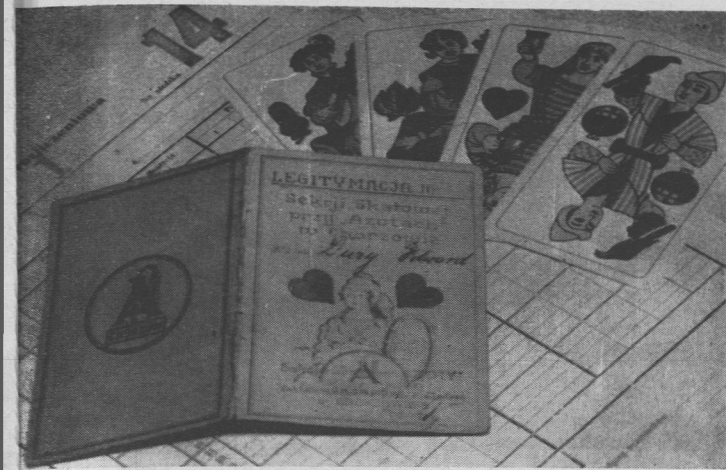
Leon Jastrzebski żył w latach 1844—1907.

Urodził się we Francji jako syn powstańca polskiego z 1831 roku, który po upadku powstania znalazł się na emigracji. Ojciec Leona, z wykształcenia lekarz, gdy syn podrośli, przeniósł się do Kanady, osiedlając się najpierw w Montrealu, a następnie w Abeville.

Syn poszedł drogą ojca — gdy miał 16 lat, po przeniesieniu się do Luizjany został żołnierzem. Wstąpił do 10 pułku piechoty Luizjańskiej pod dowództwem gen. Magruder. Był oczywiście ochotnikiem. Wkrótce awansował na porucznika, w ciągu następnych lat dostąpił się rangi kapitana

Po wojnie Północ-Południe, kpt Jastrzebski — jak go pisał Amerykanie — osiadł na stałe w Baton Rouge, stolicy stanu Luizjana. Dał się poznać jako znakomity ekonomista i to chyba zdecydowało, że w 1871 r. wybrano go na stanowisko majora, czyli mera lub prezydenta, którą to funkcję piastował do 1879, po czym pełnił najrozmaitsze wysokie urzędy, m.in. był sekretarzem stanu do spraw agrokultury. Na początku 1907 roku z ramienia Partii Demokratycznej został wybrany gubernatorem Luizjany. Niestety jego owocną działalność na tym stanowisku przerwała śmierć 23 listopada tegoż roku. Grób Jastrzebskiego znajduje się w Baton Rouge. Na przełomie XIX i XX w. Jastrzebski był w stanie Luizjana jedną z najwybitniejszych postaci, ogólnie szanowaną i cenioną.

Wg. tygodnika „STRAŻ” — Seranton. PA. (USA)



Osiemnaście?.. Dwadzieścia?.. P a s !



TRUDNO powiedzieć i trudno wyliczyć, ile istnieje na świecie różnych rodzajów gry w karty. Chyba kilkaset, nie licząc regionalnych odmian każdej odmiany. Istnieje jednak pewien zasadniczy podział różnych gier kartowych na dwie główne grupy, na tzw. gry szlachetne i nieszlachetne. Do której grupy daną grę się zalicza, zależy m.in. od tego, ilu posiada zwolenników i jak głośno ci zwolennicy potrafią wychwalać jej zalety. Wiadomo — kto głośniej krzyczy, tego lepiej słyszeć.

Skat zaliczany jest do pierwszej grupy, tzn. do gier szlachetnych. Z czego, zgodnie z wyżej wypowiedzianym zdaniem, wnioskować należy, że posiada na całym świecie licznych zwolenników.

To się zgadza. Rodzina „szkaciorzy” jest dziś bardzo liczna. W skata grają obecnie na całym świecie. W niektórych krajach stał się prawie „narodową” grą, jak np. w Niemczech. Zjednała sobie także głównych właścicieli wrogów gier karcianych w ogóle: kobiety. Nauczyl się różną w skata nie gorzej od swych męskich partnerów.

TRIUMFALNY POCHÓD Skat jest sunkowo młodą. Historycy od gier w karty twierdzą, że narodził się około 125 lat temu w miejscowości Altenburg, niedaleko Lipska. Rodzicami, a właściwie ojcami, bo nie było przy tym kobiety, byli saksoński notariusz i naddworski adwokat Fryderyk Ferdynand Hempel i jego przyjaciel, radca miejski, Neefe.

Prawda czy nieprawda, faktem jednak jest, że ku pamięci tych ojców skatowych wybudowano w tymże Altenburgu jedyny na świecie pomnik skatowy. Znajduje się w samym śródmieściu. Na wysokim cokole czwórka waletów, którzy przy skacie są najwyższymi atutami, walczy ze sobą zaciekle na pięści. Góruje nad nimi i wygrywa bój, jakże mogłoby być inaczej, walet żółty, najwyższa karta w grze.

Pomnik upiększa studnię, w której środku stoi. Autorem projektu był wielce szanowany profesor Ernst Pfeiffer, fundatorem pomnika — miasto Altenburg. Niezwykłym pomnikiem-studnią uczciło ono odbywający się w tym mieście w 1903 r. Kongres Skatowy.

Kongresy Skatowe odbywają się regularnie w Altenburgu już od... 1886 r.! Na pierwszy zjechało się ponad 1000 „szkaciorzy”. Obradowali nad ujednoliceniem przepisów gry. Po części oficjalnej odbył się masowy turniej. Uczestniczyli w nim wszyscy kongresowicze. Nie był to wcale najliczniej obsadzony turniej. Na kongresie w 1928 r. odbył się turniej, w którym przy 688 stołach o zwycięstwo walczyło równocześnie 2.752 graczy.

Miasto Altenburg ochrzczone „miastem skatowym”. Istnieje tam nie tylko pomnik skatowy, ale również Muzeum Skatowe. Do niedawna było jedynym muzeum tej gry na świecie. Kilka lat temu w Niemczech Zachodnich pozazdrośczone sławy Altenburgowi. Utworzono konkurencyjne „miasto skata”. Tytuł ten przyznano miastu w Westfalii, Bielefeld, które skaciorze NRF wybrali za siedzibę swego Związku Skatowego fundując sobie równocześnie w tym mieście konkurencyjne, drugie na świecie Muzeum Skatowe.

Z Niemiec rozpoczął się triumfalny pochód skata w świat. Najpierw przeskoczył do Francji, stamtąd do Anglii. Emigranci z Niemiec i Anglii zawlekli tę grę do Stanów Zjednoczonych, gdzie zdobyła sobie większą nawet niż we Francji i Anglii popularność. Powstały i do dziś istnieją setki klubów skatowych. Rozgrywają między sobą regularne zawody, odbywają się turnieje skatowe, założono North American Skat League i wydał się tzw. Official Skat Rules, Urzędowe Przepisy Skatowe.

Z Ameryki i Anglii gra dotarła do Australii. Tu również szybko się przyjęła, znalazła wielu zwolenników, jak grzyby po deszczu organizowały się kluby skatowe i zawody o mistrzostwa okręgowe i krajowe.

Anglosaski skat posiada zupełnie inną terminologię niż europejski. Dwie karty, tworzące tzw. „skat” czyli „tajlong”, przyznane graczowi po zwycięskiej licytacji, w skacie amerykańsko-angielskim nazywają nie „tajlong”, ale „the widow”, wdówka. A zapowiedź gry „diamonds without the widow”, czyli grę nazwano w Europie „dzwonki solo”, bez skata, w angielskim określa się jako „brylanty bez wdówki”.

SKAT W POLSCE Kiedy i gdzie po raz pierwszy w Polsce zagrano w skata, tego już nie sposób ustalić. Musiało to w każdym razie być na Górnym Śląsku. Przywędrował tu prawdopodobnie z Lipska via Wrocław. Nie ma na ten temat żadnych zapisków, ani dokumentów, ale są opowiadania, legendy i o-

powiastki. Głównie z rejonu Opola i Raciborza.

Na Śląsku grano w skata początkowo tylko w sferach mieszczańskich. Może dlatego, że jego propagatorami byli głównie studenci, synowie zaможnych rodzin, studiujący we Wrocławiu.

Z czasem stał się jednak ulubioną grą robotników, przede wszystkim górników i hutników. Znalazł sobie również drogę na wieś. Dziś jest najpopularniejszą grą w karty na Śląsku, ma dużo więcej zwolenników niż brydż. W skata grają prawie w każdej rodzinie.

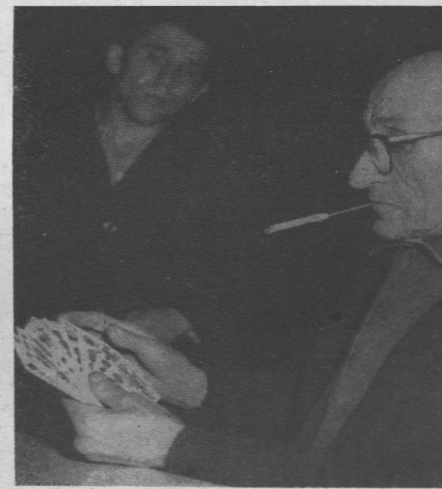
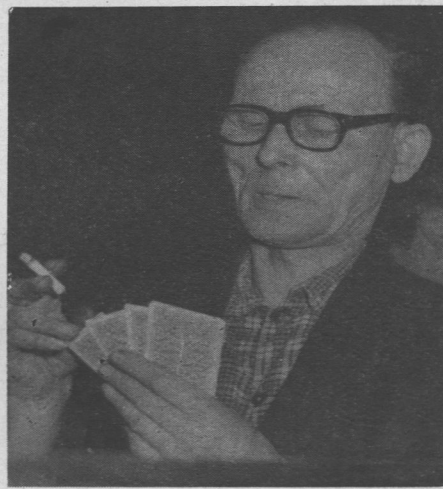
Wytworzyły się różne regionalne odmiany gry. Inaczej grało i licytowało się („Osiemnaście... dwadzieścia... pas!”) w Zabrze, Pszczynie, inaczej w Bytomskiem, jeszcze inaczej na Śląsku Wrocławskim lub w Poznaniu albo w Gdańsku (i tam dotarł).

Wprowadzeniem ładu i porządku do tego chaosu skatowego, ujednoliceniem przepisów gry zajęł się w 1950 r. śląski tygodnik ilustrowany „PANORAMA” w Katowicach. Prowadził on „kącik skatowy”, omawiał przepisy gry, rozstrzygał spory.

W marcu 1955 r. założono pierwszy w Polsce klub skatowy przy tej właśnie „Panoramie”. Inicjatywę pisma podjęły kluby świetlicowe przy zakładach pracy, w kopalniach, hutach, biurach. Jedną za drugą organizowały się przy Domach Kultury przyzakładowe sekcje skatowe. Pierwszą zorganizowano przy kopalni „WANDA-LECH” w Wirku.

Dziś tych sekcji jest w woj. katowickim, opolskim, wałbrzyskim, poznańskim, warszawskim — setki. W czerwcu 1955 r. zorganizowano w Katowicach pierwszy w historii skata w Polsce oficjalny turniej skatowy.

Dokończenie na str. 36



POLSKIE OKRETY PODWODNE W OSTATNIEJ WOJNIE

ZACHODNIONIEMIECKI dwutygodnik „Marine Rundschau” przyniósł wspomnienie pośmiertne o byłym generale-admirale hitlerowskiej Kriegsmarine — Conradzie Albrechcie, który zmarł 15 sierpnia ub.r.

W 1939 roku, jako drugi po Raederze starszeństwem w hierarchii Kriegsmarine — Albrecht był dowódcą grupy marynarki „Wschód”. 1 kwietnia tegoż roku dostał nominację generała-admirała (odpowiednik generała-pułkownika w niemieckiej armii lądowej).

11 kwietnia Hitler podpisał rozkaz w sprawie jednolitego przygotowania wojny przez Wehrmacht na rok 1939—40, załącznikiem zaś nr 2 do tego rozkazu był dokument nazwany „Fall Weiss”, czyli niemiecki plan napaści na Polskę.

W miesiąc później Grossadmiral Raeder jako głównowodzący Kriegsmarine wydał podległym sobie dowódcom szczegółowy rozkaz, który wyznaczał zadania niemieckiej marynarki w przygotowywanej agresji.

Generał-admirał Albrecht był tym właśnie, któremu Raeder powierzył przygotowanie i przeprowadzenie we współpracy z dowódcą I grupy wojska i dowódcą floty powietrznej — operacji wojennej przeciwko polskiej flocie i lądowym siłom obrony Wybrzeża.

Po dalszym miesiącu — 13 czerwca 1939 roku Albrecht wydał z kolei bardziej jeszcze szczegółowe instrukcje w sprawie przewidzianych działań morskich przeciwko Polsce. W instrukcjach tych znalazło się następujące sformułowanie:

„Najniebezpieczniejszymi przeciwnikami są polskie okręty podwodne. Należy dążyć przy pomocy wszelkich środków do tego, by zniszczyć je najpóźniej podczas opuszczania przez nie Zatoki Gdańskiej”.

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy z całą skrupulatnością przygotowali się do napaści na Polskę. Mieli oni ogromną przewagę sił na lądzie, morzu i w powietrzu, chcieli jednak zniszczyć polskie wojska, lotnictwo oraz flotę i rozstrzygnąć działania przeciwko Polsce w tak krótkim czasie, by zachodni alianci nie zdążyli zorganizować ofensywy na tak zwaną Linie Zygfrйда.

Dzisiaj wiemy, że wobec dłuższego i twardszego niż Hitler przewidywał oporu Polski Naczelne Dowództwo Wehrmachtu musiało ogołocić zachodnie rubieże Niemiec z silnych związków taktycznych, tak że w razie potężnego uderzenia armii nie mogłyby się absolutnie jej przeciwstawić.

Niestety, do tego uderzenia nie doszło i bohaterski opór polskich żołnierzy, lotników i marynarzy nie przyniósł alianckiej spr-

wie takich korzyści, jakich mieli oni prawo oczekiwać.

Wspomniane polskie okręty podwodne stały na straconej placówce. Bazy w Gdyni i na Helu od pierwszego dnia wojny bombardowało hitlerowskie lotnictwo i dlatego okręty te nie mogły z nich korzystać.

W walce przeciw niemieckiej flocie wojennej nie miały one żadnych szans — wobec miążdżącej przewagi wroga, a przede wszystkim jego silnego lotnictwa, które bezkarnie atakowało polskie Wybrzeże i patrolowało wody południowego Bałtyku.

Polscy podwodniacy nie mieli również okazji do atakowania niemieckich statków handlowych, gdyż nieprzyjaciel przerwał łączność morską z Prusami Wschodnimi. Zresztą przestrzeganie zasad podpisanego przez Polskę Układu Londyńskiego w sprawie wojny podwodnej z góry wykluczało możliwość skutecznego atakowania niemieckich statków na Bałtyku.

Dlatego też polskie okręty podwodne nie odniosły sukcesów we wrześniu 1939 roku.

A czy odnieśli je Niemcy w walce z tymi okrętami?

Niemiecka przewaga była olbrzymia. Przedstawili oni 10 własnych U-Bootów oraz około 50 różnego rodzaju lekkich okrętów nawodnych, takich jak niszczyciele i eskortowce, ścigacze i trałowce, ponadto zaś wiele samolotów i wodnosamolotów różnych typów.

Jak z rogu obfitości posypały się w komunikatach ogłaszanych przez Oberkommande der Wehrmacht wiadomości o zatopionych polskich okrętach podwodnych. We dług komunikatu z 4 września — pierwszy polski okręt podwodny zatonął przed Zatoką Gdańską.

W komunikacie z 6 września OKW ogłosiła, że „niemieckie siły morskie zniszczyły na Bałtyku trzeci okręt podwodny”. — Wreszcie dwa dni później OKW doniosło o zniszczeniu czwartego polskiego okrętu podwodnego.

Niedaleka przyszłość okazała Niemcom dobitnie, że wszystkie te w komunikatach roztrąbione zwycięstwa były tylko pobożnym życzeniem.

Dokończenie na str. 36



Autor artykułu ks. Bartoszek z miejscowymi dygnitarzami

ZAPOMNIANY KRAJ

W czasopiśmie polonijnym „Czas”, które od 56 lat wychodzi w Kanadzie w mieście Winnipeg, znajdujemy ciekawą korespondencję polskiego księdza z Nowej Gwinei. Jest to wyspa w rejonie Australii, „którą czasami trudno znaleźć na mapie”. Pracuje tam 14 księży polskich przybyłych z Kraju do roku 1968. Autorem korespondencji jest ksiądz Jan Bartoszek. Zamieszczamy z niej najciekawsze fragmenty.

CO TO JEST Nowa Gwinea? „Kraj z epoki kamiennej” lub „Kraj, który zapomniał o czasie” — tak niektórzy określają Nową Gwinea. Są szczepy, które jeszcze na oczy nie widziały „białego”, ale większość kraju jest mniej więcej „odkryta”.

Brunatna skóra, włosy czarne, skręcone — gdzie mężczyźni noszą pas z kory drzewnej, a dyskretne miejsca zakrywają tangetem — czyli po naszymu liśćmi. Nosy mają przeważnie przedziurawione, w które wkładają wszystko, co tylko można przez „dziurkę w nosie” przesunąć — począwszy od szlifowanych muszli — po XVIII-wieczne monety. Ubiór kobiet i dziewcząt właściwie w niczym się nie różni od ubioru mężczyzn, jedynie czasami spotyka się „bogatsze” białki z laplanem — czyli kawałkiem płótna okrywającym całe ciało i pierścieniami na rękach. Szyję pokrywają imitacje pereł — im większy „lamus” na szyi — tym urasta znaczenie danej osoby.

Dzieci — o te nikt się nie martwi — chodzą „jak Bóg je stworzył”. Mieszkają w domach, które na pierwszy rzut oka przypominają nasze podhalańskie kurniki lub domy dla srebrnych lisów.

Odróżnia się domy „mężczyzn” oraz domy „kobiet”. Różnica jest tylko jedna — kobiety śpią razem ze świniami — największym bogactwem rodziny.

Jedzą słodkie ziemniaki — popularnie znane jako „kaikał”, pieką nad ogniskiem zielone banany, trzcinę cukrową oraz popo (coś w rodzaju naszej dyni — ale słodkie).

Fauna nowogwinejska jest bardzo uboga; największym zwierzęciem jest kapul (coś w rodzaju naszego pracza), zmięje, jaszczurki oraz na wybrzeżu kuropatwy.

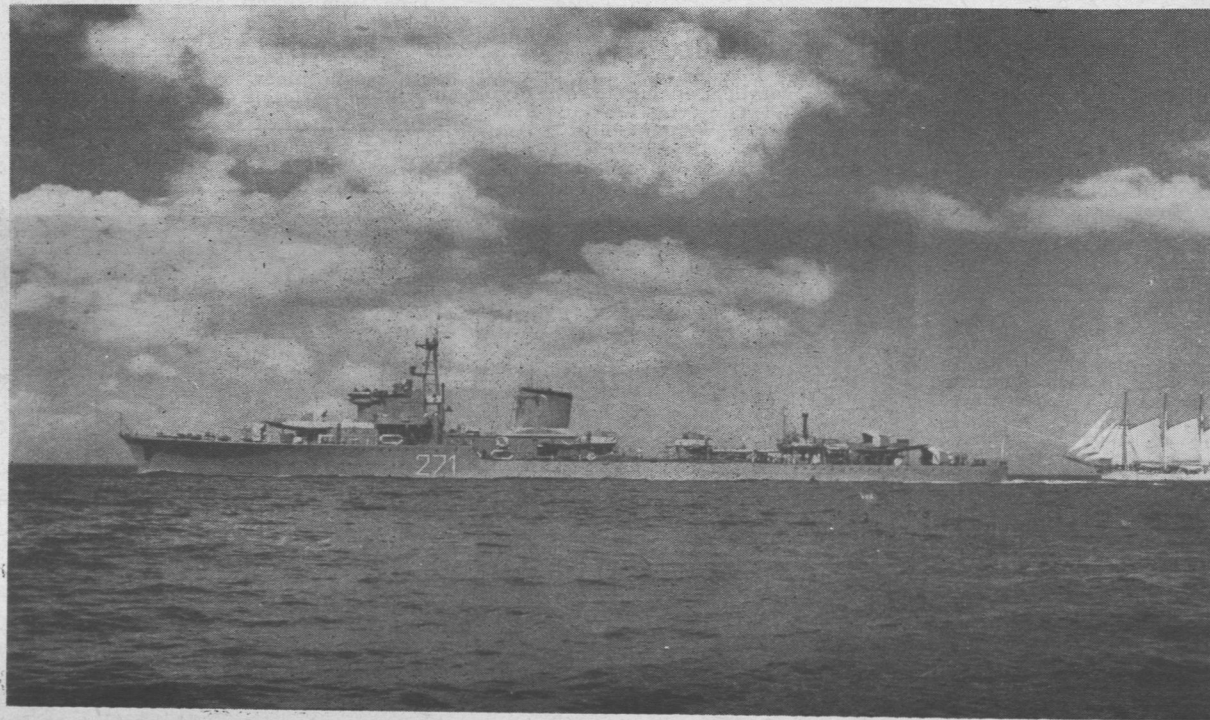
Flora to rzeczywiście Mickiewiczowski matecznik — bez siekiery lub dużego noża nie można się w dżungli przedostać.

To kilka rzutów oka na kraj, który nazywa się popularnie „krajem z epoki kamiennej” lub oficjalnie Nową Gwinea.

Co do mnie — dwa lata temu zacząłem budowę nowej stacji misyjnej, właśnie w takich warunkach, bez dróg; teraz zakończyliśmy przy pomocy łopaty i kilofa... lotnisko, można więc liczyć na pewne ułatwienie, a wszystkich rzeczy nie trzeba będzie nosić godzinami na własnych barkach.

Wszystkie budynki na stacji są z bambusu i kryte taką tutejszą słomą.

Ks. Jan BARTOSZEK
(„Czas” Winnipeg — Kanada)





„Patria” którą zbudował Jan Kiepusa w okresie szczytu swojej sławy



Nowy Dom Zdrojowy, a przed nim słynny krynicki deptak

W ZDROJU KRÓLOWEJ JULIANNY, JANA KIEPURY i LICZNYCH PAŃ

KRYNICA wśród zaawansowanych, mimo swego dostojnego wieku nic nie straciła ze swej urody i wartości, nawet na rzecz bardzo teraz modnych w Polsce Kołobrzegów czy Międzyzdrojów, odwiedzianych, obok zwykłych wczasowiczów, przez młodzieńszków, którzy nie potrafią ani godnie zarobić, ani wydać. To ulubione zdrojowisko Jana Kiepusy, który zbudował tu w latach międzywojennych wspinały pensjonat „Patria” — zawsze ściągало liczne rzesze kobiet, którym według powszechnej opinii bardzo pomagała woda jednego ze źródeł zwana „Bocianówka” — na kobiecą płodność. Stąd też m.in. holenderska następczyni tronu Julianna, obecna królowa przyjechała do Krynicy, zamieszkała w kiepurowej „Patrii” w podróży poślubnej z księciem Bernarodem. Cała prasa europejska pełna była wówczas wiadomości o „Patrii”.

W Krynicy bywają także i ci, którzy nie tylko słuchają głosu opinii, ale i lekarzy, a więc ludzie z chorym przewodem pokarmowym, ze schorzeniami dróg żółciowych, moczowych, nerwami, chorym sercem i gruczołami dokrewnymi, z zaburzeniami przemiany materii...

Krynica ma wiele uroków. Uderzają one nawet wcześniej nim się do niej zajedzie. Jeśli więc podróżujesz samochodem — pokonujesz drogę nad Popradem, od której trudno oczy oderwać (choćby dlatego, iż można się stoczyć z wycyka do rzeki). Jeśli mkniesz pociągiem, to tak długo jakbyś jechał za granicę gdzieś w dalekie kraje. Do uroków Krynicy należy — zdaniem bywalców — także to, że jest spokojna i nic tam się nie dzieje, poza do rocznym festiwalem śpiewaków arii operowych. W roku 1807 po-

wstały tu pierwsze łaźienki kąpielowe — dom o 4 pokojach mieszkalnych i 6 komórkach kąpielowych oraz altana nad Zdrojem Głównym.

Prawdziwie głośnym wydarzeniem był upadek Krynickiego Towarzystwa Hokejowego, mierzalnie jednakże teraz rekonstruowanego przez ofiarnych działaczy. Dziś w Krynicy mówi się, że powrót krynickich hokeistów do I ligi będzie świętem na miarę oddania do użytku nowej pijalni wód leczniczych.

Właśnie w leniwym latoś słońcu widać jej szklany fronton. Owa pijalnia wraz z obydwojoma Domami Zdrojowymi oraz mającym tu powstać hotelem „Orbisu” będą nadawać styl architektoniczny centrum Krynicy. Rozbiórce ulegną wszystkie stojące dotąd w centrum drewniane domy.

Zresztą nie tylko centrum ulega przeobrażeniu, w budowie znajduje się Sanatorium Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa, a rozbudowywane Sanatorium Spółdzielczości Pracy stworzy u siebie własny zakład przyrodolecznicy. W najbliższym okresie zaplanowana jest budowa sanatorium dla chemików i rozbudowa sanatorium Samopomocy Chłopskiej — również z własnymi zakładami zabiegowymi. Ma być zabudowany południowy stok Góry Parkowej, ma powstać wyciąg gondolowy na Jaworzynie.

Tak więc Krynicy przybędzie uroków. Co więcej, same wody posmakują lepiej, bo będą to wody eksportowe. W roku bieżącym po raz pierwszy w historii polskich zdrojowisk zostanie zapoczątkowany eksport wód mineralnych stołowych — tytułem próby Krynica ma wyprodukować i wysłać do Stanów Zjednoczonych 300 tys. butelek „Kryniczanki”.

Czy nie zabraknie jej dla miejscowych kuracjuszy? Raczej nie, bowiem roczny poziom produkcji „Kryniczanki” to 19 mln butelek, do tego dochodzi 3 mln butelek „Zubera” i „Jana” oraz 7 ton „Zubera” w tabletkach.

Genezą powstawania wód mineralnych, problemem, czy ich zasoby są ograniczone, czy też odnawialne, interesowało się wielu uczonych. Prawie 40-letnie obserwacje terenowe i dociekania naukowe zmarłego niedawno prof. Henryka Świdzińskiego doprowadziły do następujących wniosków: otóż dwutlenek węgla, produkt wnętrza ziemi, stale wędruje ku górze i nasycza napotykaną wodę. Uwzględniając obszary jego występowania, zasoby tego gazu można praktycznie uznać za niewyczerpalne w skali życia wielu pokoleń ludzkich. Woda w Krynickich szczawach jest pochodzenia atmosferycznego, zatem jej podziemne zasoby są odnawialne, choć ograniczone, i człowiek może swą działalnością wpływać ujemnie zarówno na ilość, jak też i na jakość tych wód. Tu więc zaznacza się ważna rola władz górniczych. Natomiast wody „zuberowskie” — kopalne są ograniczone i nieodnawialne. Powinno to być uwzględniane w planach dalszej rozbudowy i zagospodarowania Krynicy.

Ogólnie rzecz biorąc, z wodą w Krynicy nie jest źle, choć sumaryczna wydajność ujęć wody zasilającej łaźienki do kąpieli kwasowęglowych jest mniejsza od zapotrzebowania, zwłaszcza w okresach szczytu kuracyjnego. Problem ten rozwiąże dopiero wykonanie nowo zaplanowanych wierceń. Ale tu dochodzimy już do problemu nie tylko krynickiego...

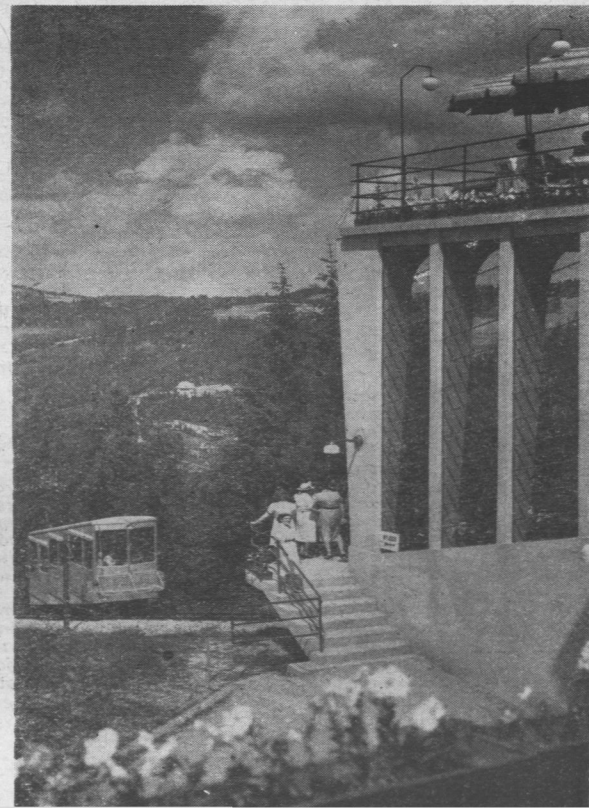
Otóż liczba czynnych zdrojowisk w Polsce jest niewspółmiernie mała w stosunku do liczby

ludności. Jedno zdrojowisko w Polsce przypada na ok. 850 tys. mieszkańców, podczas gdy w innych krajach o podobnych warunkach jedno zdrojowisko przypada na 60—250 tys. mieszkańców. Przyjęto, że za dziesięć lat z lecznictwa zdrojowiskowego ma korzystać trzykrotnie więcej osób niż obecnie. Ale analizy zaopatrzenia zdrojowisk polskich w wody lecznicze wykazują, że około 20% zdrojowisk cierpi na deficyty wód leczniczych.

Jednakże jest w tej sprawie aspekt optymistyczny. Dostrzeżono bowiem, jak trudnym zagadnieniem jest gospodarka zdrojowiskowa. Prace naukowo-badawcze nad tą problematyką zostały podjęte w różnych dyscyplinach naukowych: fizykochemii, urbanistyki, medycyny, a także geologii i balneotechniki. Takie bowiem potraktowanie przyszłości polskich zdrojowisk gwarantuje im należyty żywot.

T.M.

Na Górze Parkowej znajduje się stacja kolejki linowej. Kawiarnię na jej tarasie odwiedzają licznie kuracjusze



GDZIE ZDROWIA BRAK —
TAM O WESOŁOŚĆ NIE PYTAJ

Tymoteusz Lipiński — 1851 r.



Świeże powietrze, woda, wakacje, kolonie, słońce i zabawa — to ładunek zdrowia na przyszły rok szkolny

Zmartwienie na zapas

WIRUSY NABIERAJĄCE ROZPĘDU

KOSMONAUTÓW wracających z Księżyca zamknięto na całe tygodnie w kwarantannie, traktując jak „zarażonych”. Te nadzwyczajne środki ostrożności przedsięwzięte były nawet wtedy, gdy już wcześniej badania ustaliły ponad wszelką wątpliwość, iż na Srebrnym Globie nie ma żadnych śladów życia, a więc i bakterii groźących jakąś nieznana chorobą. Obawiano się bowiem nadal, że w warunkach księżycowych może nastąpić jakaś nagła zmiana w układach biologicznych przeniesionych z Ziemi, zmiana niebezpieczna dla człowieka. Nie są to bynajmniej obawy bezpodstawne.

Zmienna lista wrogów

Nie trzeba sięgać do okoliczności tak niezwykłych dla przedstawienia zmienności w świecie bakterii chorobotwórczych, zarówno naturalnej jak i wywołanej działalnością człowieka.

Badacze zajmujący się drobnoustrojami znają np. zarówno przypadki utraty zjadliwości przez groźne bakterie chorobotwórcze, jak i nabywanie zdolności do wywoływania zachorowań przez szczepki uznawane do pewnego czasu za obojętne, a nieraz i za pożyteczne dla ludzi, zwierząt czy roślin. Podobnie przyrodnicy, lekarze, weterynarze i fitopa-

tolodzy (specjaliści od chorób roślin), stwierdzają częste przypadki naturalnego nabywania zarówno odporności na jedne, jak i wrażliwości na inne zakażenia.

Obok przyczyn naturalnych, coraz większą rolę odgrywają obecnie czynniki nieprzyrodnicze. Synteza chemicznych środków zwalczania drobnoustrojów, odkrycia biologii, medycyny i farmakologii, zmieniają listę chorób zakaźnych, przyspieszając osłabianie czy zanikanie jednych chorób — przy równoczesnym ujawnianiu lub zwiększaniu zagrożenia przez inne. Wielu badaczy zajmuje się więc już dziś grupami drobnoustrojów, które na podstawie pewnych — mniej czy więcej uzasadnionych przesłanek — uważają za „zarazki przyszłości”, za sprawców chorób, które mogą kiedyś wystąpić w większym nasileniu.

Nowi przybysze

Wśród takich zarazków zainteresowanie w świecie nauki wywołuje pewna grupa wirusów, pojawiających się obecnie w ludzkich jelitach (ale nie tylko) i wywołujących chorobowe zmiany w komórkach.

Jedną z przyczyn, dla których te właśnie wirusy przyciągają uwagę lekarzy i epidemiologów, jest fakt, że nie są one związane z określonym

PLAGA NASZEJ CYWILIZACJI PRZEMYSŁOWEJ

Przeciwciała są to substancje białkowe wytwarzane w szpiku kostnym, w śledzionie lub w węzłach chłonnych. Organizm może wytwarzać miliony różnych ich odmian, przy czym każdy ich rodzaj jest wyspecjalizowany do walki z określonym przeciwnikiem, próbującym wtargnąć do organizmu.

PRZERÓŻNE PRZYCZYNY

Ale liczba substancji, mogących powodować reakcje uczuleniowe, czyli tzw. alergenów, jest ogromna i ciągle jeszcze nie w pełni znana. Alergia nie dotyczy wyłącznie obcego białka, zwierzęcego czy roślinnego (jak np. truskawki, jaja i in.), ale także różnego rodzaju substancji nieorganicznych, zwłaszcza chemikaliów, tworzyw sztucznych, niektórych leków, kosmetyków, środków piorących itd. Przy tym skłonność do występowania reakcji uczuleniowych — jak wiemy z doświadczenia — u poszczególnych ludzi poważnie się różni.

GROŹNE U CHEMIKÓW

Jak ostatnio stwierdzono na kongresie w Berlinie, w wysoko rozwiniętych krajach przemysłowych choroby alergiczne stały się prawdziwą plagą.

Choruje na różne ich odmiany co piąty człowiek, a szczególnie groźne stały się w niektórych zawodach — jak np. wśród pracowników fabryk syntetycznych, barwników, farmaceutyków, wśród fryzjerów, kosmetyczek, chemigrafów i in.

schorzeniem, ani też nie wykazują powinowactwa do któregoś z określonych organów. Znajduje się je zarówno w jelitach jak i w tkance nerwowej mózgu, w płucach i w komórkach skóry, na migdałkach i oponach mózgowych. Wywołują zapalenie mózgu i biegunki, katar i wysypki, porażenia mięśni i nietypowe „przeziębienia”. Choroby przez nie powodowane są więc bardzo zbliżone do schorzeń wywołanych przez wiele innych, wyspecjalizowanych grup wirusów.

Niepokojące sygnały

Te cechy: brak powinowactwa do określonych tkanek, typowego dla większości znanych wirusów, i zdolność do wywoływania różnego typu schorzeń, świadczą mogą albo o dużej zmienności owych wirusów, albo też o zachodzącym dopiero kształtowaniu się ich cech. Wielu badaczy sądzi, że są to wirusy, których zjadliwość dopiero się kształtuje. Za tym poglądem przemawia obserwacja, że choroby wywoływane przez te nowe wirusy mają, jak dotąd, na ogół łagodny przebieg. Ale pojawiają się również jednak ciężkie i a nawet śmiertelne przypadki wywoływane przez wirusy z tej grupy. Stąd obawa o niespodzianki, bo nie wiadomo, jak groźne mogą się okazać jutro.

Patolog prof. H. Jansen oświadczył, że przy ponad 13 tysiącach przeprowadzonych przez siebie sekcji zwłok u 9% nieboszczyków stwierdził ślady przebytych chorób alergicznych. Uczony skonstatował ponadto, że do najczęściej spotykanych należą choroby serca — jak zapalenie mięśnia sercowego, zapalenie wsierdzia i in. na tle alergicznym.

NAWET ALERGIA NA ŻONY

Nawet gdy stwierdzi się już alergiczny charakter choroby, niezwykle trudno jest dociec, jaki alergen ją spowodował. Przy najczęściej po wtwarzających się chorobach alergicznych skóry, przeprowadza się próby z różnymi możliwymi substancjami i w ten sposób zazwyczaj rozpoznaje się „sprawcę”. Wówczas można przystąpić do leczenia. Polega ono na wstrzykiwaniu w coraz większych dawkach substancji wywołującej alergię i neutralizowaniu w ten sposób przeciwciał drogą przyzwyczajania. Kuracja taka często jest bardzo długotrwała i nie przy wszystkich alergiach można ją stosować.

Przy innych chorobach alergicznych niż skóra stosuje się czasem kurację hormonalną (np. przy szoku penicylinowym). W zasadzie jednak — jak przyznano na kongresie — medycyna nie zna dotychczas sposobu leczenia większości chorób alergicznych i ogranicza się do łagodzenia przykrych objawów, jak swędzenie, skróćce mięśni itp. Nadal najpewniejszym środkiem jest unikanie kontaktu z alergenem. Może nim być istota żywa — pies lub kot — ba, u jednego ze szwedzkich pacjentów blisko własnej żony powodowała gwałtowne ataki alergicznej astmy...

POŻYWIEŃIE KRÓLOWEJ

Przed kilkunastu laty sporo miejsca poświęcała prasa niezbadanym, tajemniczym właściwościom leczniczym mleczka pszczelego. Tym zagadnieniem pierwszy zajął się Zakład Hodowli Pszczoł Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu.

Od dawien dawna wiadomo, że osoby zajmujące się hodowlą pszczoł są zdrowsze i dłużej żyją. Na pewno na ten fakt wpływa wiele przyczyn. Przebywanie na świeżym powietrzu, spożywanie miodu, a nawet częstsze użądlenia niż u innych ludzi. Jad pszczeli ma w sobie też tajemniczą moc — jak twierdzą starzy pszczelarze. Największe jednak znaczenie, co zostało już udowodnione naukowo, ma spożywanie przez bartników wraz ze słabiej oczyszczonym miodem — mleczka pszczelego.

Mleczko pszczele wydzielają specjalne gruczoły głowowe pszczoł-robotnic. Służy ono jako pokarm dla najmłodszego pokolenia pszczelego, i to takiego, z którego ma powstać

Bank „rozruszników”

Dysponentem stosowanych obecnie coraz częściej w lecznictwie rozruszników serca jest w Polsce Instytut Kardiologii AM w Warszawie. Chodzi tu o centralne gospodarowanie urządzeniami do wszczepień oraz o udzielanie porad klinicznym, które się nimi posługują. Centralny dysponent urządzeń służy nimi na zamówienia — i w nagłych przypadkach, kiedy zagrożone jest życie ludzkie, co na szczęście zdarza się rzadko, dzięki polskiej metodzie wszczepień.

Metoda polega na próbnym wszczepianiu elektrod, do których podłącza się stymulator — pozostawiony na zewnątrz; dopiero po sprawdzeniu, że urządzenie działa prawidłowo, wszczepia się je pod skórę pacjenta, wpisując przy tym w specjalnej książeczce datę zabiegu i ustalając moment, w którym trzeba będzie wymienić baterie. Taką książeczkę nosi pacjent zawsze przy sobie.

Do połowy ub. roku (aktualnych danych jeszcze nie mamy) wszczepiono w Kraju ponad 340 stymulatorów.

Geniusze — dopiero po trzydziestce

Po przestudiowaniu ponad 500 biografii słynnych naukowców, artystów i polityków, podzielono biografie na grupy w zależności od wieku rodziców w momencie narodzin przyszłych luminarzy. Wynik był zaskakująco niedwuznaczny. Okazało się, że 80% sławnych ludzi urodziło się, gdy wiek ich ojców przekroczył 30 lat. Największą ilość takich urodzin przypadała, gdy matka miała 27 lat, a ojciec 38 lat. Poza granicą tego wieku rodziców liczba dzieci-geniuszy spada gwałtownie.

Okazało się, że wiek matek geniuszy w momencie ich urodzin tylko nieznacznie odbiega od średniej wieku, wyznaczonej na podstawie danych Roczника Demograficznego. Wydaje się więc, że bez względu na to, w jakim wieku kobieta rodzi dziecko, ma ono takie same szanse stania się geniuszem lub człowiekiem o normalnych możliwościach intelektualnych.

Głos na ekranie

Głosotwórcza czynność krtań od dawna interesowała polskich naukowców. Badania z tego zakresu służy do wczesnego rozpoznawania patologicznych stanów krtań oraz zaburzeń wibracji strun głosowych (ważne dla ludzi nadwierzających głos w pracy zawodowej).

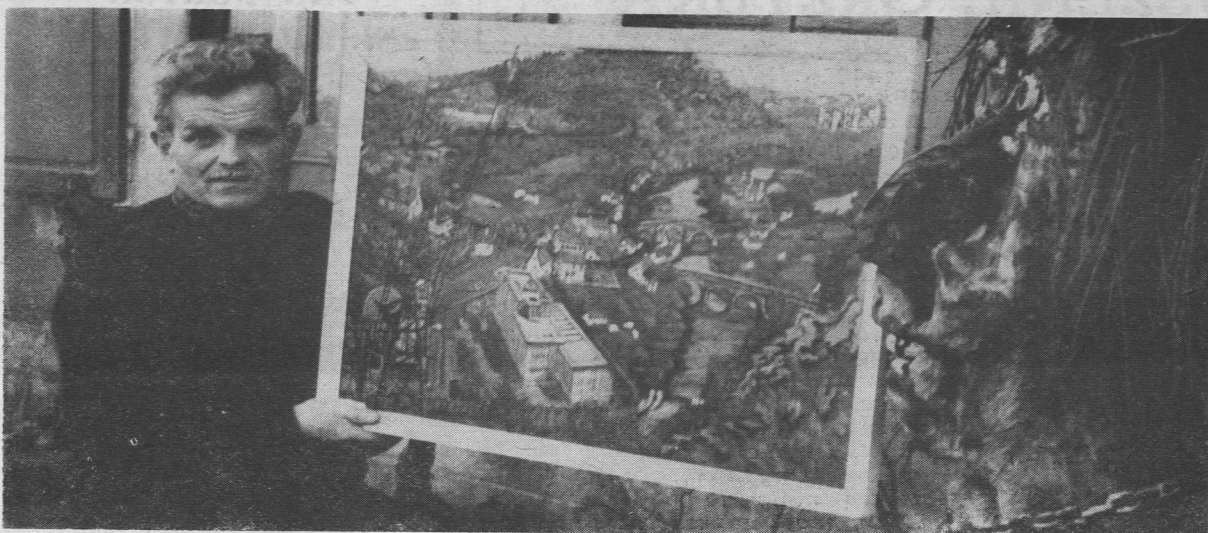
W ostatnich latach wykorzystano w tym celu rentgenokinetografię. Pod kierunkiem prof. Zawadowskiego w Zakładzie Radiologii AM w Warszawie, prof. A. Mitrinowicz i S. Krużewski badali wibracje strun głosowych w czasie mowy i śpiewu (zwolniony film pozwolił zaobserwować głosotwórczą czynność krtań).

DAJ CI BOŻE
ZDROWIE
JAK TEJ KROWIE
CO LEŻAŁA
TRZY DNI W ROWIE
Porzekadło ludowe zanotowane przed przeszło stu laty.

przyszła matka, czyli królowa. Samica-matka pochodzi z takiego samego jajeczka jak larwa robotnicy, wyrasta jednak na owada o wiele większego i żyje o wiele dłużej dzięki temu właśnie, że jest karmiona mleczkiem. Matka pszczela jako dojrzały już owad również nie jest pozbawiona tego cennego o tajemniczej mocy pokarmu. Dalej spożywa mleczko i zdolna jest do znoszenia dużej ilości jaj. Może składać dziennie w korzystnych warunkach do trzech tysięcy jaj, których ciężar jest nieraz dwukrotnie większy niż samej matki.

Mleczko pszczele zawiera witaminy grupy B, kwas panotenowy, ryboflawinę, pirydoksynę, kwas foliowy, niacynę, biotynę, tiaminę, kwas dezoksyrybonukleinowy i wiele innych cennych składników. Największe zastosowanie mleczko może mieć w pediatrii, u kobiet przechodzących ciężko okres przekwitania, w schorzeniach nerwowych i u osób wyczerpanych umysłowo.

Józef WIACEK — Saint-Eloy-les-Mines (Puy-de-Dôme)



MOJE WSPOMNIENIE O TADEUSZU BREZIE

BARDZO zasmuciła mnie wiadomość o śmierci pisarza polskiego Tadeusza Brezy. Miałem okazję widzieć tego nieodżałowanego człowieka i rozmawiać z Nim kilkakrotnie w czasie jego pobytu w Paryżu na stanowisku radcy do spraw kulturalnych tutejszej Ambasady Polskiej.

Główną sprawą poruszaną w rozmowie naszej była pomoc w zorganizowaniu wystawy mojej Panoramy „Za Chlebem”. Cykl obrazów, składających się na tę panoramę eksponowano w Paryżu i w kilku miastach północnej (m.in. w Lille) oraz środkowej Francji. Wszędzie wywierała ona duże wrażenie i odnosiła sukces. W okresie tych wystaw nawiązałem, za pośrednictwem konsula generalnego w Lille p. Józefa Klasy kontakt z radcą do spraw kulturalnych p. T. Brezą i zostałem przez Niego zaproszony do Ambasady.

Jadąc na spotkanie spodziewałem się zastać „sztywnego urzędnika”, który wie, że ma do czynienia nie z „Jego Ekscelencją” lecz ze zwykłym górnikiem. Od urzędnika tego oczekiwałem potraktowania mnie (tak dobrze mi znanego) raczej z „góry”.

Wchodząc do gabinetu p. radcy Brezy zostałem od razu mile zaskoczony. Zza biurka wstał człowiek wysoki, nieco pochylony, mający lat około 60, o bujnych siwiejących włosach, łagodnej uśmiechniętej twarzy i dużych okularach, spoza których spoglądały oczy o łagodnym wejrzeniu. Mile zaprosił mnie, bym raczył usiąść, a sam zaczął przeglądać podane przeze mnie fotografie i broszurę wyjaśniającą sens obrazów Panoramy.

Już po pierwszych słowach rozmowy poczułem do Niego pełne zaufanie i zacząłem rozmawiać z Nim tak szczerze jak z kimś bardzo bliskim. Nie wiedziałem wtedy, że jest pisarzem, a więc i psychologiem, że ma duszę artysty czułą na piękno, że rozumie pracę, wysiłek drugiego człowieka i potrafi je ocenić, bo sam pracował bardzo dużo.

Kiedy powiedziałem Mu, że Panorama znajduje się w Lille, wyraził chęć, żeby obejrzeć ją. Nastąpiło to kilka dni później, w mojej obecności.

Był nią od pierwszej chwili zachwycony. Kazał porobić fotografie jedynie niektórych obrazów (gdyż ograniczony był w dysponowaniu funduszem na ten cel przeznaczonym), aby je przekazać do Ministerstwa Kultury i Sztuki w Polsce.

Zegnając mnie szczerzy i mocnym uściskiem dłoni gratulował mi talentu i wytrwałości. Obiecał, że uczyni wszystko, aby praca moja została pokazana, a może i zakupiona w Polsce.

Starania o urządzenie wystawy w Polsce trwały trzy lata, w czasie których p. T. Breza opuścił, z powodu choroby, stanowisko w Ambasadzie i przeniósł się do Warszawy. Panorama została pokazana jedynie w kilku miastach, między innymi w Warszawie w lecie 1967 r., by następnie wrócić z powrotem do Francji... Podobno nie było funduszy na jej zakupienie.

Pan Tadeusz Breza, mimo iż był chory, przyszedł obejrzeć Panoramę „Za chlebem”. Rozpięta była wtedy w swej całej 40-metrowej okazałości. W mojej „Złotej Księdze” zapisał słowa, które są mi bardzo drogą, gdyż odzwierciedlają Jego szlachetną duszę — dobrego Polaka-patrioty i wielkiego pisarza.

Oto co napisał:

„Drogi Panie Józefie!

Cieszę się ogromnie, że wreszcie Pana świetna Panorama przybyła do Warszawy i w ogóle do Polski. Oglądałem ją w Lille i wiele razy mówię i pismami zabiegaliśmy, by ją ściągnięto do Kraju. Teraz widzę, jak bardzo to było warte trudu. Widzę i słyszę jak się ona ludziom w Polsce podoba. Jeszcze raz serdeczne brawa, Panie Józefie. Pański oddany Tadeusz Breza.

6 lipiec 1967”.

Śmierć tego człowieka, który dla mnie był więcej niż przyjacielem — dotknęła mnie szczególnie żałośnie i boleśnie. Dlatego tą drogą pragnę uczcić Jego pamięć, wyrazić swój żal, a Rodzinie Zmarłego przekazać moje gorące wyrazy współczucia.

Polska utraciła z Jego śmiercią jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych. Jego dzieła, tłumaczone na różne języki świata, będą poczytne i na długo utrwalą się w pamięci miłośników dobrej literatury.

Cześć Jego pamięci!

J. WIACEK

Postać p. Józefa Wiacka nie jest nieznaną naszym Czytelnikom. Emerytowany górnik, malarz-amator, który od wielu, wielu lat oddaje swe siły w służbę sztuce, znany jest nie tylko w swej kolonii Saint-Eloy-les-Mines (Puy-de-Dôme) wśród licznej rzeczy miejscowych rodzin polskich oraz całego społeczeństwa francuskiego. Wie o nim dzisiaj już i wiele innych ośrodków we Francji i w Polsce. Obrazy jego, charakteryzujące się wzruszającą naiwnością, bogactwem faktury, często specyficzną symboliką, posiadają niezaprzeczalną siłę wyrazu. Wiele z nich jest jednocześnie bezcennym dokumentem historycznym doli i niedoli polskiego Wychodźstwa. Nawiazując do słynnej powieści Jana Viktora, napisanej w latach międzywojennych, można by Panoramę „Za chlebem” Józefa Wiacka nazwać malarskimi „Wierzbami nad Sekwaną”.

List p. J. Wiacka, który powyżej zamieszczamy, pozostanie ciekawym przyczynkiem do naszych dziejów emigracyjnych. Jest wspomnieniem o wybitnym pisarzu napisanym przez malarza, który w latach ciężkiej pracy i trudnego niekiedy instalowania się w nieznanym kraju uczuł potrzebę wypowiedzenia swych przeżyć obrazami. Postać Tadeusza Brezy, autora „Murów Jerycha”, „Spizowej Bramy”, „Procesu” i wielu innych powieści, który w okresie pracy w Ambasadzie w Paryżu był prawdziwym przyjacielem Polonii, stanie się na pewno, po opublikowaniu listu p. Wiacka, jeszcze bliższą naszym Wychodźstwem.

U belgijskich przyjaciół Polski

NOWE REPORTAŻE PANI BAILLY O KOPERNIKU I KRAKOWSKICH SZOPKACH

WIELU ma Polska na świecie przyjaciół... Do jednych z najbardziej wypróbowanych należy na pewno belgijska dziennikarka pani Gaby Bailly, która już piąty rok prowadzi nieustrudzenie swoje prelekcje o Polsce, wszędzie wzbudzając zainteresowanie Polską. O pani Bailly pisaliśmy trzy lata temu z okazji jej reportażu „Polska niezwykła” za który otrzymała Prix Martini za najlepszy reportaż turystyczny. Co obecnie robi wielka przyjaciółka Polski? Odwiedziliśmy ją w jej słonecznym mieszkaniu brukselskim, tuż koło słynnego z wystawy światowej w r. 1958 — Atomium.

— Nie zapomniła pani o Polsce?

— Wprost przeciwnie. Przybył mi nowy reportaż o waszym Kraju. „Od bursztynu do azyłu żubrów”, który jest owocem mojej drugiej podróży do Polski w roku ubiegłym.

Pani Gaby Bailly uprawia bardzo ciekawą rodzaj dziennikarstwa. Jest to dziennikarstwo mówione i ilustrowane przezroczkami oraz muzyką. Dlaczego pani Bailly wybrała właśnie ten rodzaj publicystyki? To cała historia, która wiąże się z... nieśmiałością. Pani Bailly była w latach szkolnych chorobliwie nieśmiała. Za nic nie zabrała głosu przy dużej ilości ludzi, cierpiała z tego powodu nie mało, ale przez nieśmiałość nie potrafiła tego nikomu wyznać. Na szczęście tę dolegliwość zauważyli rodzice, którzy postanowili zastosować kurację wstrząsową. Zapisali córkę na kursy teatralne, gdzie musiała w obecności kilkunastu co najmniej osób recytować wiersze, wygłaszać długie tyrady i wysłuchiwać nie zawsze miłe uwagi. Ta kuracja pomogła. Pani Gaby nie została wprawdzie aktorką, ale nagle pozbyła się nieśmiałości i w obawie, aby znów w nią nie popaść postanowiła wybrać sobie taki zawód, który stale będzie od niej wymagał kontaktu z publicznością. I tak stała się dziennikarką, o której głośno w Belgii.

Pani Bailly ma następujący sposób pracy: najpierw jedzie do wybranego kraju, zbiera materiał, a mąż (z zawodu inżynier, a z zamiłowanie niezwykle utalentowany fotografik) — zdjęcia. Następnie pani Bailly pisze swoją opowieść, a mąż przygotowuje przezroczka. Kiedy już wszystko gotowe można stanąć oko w oko z publicznością. Pani Bailly wygłasza swoje prelekcje dziennikarskie w klubach, salach teatralnych. Zdobyła sobie nimi niezwykle powodzenie i Belgowie bardzo chętnie przychodzą jej posłuchać.

Sukces zaczął przychodzić za sukcesem. Najpierw podziwiali panią Bailly Francuzi za to, że nie będąc Francuzką odkryła Francji nieznane oblicze słynnego pisarza Alfonsa Daudet. Potem zaczęła zdobywać serca innych krajów: Polski, Włoch, Węgier, Hiszpanii.

Polska znajduje w pracy pani Bailly szczególnie miejsce. Obok dwu reportażów, które już wymieniliśmy przygotowała ona bardzo ciekawą prelekcję o Marii Curie-Skłodowskiej, a obecnie pracuje nad reportażem o Mikołaju Koperniku. W sumie — poświęciła ona przeszło 100 wieczorów na propagowanie spraw polskich przed belgijskimi słuchaczami.

Dlaczego urzekła ją akurat Polska? Nie umie na to odpowiedzieć, mówi, że jest to sprawa serca, uczucia, które trudno wyrazić słowami. Pani Bailly kocha polski folklor, polską przyrodę, pełną jest szacunku dla Polaków.

Siedzimy z panią Bailly w jej slicznym domku i oglądamy pamiątki z Polski: sznurki bursztynów, piórko kormorana znalezione na Mazurach, ludową figurkę z drewna.

— Mam zamiar odwiedzić Polskę w zimie. Interesuje mnie konkurs na szopkę, który co roku odbywa się w Krakowie i skupia najbardziej utalentowanych twórców ludowych. Chciałabym zobaczyć Zakopane w śniegu. W ogóle — tyle jest pięknych rzeczy w Polsce do zobaczenia, a ludziom do opowiedzenia. Moi rodacy ciekawi są świata, dlatego też prelekcje, które prowadzę, cieszą się tak wielkim powodzeniem...

Oczywiście, pani Bailly jest skromna mówiąc, że tylko ciekawość świata gromadzi tylu słuchaczy na tych prelekcjach. Przychodzą, bo wiedzą, że opowieść będzie barwna i ciekawa. Wiadomo — w wykonaniu pani Gaby Bailly...

LISTY Józefa
Grzybka

KUSZENIE GRZYBKA

Działo się to zaraz po wojnie, może w roku 1947, może w 1948, dokładnie już nie pamiętam. Istniało u nas wtedy mnóstwo rozmaitych towarzystw, m.in. sekcja TUR-u. Pewnego razu prezes TUR-u, Franek Duszyński, triumfalnie obwieścił na zebraniu, że przybędzie do nas prelegent z Paryża i wygłosi odczyt o filozofii. No i tak też się stało. Prelegent przyjechał i uraczył nas okropnie mądrą pogadanką. „Filozofia — tłumaczył — jest to nauka o najogólniejszych prawach rozwoju całej rzeczywistości: przyrody, społeczeństwa i myśli. Jednym z działów filozofii jest logika, czyli nauka o formach i zasadach poprawnego myślenia. Twórcą logiki jako odrębnej nauki filozoficznej jest grecki filozof Arystoteles...” Itd., itd. Mówił tak dobrą godzinę, po czym nagle zmiarkował, że prezes, czyli Franek Duszyński, śpi, a ludzie siedzą jak na tureckim kazaniu i w związku z tym strasznie się speszył i zaczął się jękać. Na sali natychmiast zrobił się rumor i gwar ogólny. Helcia Grochowska, baba spaśna i pyskata, zawołała: „Filozof się w osła zmieni, największy mędrzec zgłupieje, kiedy ze dwa dni nic nie je!” Szczęściem Franek Duszyński obudził się, grzmotnął pięścią w stół i zaraz uciszyło się, jak gdyby ktoś makiem posiał. Franka baby otaczały respektem, bo chłop był tak wysoki, że wchodząc we drzwi musiał schylić trochę głowę, a ważył ponad dwa cetnary. Musiał złączyć się jego władczego głosu także i prelegent, bo zaraz odchrząknął i zaczął mówić językiem prostym i zrozumiałym. „Filozofia to jest nauka, która stara się odpowiedzieć na pytania takie, jak: skąd my się wzięliśmy na Ziemi, jaki jest cel ludzkiego życia, dlaczego możemy żyć, itd. — ją wyjaśnić. — Filozof to jest taki człowiek, któremu wszystko — a więc i to, że żyjemy, mówimy, kochamy, i to, że znajdujemy się na Ziemi, a nie gdzie indziej, i to, że domy stoją prosto — wydaje się dziwne. Żeby zostać filozofem, należy umieć dziwić się temu, co większość ludzi uznaje za oczywiste...”

Prelekcja ta przypominała mi się dlatego, że ostatnio najwyklesze rzeczy zaczynają wydawać mi się niezwykle, niesamowite, tajemnicze, zagadkowe. Przedwcześniej na przykład zadawałem sobie w duchu wzorem polskiego poety Gałczyńskiego pytania: „Dlaczego ogórek nie śpiewa?” Wczoraj zastanawiałem się nad tym, dlaczego roztaczające się nad naszymi głowami sklepienie niebieskie jest niebieskie, a nie pomarańczowe albo zielone, albo w liliowe groszki. Zasię dzisiaj od samego rana medytuję nad tym, dlaczego właściwie natura obdarzyła kobiety zdolnością mówienia. Itp., itd. Słowem, filozofuję.

Nie myślcie czasem, że zbyt długo wylegiwałem się na słońcu i że nabawiłem się tak zwanego kręcka. O wszystkie te dziwaczne

rozmyślenia przyprawia mnie nie co innego, tylko nuda. Nudzę się jak pies na łańcuchu. No bo nie mam do kogo gęby otworzyć. Nie mam partnera do rozmowy. W kolonii puchy. Mniejsi, więksi i mali, łysi i osiwiali — wszyscy wyjechali na wczasy. Na naszej ulicy jedynym reprezentantem płci niestusnie zwanej brzydka jestem w tej chwili ja. Oczywiście, wszystkie wdowy i stare panny lgną do mnie jak muchy do miodu i nie mogą im się wprost ograć. Cięgiem mnie zaczepiają, cięgiem czegoś ode mnie chcą, cięgiem zaglądają mi w oczy i wodzą mnie na pokuszenie. Onegdaj na przykład odwiedziła mnie Andzia Frąckowiakowa, i: „Czy nie moglibyście przyjąć do mnie i zreperować mi ryczki?” — zaczęła. Ryczka to po naszymu stołeczek. A Andzia to kobieta przy kości. Taka przysła wydekoltowana i wyperfumowana, że myślałem, że z wrażeń zemdleję. Była już u mnie także Zosia Ratajczakowa. Chciała, żebym przyszedł do niej wieczorem, bo u niej wieczorem straszy, więc ona się boi... Nęci mnie również wszystkimi powabami swego krzepkiego ciała Marynka Paprzycka. Ilekroć mnie spotka, tyłekoc kokietuje mnie oczami, kolanami, ruchami, półsłówkami, uśmiechami — czym się tylko da. Boże, dlaczego ja jestem taki przystojny? Dobrze, że w najbliższą niedzielę górniczy wróć z wakacji (w naszym regionie górniczy mają wakacje od 5 do 26 lip-

ca), bo gdyby to tak jeszcze potrwało z tydzień, to stoczyłbym się chyba wspólnie z którąś z kuszących mnie syren w otchłań namiętności i grzechu.

Czy w naszej kolonii kobiety naprawdę są takie skore do grzeszenia? Gdzie tam. Nic podobnego. Ja to wszystko wysłałem z palca. Dlaczego tak paskudnie postąpiłem? Żeby napędzić strachu żonie. Wyobraźcie sobie, że moja od dziesięciu już dni siedzi u znajomych w Ostricourt i ani myśli wracać do domu! Dlatego właśnie zmyśliłem, że niewiasty wodzą mnie na pokuszenie. Bo kiedy moja przeczyta ten mój dzisiejszy „List” do połowy, to zerwie się i tak przyfrunie do domu, jak gdyby miała skrzydełka jak gaska, rozumiecie?

No i zmyśliłem tę historyjkę także i z myślą o Was. Może Wy też siedzicie w domu? Może w Waszej kolonii też są puchy? Może i Wy nie macie do kogo gęby otworzyć? Może i Wam tak się cni, że zaczynacie filozofować, zastanawiacie się nad tym, dlaczego ogórek nie śpiewa? Tak? Zgadłem? No widzicie. To wobec tego dobrze, że zmyśliłem taką historyjkę. Będziecie mogli trochę się pośmiać.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

PAN DOKTOR SKACZE Z WIEŻY

Nigdy w Polsce nie było do- brych skoczków do wody. Jakoś nie leżała Polakom ta dyscyplina, a może brak było lepszych tradycji? W każdym razie dopiero pod koniec 1956 r. pojawił się pierwszy większy talent. Czternastoletni Jurek Kowalewski skakał płynnie, elegancko, precyzyjnie. Trenerzy wróżyli przyszłość chłopcu, no i słusznie. Był olimpijczykiem w Rzymie, startował w Meksyku, kilkakrotnie na mistrzostwach Europy — a w Utrechcie zdobył pierwszy i jedyny medal dla Polski w skokach do wody.

Rzadko tylko wspominało, że obok pilnej nauki skoków do wody, Jurek był bardzo pilnym uczniem szkoły średniej, później równie dobrze prosperującym studentem medycyny, a teraz jest już „panem doktorem”. Wprawdzie odrabia dopiero staż w szpitalu na Pradze, ale już podjął pracę w przychodni sportowej pod kierunkiem dr Janczewskiego i dr Soroczki. Ze sportem postanowił więc związać się na stałe, także zawodowo.

A starty? Pan doktor przygotowuje się do udziału w mistrzostwach Europy w Barcelonie, gdzie życzymy mu sukcesów. Nawiasem mówiąc, to już drugi polski lekarz, który godził się medycynę ze sportem wyczynowym. Pierwszym był Stefan Lewandowski, niezapomniany średniodystansowiec, wielokrotny i długoletni rekordzista Polski w biegach na 800 i 1500 metrów. On także doskonale studiował medycynę, poświęcił się chirurgii, a o sporcie mówił, że był jego najpiękniejszą przygodą życiową. Nieradko zaczynał dopiero po egzaminach ostry trening, by znaleźć się w reprezentacji i zwiedzić nowy, nie znany mu dotychczas kraj.

Tygodniowa
GAWĘDA

Lato, lato ♦ Sam GUS nie obliczy ♦ Przyjemne z pożytecznym

Noc świętojańska była jak gdyby sygnałem startu: ogniska, które zapłonęły nad brzegami polskich rzek, wianki, które popłynęły z prądem, rakiety, które strzelały w niebo i spadały wspaniałymi, barwnymi fajerwerkami — to wszystko stanowiło początek okresu najmiłszego, okresu wypoczynku i wielkiej letniej wędrowki wakacyjnej dla milionów ludzi w kraju. Przede wszystkim oczywiście — młodzież: raz, że jest bardziej ruchliwa, mniej zasiedziata od nas, starych koni, dwa, że na ogół dysponuje dłuższym okresem odpoczynku: ferie szkolne trwają ponad dwa miesiące, a studenckie nawet trzy miesiące — można więc wyhasać się dowolnie od morza „aż do samiotkich Tater”, od Bugu do Odry, od jezior Mazurskich do Karconoszy, od bieszczadzskich górów do zielonogórskich winnic.

To prawda, że wycieczki zagraniczne są atrakcyjne, każdy lubi się „przewietrzyć”, poznać inne kraje, zobaczyć, jak żyją ludzie, z którymi na co dzień się nie stykamy, jednakże — co rozumiecie — ogromna większość urlopowiczów spędza swoje wakacje w kraju, i wraca z nich z przekonaniem, że i tutaj jest wiele, bardzo wiele do zobaczenia i przeżycia, że „cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie” i że... „piękna nasza Polska cała”. Nie podejmuję się obliczyć i obawiam się, że i sam GUS (Główny Urząd Statystyczny) nie dałby rady, ile milionów ludzi w Polsce porzuciła tzw. domowe pielesze latem i rusza, jak kto potrafi, lubi, może — „w Polskę” — koleją i autobusem, własnym dwusładowym (tak to się nazywa, gdy się jedzie samochodem) lub jednosładowym (motocykl) pojazdem mechanicznym, pojazdem o napędzie... nożnym czyli rowerem, łodzią motorową lub kajakiem (jachty takie, jak np. Onassisa należą raczej do rzadkości) czy też wreszcie — jak Pan Bóg przykazał — pieszo na wędrowkę.

Ten „exodus” z miast w okresie urlopowym stanowi atrakcję nie tylko dla urlopowiczów, lecz i dla tych, którzy w tym czasie w miastach pozostają. Tak na przykład o wiele wygodniej jeździ się w tym czasie miejskimi środkami lokomocji, nie ma tłoku w tramwajach, autobusach i trolejbusach. To też coś.

W czasie mojego pierwszego tegorocznego „zwiadu”, gdy wybrałem się do znajomych, którzy mają swoją „letnią

rezydencję” w postaci śmiesznej chałupiny w powiecie giżyckim w województwie olsztyńskim, zwróciłem uwagę na charakterystyczne zjawisko: znacznie więcej niż dawniej korzysta z wczasów letnich ludzi starszych, powyżej pięćdziesiątki. Spotkałem tam całe grupy łódzkich włóknarzy i metalowców czy częstochowskich hutników. We wsiach o niemal egzotycznie, ale pięknie brzmiających nazwach, jak Wilkasy, Widminy, Upałty, Miłki czy Sterławki odpoczywają ludzie, których dawniej i kijem latem nie można było wygonić z domu, nie przywykli bowiem do wczasowania, uważali to za stratę czasu i pieniędzy. Pod tym względem zmieniły się poważnie obyczaje, i to dobrze.

Przeważa jednak wszędzie młodzież — to jasne. Wędrują, pływają, tańczą, śpiewają, uprawiają sporty. Młodzież — trzeba powiedzieć — dorodna. Wciąż na nowo czynię to samo spostrzeżenie, jak piękna, zgrabna, kształtna młodzież nam wyrosła. Chyba nawet nie ma żadnego już porównania z tym, co było kilkadziesiąt lat temu, gdy sam byłem w ich wieku. I gdyby nie było nic innego — to już to jedno, biologiczne powiedziałyby, osiągnięcie na tak przecie w skali dziejów narodu krótkiej przestrzeni, stanowi jakąś trwałą bezcenną wartość.

Jeszcze a propos młodzieżowego lata 70. Na szerszą skalę niż w uprzednich latach zorganizowano obecnie wczasy, mające służyć tzw. wypoczynkowi aktywnemu, łączącemu przyjemne z pożytecznym. Zrzeszenie Studentów Polskich organizuje np. obozy naukowo-badawcze, na których tysiące studentów nie tylko wypoczywają i bawią się, lecz spędzają również czas twórczy, zgodnie z obranym kierunkiem studiów. Tak np. studenci SGGW (Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego) badają faunę i florę czy przemiany społeczne wsi, historycy — dzieje regionu, w którym spędzają wakacje, medycy — pod kierunkiem lekarzy piosną pomoc ludności i tak dalej. Nie każdemu wystarczy słuchać piosenek z festiwalu w Opolu czy w Sopocie. „Na dłuższą metę — powiedział mi pewien student matematyki — to nudne.”

Po czym zgromadził kupę dzieciaków i zabawił je rozwiązywaniem zagadek matematycznych. W porządku.

MARIAN

L'air du temps

Pour elle, la saison a vraiment commencé à Opole avec le festival qui lui fut consacré. Oui, dame Chanson s'en est allée guillerette à travers tout le pays jeter une oreille ça et là entendre des montagnes de mélodies... Elle a fort à faire, dame Chanson, car les festivals ont poussé comme champignons après la pluie, être partout au même moment, il y a de quoi perdre la tête! Mais la tête de dame Chanson est solide et son cœur est plein d'indulgence. Méchamment, des caricaturistes lui envoient, entourés d'une faveur satanique, des paquets de notes ébréchées ou carrément cassées ramassées sur le terrain des festivals (les énumérer ces festivals nous obligerait à faire plusieurs feuillets de ce papier, ce qui n'est pas prévu par la rédaction, aussi renoncerons-nous à en donner la liste). Et bien dame Chanson fait fi de ces indelicatesses, elles envoient les pauvres notes maltraitées prendre du repos à la campagne, loin des atmosphères survoltées des festivals et là-bas, le soir au coin du feu de camp, à la mer, à la montagne, n'importe où dans la nature, les notes convalescentes retrouvent leur pureté première. Elle a bien raison de ne pas se laisser impressionner par les mauvaises langues ou les coups de crayons aigus, elle fait le compte dame Chanson: bien que ses fichiers dans les genres différents ne soient pas toujours tenus à jour, elle arrive à des résultats ahurissants. Elle se voit d'essence du plus pratiqué des cultes. Un tel succès aurait pu lui monter à la tête, elle aurait pu aller se reposer au fond d'une tour d'ivoire, depuis tant de siècles elle est vénérée! Mais sa candide fraîcheur a écarté les tentations de vieux milliardaires, elle garde le souffle léger et libre. Une mode, un style s'alourdit? Peu importe, elle pirouette et s'en va cueillir quelques brassées de notes nouvelles qu'elle jette, en muse attentionnée, au compositeur en quête d'inspiration. Il ne reste plus qu'à les disposer avec goût et sans savoir comment, vous vous surprenez à fredonner un nouveau refrain.

LES BIESZCZADY LA PLUS SAUVAGE DES CONTREES

S'IL est un coin de Pologne qui l'emporte sur tous les autres pour la rudesse de ses paysages et son aspect sauvage, il ne peut s'agir que des Bieszczady.

Ce pays de montagnes situé au sud-est de la Pologne, doit en partie à son climat et à ses vastes étendues désertes, cette solide réputation. C'aurait pu être le pays de légendes sylvestres, il y existe encore des futaies quasiment inaccessibles d'accès où s'abrite le gibier et même l'ours et le loup. Mais les légendes ont un caractère d'autant plus triste du fait qu'elles sont récentes et le fond cruel en est vrai. A la fin de la dernière guerre, des luttes sanglantes s'y déroulèrent contre la bande réactionnaire de l'Armée Insurrectionnelle Ukrainienne. Il fut difficile de venir à bout de ces bandes qui incendiaient sans pitié les villages et se terraient ensuite dans la nature sauvage qu'elles connaissaient si bien. Le retour de la paix en cette région se traduisit par un grand dépeuplement et la nature exubérante eut vite fait de reprendre le dessus. Deux excellents films des metteurs en scène Ewa et Czeslaw Petelski rendent l'atmosphère brutale de l'époque, l'un est „La base des gens morts” et l'autre „Le sergent Kalen”.

La paix revenue, on eut vite fait de comparer cet „est sauvage” à l'ouest américain des pionniers. De la Pologne entière, des gens venaient élire domicile dans les Bieszczady et leur vie ressemblait vraiment à celle des pionniers, tout était à refaire. De plus, le spectacle des troupeaux de bétail et de moutons accentuait la comparaison.



Peu à peu des routes furent construites, on utilisa les richesses naturelles. Deux réservoirs d'eau ont été aménagés à Myszkowce et à Solina et l'énergie électrique qu'ils fournissent alimente toute la région. Quant au dernier réservoir, celui de Solina, il est appelé „la mer des Bieszczady”.

Pour le tourisme, la région est un paradis. Des hôtels, des auberges se sont élevés, surtout à Ustrzyki Dolne. Des stations de sport d'hiver ont vu le jour. A Polonina Carynska, un des plus beaux endroits des Bieszczady, la

construction d'un vaste ensemble d'hôtels avec piscines est prévu. Ainsi la région est appelée à un grand avenir touristique qui n'a pas fini d'être exploité et les amateurs de solitude pourront encore longtemps trouver un coin désert pour satisfaire leurs goûts. Il est vrai qu'ils peuvent tomber nez à nez avec un ours ou un bison, animaux sous protection qu'il est préférable de ne pas rencontrer, surtout en ce qui concerne l'ours qui est parfois dangereux. Mais sans aller si loin, avec ses paysages magnifiques, ce coin de Pologne enchantera les plus exigeants.

EN COURANT... EN COURANT...

- D'après un accord passé entre la Pologne et l'Organisation des Nations Unies, l'Institut du Textile de Łódź a accueilli, pour la quatrième fois consécutive, vingt spécialistes venus de douze pays afin de suivre des cours de perfectionnement.
- Le 200 000^{ème} passager du bac „Gryf” naviguant entre la Suède et

Swinoujście, était un Suédois venu passer dix jours en Pologne, il a reçu bien entendu des fleurs et des présents. Par ailleurs, un autre bac, le „Visby” viendra s'ajouter au „Gryf” dès le mois d'octobre prochain.

- Dans les environs de Kielce, les travaux de construction du „Bassin Blanc” ont commencé. D'une grande importance pour l'économie nationale, le bassin fournira des matériaux de construction réalisés à partir des couches de chaux de ce terrain calcaire. En 1975, les cimenteries de Kielce fourniront un tiers du ciment de toute la production du pays.

- Les Ateliers „Cegielski” de Poznań, achève la construction de la première locomotive à moteur diesel. D'une puissance de 1700 cv, elle atteindra une vitesse de 120 km à l'heure. Le moteur a été réalisé d'après une licence italienne de la firme „Fiat”.

- Un séminaire ayant pour thème „L'Evolution de la campagne dans les Terres de l'Ouest et du Nord” s'est tenu à Wazeta, près d'Olsztyn. Cette étude était consacrée aux vingt dernières années.

- A Zakopane, la première piscine alimentée par les eaux chaudes d'une source découverte il y a quelques années, vient d'être ouverte. La température de l'eau est de 33°. C'est là une attraction séduisante pour les vacanciers et les touristes.

- L'atelier de recherches de l'industrie du verre de Cracovie, a mis au point un système qui empêchera les vitres de geler en hiver. Ce système consiste en une couche transparente qui, déposée sur la surface du verre, n'en altère pas la transparence et sera conductrice de courant électrique.

- Au Palais de la Culture de Varsovie, un congrès réuni plus de quatre cents chirurgiens étrangers et polonais, spécialistes du cœur. La dernière assemblée internationale de chirurgiens s'est déroulée en Pologne en 1928. On imagine l'importance de ce XIX^e congrès où sont présents les plus grands spécialistes de la chirurgie du cœur.

- Des géophysiciens polonais se sont embarqués dernièrement sur le navire „Jan Turlejski” qui les emmènera au Spitzberg où ils se livreront à des recherches scientifiques.

BREVETS D'INVENTIONS DES JEUNES

DEPUIS 1966, il existe en Pologne un bureau enregistrant les brevets d'inventions envoyés par les jeunes qui ne peuvent dépasser 18 ans.

Les organisateurs de ce bureau avaient pour but de provoquer chez les élèves des écoles primaires, secondaires ou techniques, une pensée critique et technique envers cette branche si importante de l'industrie contemporaine. Il faut croire que leur action, menée de pair avec des revues pour la jeunesse, telles „Horizons de la Technique pour l'Enfant” et le „Jeune Technicien” a porté ses fruits. Les brevets sont enregistrés à la rédaction d'une troisième revue: „L'esprit inventif et la rationalisation”. Le nombre sans cesse croissant des inventions envoyées oblige une sélection sévère. On considère la valeur de ces inventions en fonction de l'originalité et la mise de travail personnel. Si, en 1969, il fut prévu l'enregistrement de 200 inventions cette année on suppose atteindre le nombre de 1400. L'année passée, huit brevets furent accordés et 28 certificats, cette année on pense enregistrer 40 inventions.

Les participants ont souvent 8, 10 ans et leurs inventions alors se limitent en général à de nouveaux jouets mécaniques ou à des instruments usuels de la vie quotidienne comme par exemple, une table pour faire les devoirs.

Les plus âgés ont des pôles d'intérêts qui dépassent souvent l'enseignement de l'école et se rapporte à la mécanique, ce sont par exemple des butoirs à ressorts pour voiture, des cellules pour voiture, des lampes plates de kinoscope ou même des broches électriques pour parquet. L'éventail est des plus variés. Les organisateurs se montrent satisfaits, l'action entreprise il y a quatre ans, commence à donner des résultats et tout porte à croire que l'esprit inventif chez les jeunes se multipliera de plus en plus.

LA „FLOTTE BLANCHE”

On appelle „La flotte blanche”, toutes les bâtiments assurant les croisières en rivière. A Varsovie, des excursions ont loué des places jusqu'au mois de septembre durant les week-ends. Il est difficile de renoncer aux charmes d'une croisière en eau douce et la Pologne ne manque ni de lacs, ni de cours d'eau aux rives enchanteresses. Il suffit d'évoquer les lacs de Mazurie reliés entre eux par des canots pour imaginer le féerie d'une croisière en cette région, ou en une autre...

Et pourquoi une ballade en rivière n'aurait-elle pas l'attrait d'une croisière en mer?



„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives) tel. 52-08-86
Siedziba: 199, rue de Paris LILLE tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca
◆ suknie ◆ spódnice ◆ swetry
◆ bluzki ◆ popeliny ◆ tergal i płaszcze
PIERZE ◆ WSYPY ◆ POSZWY ◆ DAMASY

◆ Ceny
◆ niskie

Na żądanie wysyłamy próbki



DROGA PANI ANNO!

Jestem trzydzieści lat po ślubie. Mamy dwoje dzieci. Córka jest już zamężna, a syn żonaty. Mają swoje własne gniazda. Syn mieszka dosyć daleko, córka trochę bliżej, ale do domu rzadko przychodzą, bo kiedy przyjdą, to ojciec nie wie, jak im ma wymyślić i przeżywać. Dzieci mówią, „tylko do Ciebie, Mamo przychodzimy”. Ojca się wstydzą, bo wciąż pijany. Pracował w fabryce, ale rzucił pracę. Co 15 dni chodzi do doktora, lekarstw ucale nie używa. Pije wódkę, kirsz, rum, miesza wszystko razem. Teraz jest na rencie inwalidzkiej. Dostawał 1500 f na 3 miesiące, ale urwali. Przeprowadzali mu badania, był 6 tygodni w szpitalu i zmniejszono mu rentę na 1000 f i powiedzieli, że ma pracować 4 godziny dziennie. On ma 57 lat, już pięć lat nie robi, tylko czyta książki i we dnie się wysypia, a potem w nocy nie może spać. Ja pracuję ciężko — dwie godziny dziennie u ludzi prowadzę gospodarstwo, w domu też dużo roboty i 8 godzin w fabryce. Jak przyjdzie niedziela, to mi jest strasznie smutno w domu samej. On bierze auto i jedzie, nie wiem dokąd. Jak się upije, to mi wymyśla, że już nie wiem co mam mówić. Lepiej by mi było na ten świat nie przychodzić, to bym takiego nie szczęścia nie doznała.

NIESZCZĘŚLIWA

DROGA PANI!

Rzeczywiście los ma pani nie do pozazdrosczenia. Czy całe życie tak się pani męczyła, czy też dopiero od niedawna do tego doszło? Myślę, co by pani doradzić? Sama nie bardzo wiem. A może by pani zamieszkała u kogoś z dziećmi. Jeśli pani zarabia i jest niezależna, nie musi pani przecież trzymać się męża

B. DOWOJNA-BIENAIME

TŁUMACZKA
PRZYŚIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SĄDACH W PARYŻU
Tłumaczenia urzędowe

ważne w całej Francji
23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

i czekać na jego łaskę. Jak wynika z listu — dzieci są dobre i do pani przywiązane. Więc dlaczego nie spróbować z nimi pomieszkać? Miałyby pani spokój, otoczona by była serdecznością i miłością, nie czułaby się samotna. Niech się pani nad tym zastanowi i poradzi swoich dzieci. Ten człowiek już się nie zmieni. Nie można liczyć na to, że nagle przestanie pić i że będzie panią lepiej traktować. W końcu ma pani prawo w swoim ciężkim życiu do odrobiny spokoju. Tego życzę z całego serca.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Piszę ten list właściwie nie po to, by otrzymać od pani radę, ale po to, by innym czytelnikom przedstawić pewien przykład do zastanowienia się i naśladowania. Ożeniłem się w wieku 22 lat, żona była o rok młodszą. Pierwszy rok upłynął nam na dorabianiu się i urządzaniu. Spotykaliśmy się tylko z rodzicami. Wszystko układało się idealnie. Oboje pracowaliśmy i było nam z sobą dobrze. Pewnego razu, w blisko dwa lata po ślubie, odwiedziła nas żona koleżanka z pracy. Była to piękna kobieta, doskonale ubrana, widać było, że prowadzi światowe życie i nie zna materialnych trosk. Od pierwszej chwili zauważyłem, że się zainteresowała moją osobą. Imponowała mi i nie umiałem się przeciwstawić jej poczynaniom. Przychodziła do nas coraz częściej a wkrótce zaczęliśmy się spotykać sam na sam. Chodziliśmy do kina, na spacer, do kawiarni, jeździliśmy za miasto jej samochodem. O naszych spotkaniach żona była dobrze poinformowana, ponieważ moja znajoma wszystko z detalami opowiadała w biurze. Pomimo różnych nieprzyjemności żona była zawsze uśmiechnięta i nigdy nie dawała poznać po sobie, że o wszystkim wie. Gdy szykowałem się na spotkanie z tamtą, żona przygotowywała mi czystą koszulę, a nawet prasowała spodnie. Gdy wracałem, czasem późno, zawsze czekała z kolacją. Witła mnie słowami — Kochanie, może zjesz coś? — Okropnie mnie to denerwowało. Wolatłem, żeby zaczęła mi robić wymówki. Po kilku miesiącach moja znajoma zdecydowała, że musimy razem zamieszkać. Zaprowadziła mnie na obiad z dużą ilością alkoholu i kazała powrócić do domu wszystko powiedzieć żonie i zawiadomić ją, że się rozstaniemy. Gdy wróciłem do domu i żona otworzyła mi drzwi, była godzina 2 w nocy. Widząc, że jestem pod gazem powiedziała — Kochanie, widzę, że jesteś zmęczony, chodź, pomogę ci się rozebrać. — W tym momencie zrozumiałem, jaką krzywdę jej wyrządzam. Zaczęłem płakać. I ona też.

Tak minęła reszta nocy, byliśmy szczęśliwi, że nasze uczucie zostało uratowane. I tak trwa do dziś. Opisałem to wszystko tak dokładnie, żeby pokazać, czego może dokonać mądra kobieta dobrym słowem, zamiast awantur.

KOCHAJĄCY MAŻ

SZANOWNY PANIE!

Dziękuję w imieniu Czytelniczek i własnym za ten list. Niech pan nie sądzi jednak, że tak łatwo kobiecie zdobyć się na tyle samożarcia i ciepłości. Wierzę, że gdyby więcej żon umiało się tak zachować w krytycznej chwili, wiele małżeństw zostałoby uratowanych. Nie raz w moich poradach zwracałam uwagę na to, że awantury, sceny małżeńskie są na pewno najgorszą i najmniej skuteczną metodą walki o odzyskanie szczęścia. Postawa pana żony budzi podziw, ale ktoś może jej zarzucić także brak ambicji. Najważniejsze jednak jest to, że pan zrozumiał w porę swój błąd. Widocznie żona znała pana lepiej, niż pan sam znał siebie. Na tym także polega mądrość w małżeństwie.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Już sześć lat jestem mężatką i bardzo pragnę mieć dziecko. Mąż nie chce o tym w ogóle słyszeć. Nie obchodzi go dom, rodzina, ani ja. Myśli tylko o dobrym jedzeniu i pić. Pije strasznie dużo. Ale nie chce się leczyć, bo twierdzi, że nie jest nalogowym pijakiem. Moim zdaniem tylko jakaś kuracja dałaby wyniki. Czy można go zacząć leczyć bez jego woli? Mam po swojej stronie tesciową. Ona mnie bardzo kocha i robi wszystko, żeby uratować nasze małżeństwo, ale ja z pijakiem nie chcę żyć.

ZONA

DROGA PANI!

Powinna pani być zadowolona, że mąż nie godzi się na dziecko. Jeśli on tak dużo pije, to mogłoby się to odbić na potomstwie. W sprawie leczenia musiałyby się pani porozumieć z lekarzem. Może lekarzowi uda się skłonić męża do podjęcia kuracji. Bez wiedzy chorego nie można tego robić. Może także tesciowa przyjdzie pani z pomocą. Myślę, że nie należy mężowi mówić wprost, że jest alkoholikiem. Raczej mu tłumaczyć, że jeśli nie przestanie pić, wpadnie w nałóg. I że temu chce pani zapobiec. W tym celu powinien się leczyć profilaktycznie. Jeśli go pani teraz porzuci, na pewno stoczy się zupełnie. Trzeba mu pomóc, nie złością i groźbami, ale serdecznym słowem. Jeszcze nie jest za późno.

ANNA

TV DU 2 AU 8 AOUT

PREMIERE CHAINE

TELE-MIDI — 13.00, INFORMATION PREMIERE — 19.45, TELE-NUIT — à la fin du programme.
„LE CHEVALIER TEMPESTE” — feuilleton — 12.30 (sauf le dimanche)
„LA BANDE DES AYACKS” — feuilleton pour les jeunes — 18.30 (sauf samedi et dimanche)
POUR LES PETITS — 19.00 (sauf le dimanche)
„PRUNE” — feuilleton (sauf samedi et dimanche) — 19.25
„QUI ET QUOI” — 19.40 (sauf samedi et dimanche)

DIMANCHE 2 AOUT

9.10. TELE MATIN
12.02. LA SEQUENCE DU SPECTATEUR
13.15. „UN TAXI DANS LES NUAGES” — feuilleton Nr. 5
13.45. VARIETES „On est comme on est”
14.35. „La Grande Caravane”
15.20. Reportages sportifs
18.00. Film avec Robert Taylor „LE BOURREAU DU NEVADA”
20.10. „SPORTS DIMANCHE”
20.40. „LE TRIPORTEUR” — film de J. Pinoteau avec Darry Cowl et Pierre Mondy
22.15. Emission du service de la Recherche „La Provence déchiffrée”

LUNDI 3 AOUT

13.35. Je voudrais savoir
20.25. EUREKA — émission de Michel Treguer
21.20. „S. M. ALEXANDRE” de Jean Cosmos avec entre autres Alfred ADAM

MARDI 4 AOUT

20.25. „LA LEGENDE DE BAS-DE-CUIR” feuilleton Nr. 9
20.55. Film en version originale „AU SERVICE DE LA LOI” avec entre autres Wallace Berry et Lanaine Day

MERCREDI 5 AOUT

20.30. Jeux „INTERVILLES” — Vannes contre Lorient
21.40. Année Beethoven — présentation Max-Pol Fouchet.

JEUDI 6 AOUT

15.00. CHAMPIONNATS DU MONDE DE CYCLISME SUR PISTE en Eurovision
20.25. AU THEATRE CE SOIR avec la pièce de Jean GUITTON intitulée „JE L'AIMAIS TROP”
22.20. EN TOUTES LETTRES — une émission d'Eric Ollivier et Jean Dutourd.

VENDREDI 7 AOUT

18.00. Feuilleton — rediffusion de „THIERRY LA FRONDE” Nr. 1
18.30. CHAMPIONNATS DU MONDE DE CYCLISME SUR PISTE — Eurovision
20.25. Feuilleton „HONDO” — 10-ème épisode
21.10. PANORAMA
22.10. CHAMPIONNATS DU MONDE DE CYCLISME SUR PISTE

SAMEDI 8 AOUT

17.30. BONNES ADRESSES DU PASSE émission de J. J. Bloch en programme „JACQUES COEUR”
18.15. CHAMPIONNATS DU MONDE DE CYCLISME SUR PISTE à Leicester
19.25. ACCORDS D'ACCORDEON
20.25. LA PREUVE PAR QUATRE émission de J. Antoine et J. Solness
21.30. „Les Règles du Jeu” n° 6 — „Un pasteur parmi les hommes”
22.45. CHAMPIONNATS DU MONDE DE CYCLISME SUR PISTE

DEUXIEME CHAINE — COULEUR

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, (N) — noir et blanc
(C) — COLORIX — 19.00 (sauf le dimanche)
24 HEURES SUR LA 2 (C) — 19.30
24 HEURES DERNIERE (C) — à la fin du programme

DIMANCHE 2 AOUT

15.30. (C) — „VERTES DEMEURES” film de Mel Ferrer avec entre autres Audrey Hepburn
18.10. (C) — L'IMAGE EST A VOUS — „Port Barcarès”
19.10. (C) — „LE GRAND CHAPARRAL” — 1-ère partie
20.30. (C) — HORS JEU de Maurice Cazeneuve
21.00. (C) — „LA FENETRE” d'après „L'Araignée” de Hans Ewers

LUNDI 3 AOUT

20.30. (C) — „SUZANNE DECOUCHE” film de Frank Tashlin
22.05. (C) — L'EVENEMENT DES 24 HEURES
22.10. (C) — La communauté des Télévisions Francophones présente „PORTRAIT”

MARDI 4 AOUT

20.30. (C) — LE MOT LE PLUS LONG
21.00. (C) — Emission dramatique

MERCREDI 5 AOUT

20.30. (C) — LES DOSSIERS DE L'ECRAN avec présentation du film en noir et blanc „LA BELLE OTERO” — débat en couleur à la fin du film

JEUDI 6 AOUT

20.30. (C) — VARIETES sous le titre „J'ai une femme qui adore les animaux”
21.30. (C) — ARCANA — Connaissance de la musique
22.25. (C) JAZZ en direct du Festival de Chateaufallon

VENDREDI 7 AOUT

20.30. (N) „L'EDUCATION SENTIMENTALE” film d'Alexandre ASTRUC avec entre autres J. C. Brialy, Marie-José Nat et Michel Auclair
22.05. (C) — „Les peintres espagnols au Laboratoire du Louvre” émission de Madeleine Hours
22.50. (C) — Alain DECAUX raconte: „Le mort mystérieuse du général Sikorsky” — émission de Jean-Charles Dudrumet

SAMEDI 8 AOUT

17.40. (C) — „LES MONROES” Nr. 4 sous le titre „La Chevauchée de la terreur”
18.30. (C) LES ANIMAUX DU MONDE aujourd'hui „Le Parc Zoologique de Palmyre”
20.30. (C) — OPERATION VOL N° 5 — „Le Diamant de la baronne”
21.20. (C) — PARADE D'ETE A ROYAN avec Gilbert Bécaud
22.25. (C) — AVIS AUX AMATEURS — émission d'Armand Jammot

RADIOODBIORNIKI TELEWIZORY

Lodówki, maszyny do prania
i inne artykuły gospodarstwa domowego

LENG - PICARD ET C - ie

16, Place de la Liberté,
423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.43, 73.29.47
ROUBAIX (Nord)



JAK PIELEGNOWAĆ URODĘ

ODPowiedź na pytanie zawarte w tytule jest dla nas, kobiet, niesłychanie istotna. Zamieszczamy więc w „Tygodniku” sporo informacji na ten temat. Lato, upały i kanikuła nie sprzyjają jednak żadnej twórczości, także i tej z dziedziny kosmetyki, wobec czego pójdziemy wyjątkowo na „łatwiznę” i posłużymy się dobrymi radami znawcy przedmiotu, Zbigniewa Lengrena, popularnego grafika-humorysty, który w swoim „Poradniku życiowym” zauważa na wstępie, że poradzić coś kobiecie, uczciwie i bezinteresownie, może tylko... mężczyzna.

Nasz „życzliwy doradca” stwierdza więc m. in., że WŁOSY służą kobiecie do: zapuszczania, obcinania, układania, tapirowania, rozjaśniania, przyciemniania, moczenia, suszenia, zakręcania, rozprostowywania, podczesywania, zaczesywania, upinania, rozpuszczania, rozczochrywania, szczotkowania, zmiany koncepcji i do — kapelusza, dostarczając nam nie mniej trosk niż łysina mężczyźni. I dalej:

Widok najeżonej papilotami, pardon, wałkami i szpilkami głowy oddalić może w oczach mężczyzny uwielbiany obraz naturalnie wijących się kędziorków z okresu narzeczeńskiego. Dlatego warto korzystać z usług fryzjera. Pomijając już fakt, że przez wiele godzin oddychać bę-

dziemy atmosferą sztuki, pobyt w salonie damskim da nam możliwość swobodnej wymiany poglądów i zwierzeń wśród nie znanych nam bliżej innych bywalczyń zakładu.

Farbowanie włosów jest nam podobno potrzebne ze względów psychicznych... Jeśli np. któregoś dnia w duży szatynki wezmą górę elementy liryczne i nagle poczuje się ona małą, nieśmiałą blondyneczką, to co robi będąc z natury bojową i większego formatu? Farbuje włosy na kolor łanów pszenicznych. A mała, nieśmiała blondyneczka zamienia się pewnego dnia w drapieżną urodzielkę farbując łan pszeniczny na płomienny krzew dzikiego wina!

OCZY są zwierciadłem duszy i jako takie wymagają odpowiedniej oprawy. W tym celu używamy henny, która jednak w pewnych okolicznościach staje się gehenną. Kiedy np. ze świeżo „zrobionym” okiem udajemy się do kina i trafiamy na film taki bardziej wrzuszający, ronimy łezkę, która rozarta drobna piąstką zamienia piękny rysunek oka w czarnosiny pejzaż sztormowego oceanu.

DLA KAŻDEGO COŚ SMACZNEGO

Postaraliśmy się zebrać dla naszych Pań informacje, co też pirasi się w kuchniach naukowców, jakie potrawy ma nam zaszerwować przyszłość?

KARIERA SOJI

Zacniemy od wędlin tym bardziej, że jedna z firm holenderskich produkuje już sztuczne bekony i szynki o pięknym, jasnorożowym kolorze i tylko lekko wyczuwalny zapach jarzyn odróżnia te specjalne od szynki prawdziwych. Holenderskie wyroby ze sztucznego mięsa można kroić, można je też na kanapkach rozsmarowywać. Specjalnością firm belgijskich są natomiast sztuczne kiełbaski i parówki o słonym, przypominającym wędzonki smaku i aromatycznym, korzennym zapachu.

Podstawowym surowcem do produkcji sztucznych mięs i wędlin jest soja, z której już w średniowieczu mnisi buddyjscy na skutek zakazów religijnych dotyczących spożywania mięsa — potrafili przyrządzać mnóstwo potraw. Współcześni eksperci stwierdzili, że 1 akr ziemi wyko-



rzystywany pod zboże — w ciągu roku dostarcza białka w ilości wystarczającej człowiekowi na 250 dni; ta sama powierzchnia gruntu przeznaczona pod uprawę soi może dostarczyć białka na okres 6 lat.

Wśród krajów, które wyprodukowały eksperymentalne pokarmy z białka izolowanego z soi wódkowej — dość dobrze naśladowującej fakturę, wygląd i zapach befsztyka, szynki, ryby, kury i innych mięs — najlepsze rezultaty mają USA i Japonia. Warto dodać, że produkty te są prawie o połowę tańsze od mięsa zwierzęcego. I jeszcze jedno: sztuczne mięso jest tym lepsze, im cieńsze ma włókienka. Najsmaczniejsze wyroby mają „strukturalne pajęczynki”.

A CO W MORSKIEJ SPIŻARNI?

Potrawy przygotowywane na nasz stół przez naukowców nie będą pochodziły wyłącznie z plodów ziemi. Sięgamy również do spiżarni Neptuna. I tu początek dali pomysłowi i gospodarni Japończycy. Ponieważ już dawno zaobserwowali, że przy

wrakach zatopionych statków zbierają się całe kolonie ryb, co sprzyja ich rozmnażaniu, postanowili budować takie „domy spotkań rybich” — zatapiając w morzu pustaki betonowe.

Również we Francji wydatnie zwiększa się zasoby specjalów morskich, głównie krewetek. Pierwsze doświadczenia hodowlane są imponujące: w ciągu 3 miesięcy krewetki hodowane stały się tak duże jak dotychczas łowione okazy półtoraroczne.

Bon appétit!

AU FUMET SAVOUREUX

LE FOIE DE VEAU

Comme en Provence on met de l'ail dans tout, en Pologne on met de l'oignon dans tout. Il en est ainsi pour le foie, qu'il soit de veau ou de génisse. Je vais vous proposer deux possibilités d'accomoder le foie, les deux sont un peu plus longue à réaliser que la tranche jetée rapidement sur la poêle, mais pas compliquées au point de présenter des problèmes.

Vous prenez des tranches de foie que vous farcissez de petits morceaux de lard. Vous passez les tranches dans de la farine et vous jetez sur de l'huile ou du beurre très chaud. Quand les deux côtés ont bien pris, vous ajoutez de l'oignon haché menu et vous laissez mijoter cinq minutes sous le couvercle.

Le deuxième façon est le foie aux pommes. Les tranches



Przygotowując stół na przyjęcie gości — nakrycia rozmieszczamy starannie, równo i w następującym porządku: na dużym płytkim talerzu stawiamy mniejszy — do przystawek lub zakąsek. Przed talerzami, w kierunku od lewej strony do prawej, ustawiamy wąską szklaneczkę do wody mineralnej lub soku, duży kieliszek do wina, specjalny kieliszek do koniaku i najmniejszy do mocnego alkoholu. Widelce do ryby i mięsa układamy z lewej strony nakrycia, drugi widelce do ryby, nóż, łyżkę i łyżeczkę — z prawej strony. Sefwetkę kładziemy z lewej strony talerzy, zapasowe nakrycia, szkła i sztuczce umieszczamy na dodatkowym małym stoliku. Nie zapominamy o kwiatkach w małych wazonikach, które najpiękniej dekorują stół.

NOTKI-PLOTKI

50-letni wieśniak Francisco Ojeda i jego o 5 lat młodszą żonę, Amalia, mieszkańcy Wypł Kanaryjskich, otrzymali nagrodę w wysokości 2 tys. dolarów, ponieważ urodziło się im... dwudzieście z kolei dziecko.

W sklepie z farbami w Glasgow (Anglia), pomysły właściciela wywiesił następujący napis: „Mężowie kupujący farby do malowania mieszkań proszeni są o przedstawianie upoważnień podpisanych przez ich żony, że zgadzają się na kupno. Sprzedane farby nie będą wymieniane na inne.”

W kalifornijskim mieście Monterey wstrzymano wypłacanie zasiłków bezrobotnym długowłosym mężczyznom i kobietom hodującym modzie mini, ponieważ szef miejscowego urzędu zatrudnienia doszedł do wniosku, że „ekscentryczna powierzchowność utrudnia znalezienie pracy”. Z miejscowych pracodawców 80 proc. nie chciało przyjąć do pracy mężczyzn o długich włosach, a 95 proc. nie godziło się na zatrudnienie kobiet w sukienkach mini.



Pour être belle...

Kosmetyka na co dzień

Już w zamierzchłych wiekach niewiasty stosowały najrozmaitsze maści do twarzy i były to — sądząc po podbojach, których dokonywały w świecie męskim — mazidla nader skuteczne. Oto jedna z „cudownych maści wonnych” według receptury włoskiego lekarza Pademontany sprzed kilkuset lat:

„Weźmij Ambry półtorej dragmy, utrzy ją na marmurowej plaży w oleju jaśminowym, potem przelóż piżma ile się zda y zaś wespół trzy potom Rozey damasceńskiej obojga po jednej uncji (Fiołkowego korzenia półtorej dragmy). Te rzeczy wtarczy miało przyłóż k'temu Zybetu dragma iedna, zmieszaj wespół dobrze a będzie jako by maść. To choway w słoju kościanym dla niewietrzezenia”.

Może warto wypróbować?

ZŁOTE MYŚLI

Niedaleki jest czas, gdy usłyszysz się pelen zdumienia okrzyk: „I pomyśleć, że w oczach naszych przodków kobieta 60-letnia nie była już kobietą młodą!”

H. Duvernois

Mieszkałem w domu o ścianach tak cienkich, że słyszałem, jak mój sąsiad zmieniał przekonania.

(Intelektualista)

Z szafy znajdującej się w sąsiednim pokoju dobiegły mnie odgłosy lekkiego szurania. I co się okazało? To suknie mojej żony wychodziły z mody.

(Przerażony)

Uroda bez wdzięku to haczyk bez robaczka.

Ninon de Lenclos

Ernestine DODUE

Les chanteurs chez nous



PILAR TOMAS

PILAR TOMAS vient du Chili où elle est née le 12 décembre 1945. Son père Fernando Bacarezza de Montessus de Ballore (ingénieur constructeur), appartient à une célèbre famille d'armateurs péruviens, à laquelle le roi d'Espagne avait accordé, pour services rendus, un titre de noblesse. Sa mère était d'une grande famille espagnole, les „Barros”, qui a compté des écrivains, des historiens, des poètes, un fondateur de l'Université de Santiago, et plus récemment, un Président de la République.

PILAR a été élevée par son père et sa tante, ayant perdu sa mère très jeune. Comme toutes les jeunes filles chiliennes de famille, elle fit ses études chez les religieuses du Sacré-Coeur. Pendant

les vacances son père, qui construisait des ponts dans tout le pays l'emmenait avec lui aux quatre coins du Chili, mais aussi au Brésil, en Uruguay, en Argentine, au Pérou, au Mexique.

Tous les membres de sa famille jouaient de la guitare; elle prend des leçons avec les meilleurs professeurs. Comme elle est douée, et qu'elle travaille beaucoup, sa réputation ne tarde pas à s'étendre. Elle commence à donner des leçons de guitare et est vite obligée de refuser des élèves.

On lui propose de faire partie d'un trio célèbre au Chili, de faire des émissions de télévision. Mais elle refuse tout: elle vient de se fiancer.

Mais elle ne jouait pas que de la guitare; elle chantait

aussi, depuis toujours, sans réaliser vraiment que ce plaisir était pour elle une passion. Son mari s'en aperçoit et l'encourage fortement, en l'aidant à vaincre la timidité qui l'empêchait jusque là d'affronter le public.

Devenue parisienne très récemment, elle conserve l'habitude de son pays des longues soirées de „guitare” entre amis, où chacun chante à tour de rôle pour la joie de tous.

PILAR TOMAS a eu la chance au printemps 1969 d'avoir à créer les 2 chansons principales du film „Z”, qui représentait la France au Festival de Cannes. „Un Homme dans une île”, „Il est vivant” du compositeur grec Mikis Theodorakis.

Elle s'intéresse à toutes les formes de l'art. Elle peut satisfaire à Paris son goût des Impressionnistes, et il n'est pas rare de la trouver au Musée du Jeu de Paume, lorsqu'elle a une heure de libre. Elle aime la musique classique, et plus particulièrement Bach et Wagner, mais aussi les musiciens contemporains.

Si elle a un faible pour le folklore sud-américain, cela ne l'empêche pas d'aimer outre Nana Mouskouri, Myriam Makeba, Gilbert Bécaud, Joao Gilberto et Frank Sinatra, un grand nombre d'autres chanteurs.

Elle lit énormément: Roman Rolland, Maurois, Anatole France, Oscar Wilde mais aussi le grand poète de son pays, Pablo Neruda.

Très féminine, elle aime la danse, les courses dans les magasins, son intérieur, la cuisine, le théâtre, le cinéma, les longues promenades à cheval...

Et la chanson, par-dessus tout; la chanson dans laquelle sa voix très pure et légèrement voilée de mélancolie évoque la nostalgie de son pays, de son soleil et des rythmes dont elle ne pourra jamais se défaire tout à fait.

Cette année au mois d'août, elle représentera la France au Festival International de la Chanson à Sopot en Pologne. Il ne nous reste que de vous souhaiter: Bonne Chance à Sopot, Pilar Tomas!

Michalinka ma głos

ROZMAWIAJMY O MODZIE

Raz siedziały w ogrodzie gąska, kaczką i kwoczką, rozmawiały o modzie, aż błyszcząły im oczka.

Wpierw ozwała się kurka:

— Moje drogie, czy wiecie, już nie modne są piórka na ogonku i grzbiecie?

— A ja powiem wam szczerze, że wytworne kaczkuszki rzadko noszą dziś pierze z białym puszką pod brzuszkiem.

— Ja widziałam zaś gąskę, gdy wchodziły do wody, miały dzióbki zbyt wąskie...

— To ostatni krzyk mody!

— A co pani ubierze, kiedy przyjdą upały?

— Moje pierze źle leży, więc przerobię je całe.

— A co jeszcze dzisiaj wyczytały z gazet?...

— A podobno są modne jajka małe, nie duże.

— Dziś są kury wygodne...

— No cóż dziwić się kurze?

Tak gdały dzień cały gąska, kwoczką i kaczką, aż im dzioby latały jak ruchliwa trzepaczka. Cały kurnik się trzęsie, i już słonko zachodzi...

— Co za gęsi te gęsi, tyle gęgać o modzie?!...

MICHALINKA

CZY SZCZĄTKI z ARKI NOEGO?

MIĘJSZE wylądowania legendarnej arki, dzięki której patriarcha Noe ocalał z potopu, nie daje spokoju uczonym. Przed 15 laty francuski badacz Bernard Navarra po raz pierwszy zasygnalizował o obecności szczątków, mających kształt kadłuba łodzi, w lodowych pokładach na szczycie góry Ararat, na granicy turecko-radzieckiej. Dwa fakty były intrygujące. Po pierwsze, znalezisko odkryto na wysokości 4000 m, a więc tam, gdzie nigdy nie dotarły wody. Po drugie, Biblia mówi o tym, że kiedy kończył się potop, arka Noego osiągnęła suchą ziemię właśnie na górze Ararat. Czyżby więc potwierdzała się słowa Biblii?

W lecie zeszłego roku na miejsce wskazane przez francuskiego badacza udała się ekspedycja amerykańska. Odnalezienie przez nią szczątki miały okazać różniary i rzeczywiście przypominały konstrukcję łodzi. Gdy jednak po powrocie do USA, poddano znalezisko analizie naukowej, sprawa natychmiast się skomplikowała.

Wycinki konstrukcji, wykonanej z białego drewna, zbadano przy pomocy promieniotwórczego izotopu, dla określenia wieku drewna. Pomiary wykazały, że szczątki

ki pochodzą sprzed zaledwie 1200 lat. A przecież w tamtych czasach nie było na kuli ziemskiej żadnego potopu, jego obecność można wykryć w odległej przeszłości, przez wieloma tysiącami lat. Pozostałby wobec tego tylko jeden wniosek: po prostu szczątki, znalezione przez Bernarda Navarrę, nie pochodzą z legendarnej arki. I na tym byłby koniec.

A jednak historycy i archeolodzy są uparci. Fascynują ich nadal koncentrujące się wokół góry Ararat legendy, zwłaszcza biblijna wersja o Ziemiśmian Raju, umiejscawianym w rejonie Araratu. Toteż amerykański Instytut Arktyczny zapowiedział już, że w 1971 r. uda się na szczyt góry nowa ekspedycja naukowa, by potwierdzić jedną z hipotez. Głosi ona, że określenie wieku drewnianych szczątków było błędne. Według tej hipotezy, pomiary zostały wypaczone wskutek obecności w drewnie wody pochodzenia lodowcowego oraz substancji siarkowych, które przeniknęły z wulkanicznych skał Araratu.

M.J.

WYMIENIAM KORESPONDENCJĘ

Odette Volay „Vers l'air” 69 — BRULLIOLES (France), uczennica liceum, lat 15, Francuzka, pragnie nawiązać w języku francuskim korespondencję z rówieśnikami z Polski i wymienić poglądy na temat życia w Polsce, warunków nauki, pracy, itp.

HALINA KUŁAKOWSKA — Lwówek Śląski — Aleja Wojska Polskiego 16, woj. wrocławskie — ma 14 lat i bardzo chciałaby mieć przyjaciół we Francji i z nimi korespondować. Może pisać na temat filmu, tańca i muzyki oraz wymienić widokówki.

ALEKSANDER KOZIŁO — Nowa Sól, ul. Hutnicza 5/9, woj. zielonogórskie — posiada dość pokaźną kolekcję znaczków pocztowych, które chciałby wymienić z Rodakami z Francji. Kolekcjonuje także płyty zespołów muzycznych i fotosy tychże zespołów. Może korespondować w języku francuskim, niemieckim i polskim.

LESZEK ZIELAZEK — Poznań, ul. Długosza 16a/11 — uczeń technikum weterynaryjnego, lat 18, poszukuje chłopca lub dziewczynki, którzy zechcą wymienić polskie płyty i fotosy zespołów. Korespondencję może prowadzić w języku polskim lub niemieckim.

JADWIGA JASINSKA — Zgorzelec, ul. Nowotki 13 m 3 — uczennica lat 17, pragnie za pośrednictwem „TP” nawiązać kontakt z młodzieżą z zagranicy w języku niemieckim i polskim na temat filmu, mody i muzyki big-beatowej. Kolekcjonuje płyty i widokówki.

HENRYK MARCINIAK — Poznań, ul. Opolska 108/110 m 1 — pisze do redakcji: Od dawna piszę Wasze pismo. Od niedawna natomiast pomaga mi cno w nauce języka francuskiego. Bardzo chciałbym Was prosić o pomoc w nawiązaniu korespondencji z młodzieżą polonijną z Francji lub Belgii. Mam 21 lat, jestem studentem chemii (II rok) na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu. Interesują mnie głównie problemy i życie młodzieży polonijnej a ponadto literatura, muzyka i film.



La semaine des Jeunes

la magicienne Circé. J'espère que les garçons ont vu l'„Odysée” à la télé et qu'ils savent que Circé fit boire aux compagnons d'Ulysse une liqueur enchantée qui les transforma en pourceaux. J'espère aussi qu'ils n'ignorent pas que le mot de pour-

connu Gilles? Eh bien, il y a quelques jours, le petit bourg où nous estivons a été envahi par les Parisiens et parmi ces Parisiens, il y avait Gilles. Voilà. Qu'est-ce que je pense des habitants de la Ville lumière? Hum. Il me semble que le moins qu'on

il. Et il s'en alla. Gilles demeura tout pantois. Depuis, il est bouche bée devant mon petit frère et ne moque plus les provinciaux. Il a vraiment la répartie prompte et heureuse, mon petit frère, pas vrai? S'il ne s'endort pas sur ses lauriers, il sera peut-être bientôt presque aussi intelligent que moi.

Et vous, où en êtes-vous dans vos amours? Comment est-il? C'est certainement un jeune homme très séduisant, presque irrésistible, n'est-ce pas? Est-ce qu'il lit les aventures de Tarzan? Il paraît que depuis que les Editions spéciales ont commencé à publier les romans d'Edgar Rice Burroughs consacrés au „seigneur de la jungle” dans une collection à bon marché, les hommes ne lisent plus que cela et se lèvent très fatigués, parce qu'ils rêvent qu'ils se battent avec des lions et des gorilles. Et vous, que lisez-vous? J'espère que vous demeurez fidèles à „La Semaine Polonaise” et que vous ne la trompez pas avec un autre journal? Et j'espère aussi que vous mettez vos vacances à profit pour lire des ouvrages traduits du polonais ou traitant de la Pologne?

Je vous fais une grosse bisse.

MARTINE

OU EN ETES-VOUS DANS VOS AMOURS?

ALORS, on est toujours en vacances? Moi aussi, figurez-vous. J'espère que là où vous villégiaturez le ciel et la température se montrent cléments et que vous n'avez pas lieu de regretter de ne pas avoir fait l'acquisition d'une paire de skis avant de partir? Chez nous aussi il fait un temps splendide. Même les nuits sont si chaudes que je dors vêtue seulement du soupçon de crème protectrice que j'ai l'habitude d'étaler sur mon visage avant d'aller me coucher.

(Avis important: il est formellement interdit aux garçons d'essayer de s'imaginer à quoi peut ressembler une fille qui dort vêtue seulement d'un soupçon de crème. Qui-conque osera passer outre à cette interdiction subira le même sort que les compagnons d'Ulysse dans l'île de

ceau est l'équivalent littéraire de cochon. Et j'espère également qu'ils comprennent la plaisanterie...)

Oui, il fait étouffant. Il fait si lourd qu'on n'a même pas envie de flirter, n'est-ce pas? Moi, je ne fais que manger des glaces à la vanille. Heureusement que Gilles est généreux et qu'il m'en paye. Qui est-ce. Gilles? C'est mon nouveau soupissant. Un Parisien. Il a un curieux prénom, pas vrai? Un peu médiéval, hein? Ma mère dit qu'elle ne comprend pas comment ses parents ont pu lui donner un prénom pareil. Mon père affirme que s'il avait un fils prénommé Gilles, il lui donnerait journalièrement une bonne fessée. Mais il paraît que ce prénom-là connaît actuellement dans la capitale une vogue extraordinaire.

Comment est-ce que j'ai

puisse dire, c'est qu'ils inclinent à se prendre pour des caïds et à regarder les provinciaux comme des béotiens. Tenez, la première fois que j'ai vu Gilles, il était en train d'expliquer à mon frère qu'il ne comprenait rien à rien. „Est-ce que tu sais ce que c'est que le structuralisme?” — disait-il. — Et le signifient? Est-ce que tu as entendu parler du signifient? Hein? Et le signifient? Etc, etc. Mon frère avait l'air de quelqu'un qui visite un jardin zoologique. Je pensais que le prodigieux savoir de Gilles l'avait interloqué, lorsque tout à coup: „Le moyen le plus sûr d'accréditer une opinion auprès de la frivolité française, est d'inventer quelques phrases que tous les sots puissent répéter en croyant dire quelque chose — lui répondit-il. Et: — C'est de d'Alembert” — ajouta-t-

SPORTOWE NOTKI CIEKAWOSTKI PLOTKI...

Wakacyjny numer „Tygodnika Polskiego”, to znaczy, że musi w nim być coś lekkiego, może śmiesznego, ale zawsze ciekawego. Tym razem autor ma odpocząć od wielkich problemów sportu. Trzeba przeszukać notatki, zaglądnąć do zapisków i przypomnieć, co opowiadali koledzy. W ciągu roku, od ostatniego wakacyjnego numeru „Tygodnika Polskiego” tyle działo się w sporcie, że tylko brać i przebieierać. Wybieram więc kilka notek, anegdotek, ciekawostek i plotek. Nie roszczę sobie one pretensji do wielkiej literatury sportowej, mają jednak zasadniczy walor — wszystkie są prawdziwe. Słowo daję!

WSZYSCY ZDYSKWALIFIKOWANI

Wśród licznych dziennikarzy polskich, obsługujących Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym, rozgrywane w Szczyrbskim Jeziorze (Czechosłowacja) jeden zwłaszcza słynął z dobrego humoru i psikusów, którymi szczerze obdarzał swoich kolegów. Tego jednak dnia był raczej przygnębiony. Polscy dwuboiści klasyczni, którzy mieli szansę nawet na medale zupełnie zawiedli i nie znaleźli się chociażby w czołowej dziesiątce. Na szczęście wieczorem odbywał się bankiet i to wyraźnie poprawiło humor naszego kolegi. Każdy najprzyjemniejszy jednak bankiet musi się skończyć. Tak było i tym razem. Kiedy Leszek szedł do hotelu spostrzegł, że drzwi do biura prasowego są otwarte. Wszedł do środka, ale nikogo nie było. W tym właśnie momencie błysnęła mu „genialna” myśl. Uruchoił teleks do redakcji agencji w Warszawie i nadał wiadomość, która wywołała tam prawdziwą burzę. Jak bowiem wynikało z tej informacji wszyscy czołowi zawodnicy w dwubojach zostali dyskwalifikowani przez jury mistrzostw, a zwycięstwo przyznano Polakowi, który w rzeczywistości nawet nie ukończył biegu, ponieważ złamał nartę. W Warszawie dyżurny redaktor sportowy był już w domu, telefonicznie więc wezwano go do redakcji, choć było już po północy. Łatwo sobie wyobrazić jego złość, kiedy po przybyciu do centrali dalekopisów zastał następną depeszę ze Słowacji, wyjaśniającą, że poprzednia wiadomość była tylko dowcipem. Minęło już ponad pół roku, a jeszcze się nie kłania swemu dowcipnemu kole-dze.

NIESFORYNY MŁOT

Chwile grozy przeżyli widzowie podczas zawodów lekkoatletycznych o Memoriał Janusza Kusocińskiego, rozgrywanych na stadionie Skry w Warszawie. Odbywała się właśnie bardzo efektywna konkurencja — rzut młotem. Siatka ochronna była źle ustawiona, lecz pierwsi zawodnicy rzucali dość celnie na środek boiska. Wreszcie w koło wszedł Japończyk Ishida. Pierwszy rzut próbny skierował w grupkę zawodników, przygotowujących się do skoku w dal, następnie — w kierunku sędziów przy wiatromierzu, wreszcie trzeci — w kierunku ekipy telewizyjnej. Na szczęście wszyscy wymienieni zachowali sportowy refleks i wykonywali unikami niczym mistrzowie olimpijscy w boksie.

W konkursie było jeszcze gorzej. Młot wyleciał Japończykowi z rąk i ponad ochronną siatką poszybował na

bieżnię w okolicy mety 100 metrów, odbił się od tartanu jak piłka i ze świstem przelatując nad głowami kilku osób wyrzynał w trybuny. Siedziało tam akurat sporo widzów i wydawało się, że nie obejdzie się bez poważniejszego wypadku. Tym razem jednak znów refleks, młodej sprinterki Skry, uchronił ją od wypadku. Błyskawicznie uskoczyła w bok i skończyła się na potłuczeniu uda. Karetka pogotowia już jechała po bieżnię w stronę ładującego młota. Na szczęście niepotrzebnie. Rzuty zaś przeniesiono na boczne boisko treningowe.

KAPITAN KLOSS STRZELA BRAMKĘ

Serial filmowy „Stawka większa niż życie” cieszył się wielką popularnością nie tylko w Polsce, lecz we wszystkich krajach, gdzie był wyświetlany, a m. in. w Szwecji, ZSRR, NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech. Szczególną sympatię zdobył sobie główny bohater „Stawki” Stanisław Mikulski, występujący w roli kapitana Klossa, bohaterskiego wojownika polskiego podziemia. Nic więc dziwnego, że kiedy miano rozegrać w Budapeszcie tradycyjny mecz między zespołami artystów i dziennikarzy, aktorzy zaprosili swego polskiego kolegę, licząc, że pomoże im w zwycięstwie. Stanisław Mikulski zaproszenie przyjął i... zaczął pilnie trenować, chodząc na stadion Legii. Treningi te przydały mu się gdyż zdobył on jedną bramkę w tym meczu, zakończonym zresztą remisem 5:5. Na największym stadionie Budapesztu, Nep Stadionie, zebrało się ponad 90 tys. widzów, w tym olbrzymią większość stanowiły wielbiciele talentu i... urody Stanisława Mikulskiego.

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE

Wspomniany na wstępie polski dziennikarz był sprawozdawcą swej gazety również z XXIII Wyścigu Pokoju. Wyścig rozpoczął się w Pradze i przez Warszawę dojechał do Berlina. Tak się złożyło, że dzień wolny wypadł na terenie Czechosłowacji w Hradec Kralove w sobotę, kiedy w zasadzie sklepy są tam zamknięte. Uczestnikom Wyścigu Pokoju zapowiedziano jednak, że z okazji tej imprezy sklepy zostaną otwarte i będą mogli przed dalszą jazdą kupić sobie pamiątki i upominki.

Hotel, w którym mieszkał dowcipny Polak leżał na jednej z bocznych ulic. Kiedy dziennikarz wstał, zjadł śniadanie, postanowił iść po zakupy. Jednakże z przerażeniem spostrzegł, że wszystkie mijane sklepy są zamknięte. Ponieważ miał sporo koron, a tych z Czechosłowacji wywozić nie wolno, trochę się zdenerwował. I wtedy właśnie zobaczył otwarty kiosk z lodami. Kupił dla siebie porcję, a następnie zwołał z ulicy gromadę dzieci i wszystkim fundował lody. Wydał w ten sposób prawie sto koron, kiedy od przechodzących ulicą kolegów dowiedział się że właśnie otwierają sklepy.

UCZCIWIE

Prezes Polskiego Związku Kolarskiego Włodzimierz Gołębiwski codziennie wieczorem, po zakończonym eta-



Na polskich trasach kolarskich...

pie Wyścigu Pokoju stawia pasjansa. I choć twierdzi, że nie jest przesądny i nie wierzy we wróżby nie może zrezygnować z codziennego rozłożenia kart. Dziennikarze podejrzewają go, że po cichu jednak święcie wierzy w te swoje pasjansy. Codziennie więc rano, przed startem do kolejnego etapu z ciekawością pytają: Wyszedł czy nie? Kiedy na pierwszych etapach XXIII Wyścigu Pokoju zaczęły się sprawdzać te pasjansowe wróżby Polacy byli bardzo zadowoleni, choć pełni obaw, że dobra passa kolarzy wkrótce się skończy. Trwała jednak. Dziennikarze polscy z niepokojem spoglądali piątego dnia wyścigu na oblicze prezesa kiedy rano szedł na śniadanie. Uśmiechnął się. „Wyszedł — powiedział — choć z trudem. Ale bez żadnego oszukaństwa”. Wszyscy odechnęli z ulgą, a na stadionie we Wrocławiu znów się sprawdziło — etap wygrał Szurkowski.

SŁODKI KIBIC

Marian Kral, cukiernik z Zgorzelca jest fanatykiem sportu piłkarskie-

go i wielkim przyjacielem młodzieży. Co roku w turnieju drużyn podwórkowych w Zgorzelcu występuje jedna z drużyn, której patronuje Marian Kral. Pomaga on w wyposażeniu zawodników w odpowiednie ubiory sportowe i dokarmia ich słodyczami. Pan Marian, który ma już 66 lat i jest byłym piłkarzem „Czarnych” z Równego, kibicuje też zgorzeleckiej drużynie i ubolewa, że nie może się ona zakwalifikować choćby do ligi okręgowej.

NOWY TRENER GÓRNIKA

Górniki Zabrze ma nowego trenera. Jest nim Ferencz Szusza, reprezentant Węgier, zawodnik budapeszteńskiego Ujpestu. Kibice drużyny z Zabrza mają nadzieję, że Szusza odpowiednio nastawi celowniki napastnikom Górnika, którzy ostatnio nie mieli zbyt dużo celnych strzałów. Ponieważ Szusza zdobył w swojej karierze 397 bramek, mógłby nimi obdzielić wszystkich piłkarzy Górnika. Jak przewidują maszyny elektroniczne rekord Szusza przetrwał w węgierskiej lidze co najmniej przez 50 lat.

Nouvelles sportives de la Pologne et du monde

● On a vu une surprise sur la piste cycliste de Łódź. Le cycliste de Wrocław, Kierzkowski, connu pour son succès au Mexique, a rencontré en finale Kotliński du club Widzewa de Łódź, et il s'est fait battre deux fois par ce dernier dont les temps sur les derniers 200 m furent de 11,8 et 11,8.

● En Suisse, les Polonais ont pris part au marathon de Frauenfeld. Wojcik fut vainqueur avec 2 h 24' 54" 8, devant Bogusz dont le temps fut de 2 h 26' 05" 8. L'équipe victorieuse fut la Pologne devant la Tchécoslovaquie et la Suisse.

● Irena Szewińska a aperçu son record du monde sur les 200 m remporté au Mexique dans le temps de 22 sec. 5. Chi Cheng, une Chinoise de Taiphang a obtenu le temps de 22 sec. 4 à Munich, égalisant dans le même temps le record d'un autre Polonaise, Teresa Sukniewicz aux 100 m. haies (12 sec. 8). Notons qu'après la nais-

sance de son fils, Irena Szewińska a repris l'entraînement, donc il est tout à fait probable que ce nouveau record sera attaqué dès l'année prochaine.

● En football, aux jeux Intertoto, à Copenhague Wisła a battu Hvidovre par 1 à 0; à Varsovie, Gwardia a terrassé les Danois d'Aalborg par 7 à 1; à Essen, Polonia de Bytom a fait match nul avec Rot-Weiss 1 à 1; à Essen, Polonia de Bytom a fait match nul avec Rot-Weiss 1 à 1; sur son terrain, Zagłębie de Sosnowiec a battu Aik de Stockholm par 2 à 1. Dans le groupe V, Wisła conserve la première place sans perte de points, et les autres équipes polonaises occupent la seconde place dans leur catégorie.

● Au tir à l'arc, les Polonaises ont remporté le titre de vice-champion d'Europe à Hradec Kralove. Le titre de champion est revenu aux Russes et les Hongroises ont la troisième place.

Notatnik sportowca

● W Colombes w zawodach krajowych w grupie juniorów René Gruchala z Oignes okazał się rewelacją w dwóch konkurencjach uzyskując w rzucie dyskiem odległość 51,84 m i w rzucie młotem 54,98 m. Wyniki te rokują wielką karierę młodemu zawodnikowi.

● M. Baranowski dotychczasowy przewodniczący klubu Olympia z Bruay-en-Artois został ponownie wybrany na to stanowisko na następną kadencję. Wybór został dokonany w czasie walnego zebrania, które bardzo pozytywnie oceniło dotychczasową działalność przewodniczącego i życzy-

ło mu dalszych sukcesów w przyszłej działalności.

● Gimnastycy z Koła sportowego z Froidcul zakończyli sezon konkursem indywidualnym w czasie którego w młodzikach dziewcząt Edith Zandetski zajęła trzecie miejsce a wśród debiutantów pierwsze miejsce zajęła Patricia Kowalczyk a Solange Zymański była czwartą.

● W Lille, juniorzy z l'Artois zdobyli w rozgrywkach piłki nożnej puchar Jooris pokonując stosunkiem bramek 4:0 drużynę z Escout. Wśród graczy wyróżnił się Prymenski. W czasie rozgrywanego meczu młodzików podobał się Gierek.

Osiemnaście?.. Dwadzieścia?.. Pas!

Dokończenie ze str. 25

Obecnie wszystkie te sekcje mają ustalone „dni skatowe”. Co wtorek, czy co piątek albo sobotę schodzą się członkowie sekcji i rozgrywają między sobą partie. Sekcje są całkowicie autonomiczne. Wydatki pokrywają z ustalonych opłat, pobieranych za udział w turnieju lub za wypożyczenie kart etc. „Rozum skatowy” przestał być przywilejem mężczyźni, do sekcji skatowych należą na Śląsku nie tylko mężczyźni, ale również kobiety.

LITERATURA

na temat gry w skata jest wcale bogata. Najbogatsza — w Stanach Zjednoczonych i w obu państwach niemieckich. Autorami książek o tej grze, o psychologii jej zwolenników pisali i piszą jednak również Francuzi, Anglicy i... Polacy. Piszą literaci, matematycy, historycy, psychologowie. Jednym chodzi o zgłębienie istoty gry, drudzy pragną dokładnie obliczyć możliwości wygranej, inni przekazują o brzości obyczajowe, a jeszcze inni chcą po prostu bawić swoich czytelników.

Amerikanin Allan Keynes np. w 160-stronicowej książce opisuje z humorem perypetie i przygody zapalonego amatora skata. „Szkaciorz z radością zrezygnuje z wszystkich rozkoszy nieba i chętnie powędruje do piekła, jeśli będzie wiedział, że tam mu pozwolą grać w skata. Nawet gdy mu każą rozgrywać wszystkie partie w kotle z topioną, gotującą się smolą...”

Pierwszą książkę na temat skata napisano w 1848 r. Jej autorem był... profesor gimnazjalny, imiennik wynalazcy gry, Hempel. Był to zbiór przepisów gry, rodzaj podręcznika skatowego. O grze w karty, z uwzględnieniem skata, rozprawę naukową napisał także historyk i b. mistrz świata w grze w szachy, dr Emanuel Lasker.

Mało znany jest fakt, że już w 1857 r. Józef Lompa, pisarz i poeta, syn ziemi śląskiej i niestrudzony bojownik o polskość tych ziem napisał cały poemat satyryczny o grach w karty. Poemat ten zaczyna się tak: „Z Francji przez Niemce kartęśmy dostali,

Już je w siedemnastym wieku w Polsce znali,
Cztery ich kolory, jaką siłę mają,
Ci najlepiej wiedzą, co się na nich zna...”

Literatura polska na temat skata jest niestety bardzo uboga. W 1957 r. Wydawnictwo „Śląsk” w Katowicach wydało pierwszą i jak dotąd ostatnią książkę pt. „Tylko dla szkaciorzy” z ilustracjami Gwidona Miklaszewskie-

go. Autorem książki jest Jan Rakoczy.

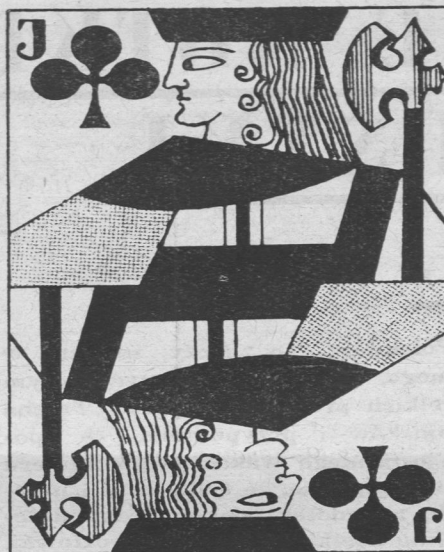
Można powiedzieć, że szkaciorze mają swój odrębny język. Jest on „kwiecisty”, niektóre określenia znane są i zrozumiałe tylko grającym. Nie tajemniczonemu wydawać się może, że znajduje się wśród dziwaków gdy usłyszy np. takie zwroty: „Wydiub mu oczka”, albo „Zabiłem damę”, „Trzymam krzyże w ręku”, „Kładź się do zielonego chłopca”, „Nie zagłądaj pod kiecki”.

Czasami słyszy się takie propozycje: „dać ci zastryk?”, „maras leci”, „bimbzy leżą” etc. „Z muzyką” oznacza „z kontrą”. „Ty mnie możesz” jest żądaniem rozpoczęcia licytacji. Takich i podobnych powiedzonek jest przy skacie przysłowiowy „milion”.

Zdjęcia do tej małej rozprawki o grze w skata wykonane zostały w Starym Chorzowie, w Zakładowym Domu Kultury przy Państwowej Fabryce Związków Azotowych.

Sekcja skatowa istniejąca przy tym ZDK organizuje co piątek swój tradycyjny „piątek skatowy”. Za 248 członków sekcji tylko ciężko chorzy nie uczestniczą w spotkaniu. Zazwyczaj w sali jest komplet, nie brakuje nikogo.

Gra trwa od godz. 17 do 21. Dla zwycięzców zawsze są nagrody. Każdy z graczy wpłaca do kasy przed rozpoczęciem gry tzw. wpisowe. Za uzyskane sumy klubowi członkowie kupuje nagrody. Są nimi zazwyczaj gęś, 2- lub 3-kilowa szynka. Gdy Rada Zakładowa zasila kasę sekcji jakimiś funduszami, nagrodą staje się motorower, pralka, maszyna do szycia, od-



kurzacz albo szelki, kryształ lub skarpetki.

Zamiast „dobry wieczór”, czy „dzień dobry” szkaciorze na turnieju witają się pozdrowieniem „dobry skat”.

Książka jest twoim przyjacielem — zabierz ją z sobą na wczasy

25, rue drouot
paris 9

la boutique polonaise

téléphone:
770-83-37
c.c.p. paris:
189-46-68

poleca następujące książki po cenach najniższych:

A — Z Poradnik dla rodziców	28,50
BYRON — Wiersze i poematy	9,45
Maria DĄBOWSKA — Przygody człowieka myślącego	25,80
Georges DUBY et Robert MANDROU — Historia kultury francuskiej wiek	
X—XX	49,35
Wacław GASIOROWSKI — Huragan (2 tomy)	28,95
Wacław GASIOROWSKI — Szwoleżerowie gwardii	12,70
Józef GRABOWSKI — Ludowe obrazy drzeworytnicze	49,60
Jerzy KIRCHMAJER — Powstanie Warszawskie	32,00
Zofia KOSSAK — Dziedzictwo (3 tomy)	57,00
Ignacy KRASICKI — Wiersze wybrane	6,00
Julian KRZYŻANOWSKI — Dzieje literatury polskiej	49,95
Jerzy LISOWSKI — Antologia poezji francuskiej	26,25
Adam NARUSZEWICZ — Liryki wybrane	7,50
Wł. St. REYMONT — Fermenty	13,85
Henryk SIENKIEWICZ — Krzyżacy (2 tomy)	29,75
Henryk SIENKIEWICZ — Quo Vadis	25,00
Melchior WANKOWICZ — Ziele na kraterze	19,85
Stefan ŻEROMSKI — Dzieje grzechu	14,60
Stefan ŻEROMSKI — Ludzie bezdomni	5,00
Stefan ŻEROMSKI — Przedwiośnie	5,00
Mała Encyklopedia Powszechna PWN (1200 stron z ilustracjami w pięcioletniej oprawie)	99,90

Do cen powyższych doliczamy koszty własne przesyłki pocztowej. Posiadamy stale na składzie: mapę drogową Polski, mapy województw, przewodniki (guides) po Polsce w języku polskim i francuskim oraz podręczniki do nauki języka polskiego i francuskiego oraz wielki wybór płyt nagranych w Polsce i we Francji.

Księgarnia jest otwarta w czasie miesięcy wakacyjnych.

POLSKIE OKRĘTY PODWODNE W OSTATNIEJ WOJNIE

Dokończenie ze str. 26

Jeden z polskich okrętów podwodnych — ORP „Orzeł”, zawiązał w połowie września do Tallina, aby po kilku dniach ująć z tego portu pomimo bezprawnego internowania go przez Estończyków.

Trzy dalsze okręty — „Ryś”, „Sep” i „Żbik” dotarły do portów szwedzkich, gdzie zostały internowane.

Piąty polski okręt podwodny — „Wilk”, przedostał się przez Sund i przybył do W. Brytanii, gdzie później znalazł się również — po swojej słynnej bałtyckiej odysei — ORP „Orzeł”.

Tymczasem w końcowym sprawozdaniu wojny z Polską, ogłoszonym przedwcześnie, bo w dniu 23 września, niemiecka Kwatery Główna podała również sprawozdanie z przebiegu działań na morzu.

Ogłoszono w nim oficjalnie, że działające pod dowództwem generała-admirała Albrechta części niemieckich sił morskich zablokowały Zatokę Gdańską i przecięły wszelki ruch do i z portów polskich.

Następnie stwierdzono, że z wyjątkiem jednego polskiego okrętu podwodnego

wszystkie inne jednostki polskiej floty uległy zniszczeniu lub internowaniu.

Sformułowanie to miało zakamufłować stan rzeczywisty, jednocześnie zaś nie demaskowało kłamstw zawartych w poprzednich komunikatach, gdyż z tak ogólnikowo sformułowanego bilansu nie wynikało wyraźnie, ile okrętów (i jakie) Niemcy zniszczyli, ile uległo internowaniu, a ile — o czym już wspomniany Schlussbericht nie mówił — znalazło się na Zachodzie i kontynuowało walkę.

Wbrew temu, co donosiło „końcowe” sprawozdanie OKW, Niemcy dobrze już wówczas wiedzieli, że nie udało im się zniszczyć ani jednego polskiego okrętu podwodnego. Była to więc generalna kłapa szczegółowych instrukcji Albrechta, według których okręty te miały pójść na dno jeszcze przed wyjściem z Zatoki Gdańskiej na pełne wody Bałtyku. Tymczasem dwa z owych pięciu okrętów przedostały się nawet na Morze Północne.

Nigdy Niemcy nie wyjaśnili, dlaczego generał-admirał Conrad Albrecht w październiku 1939 r. przestał pełnić funkcję dowódcy grupy marynarki „Wschód”, a z końcem grudnia tego roku został postawiony do dyspozycji Naczelnego Dowództwa i bez za-

trudnienia pozostawał w tym nieczynnym stanie już do końca wojny.

Z pewnością nie stało się to z racji podszerego wieku, gdyż w 1939 roku miał 59 lat i był o trzy lata młodszy od Raedera. Nie ulega natomiast wątpliwości, że jego karierę pogrzebały, jak się zdaje, owe w komunikatach wojennych tylko zniszczone polskie okręty podwodne.

Zmyślone sukcesy sił podległych Albrechtowi już w początkach wojny podważyły zaufanie światowej opinii publicznej do prawdziwości komunikatów OKW. Albrecht zapewne przepłacił to nieładką i dymisją.

Jakkolwiek koniec jego kariery nie był pomyslny, a nazwisko jego kojarzy się z poważnym niepowodzeniem Kriegsmarine w pierwszym miesiącu wojny i z jeszcze większym blamażem Oberkommando der Wehrmacht, to jednak pogrzeb Albrechta odbył się bardzo uroczysto.

Przy jego trumnie pełniło straż sześciu sztabowych oficerów Bundesmarine, a przemówienie wygłosili ostatni głównodowodzący Kriegsmarine i ostatni prezydent III Rzeszy — admirał Doenitz, a w zastępstwie inspektora, czyli dowódcy Bundesmarine — kontradmirał Kennede.

Jak więc widać, Bundesmarine poczuwa się do więzi z byłą hitlerowską Kriegsmarine. Nie tylko się zresztą poczuwa, lecz daje temu oficjalny wyraz.

(„Głos Polski”, Kanada)

GLIWICKI „PROSYNCEM” WSPÓŁTWÓRCA POLSKIEJ CHEMII

Polskiej chemii przed wojną było niestety tylko tyle, ile — jak się to mówi — kot naplakał. Dziś szykuje się ona do zajęcia pozycji nr 1 wśród krajowego przemysłu, ma zająć miejsce górnictwa jako narodowy przemysł kraju, wyprzedzić polskie kopalnictwo.

W rozbudowie chemii duże zasługi posiada Biuro Projektów Przemysłu Syntezy Chemicznej „Prosynchem” (od projekt — syn(tezy) — chem(icznej)) w Gliwicach, stanowiące jakby mózg polskiej chemii.

W Gliwicach opracowano projekty i dokumentację dla budowy, względnie rozbudowy takich nowoczesnych zakładów produkcyjnych i wielkich kombinatów chemicznych, jak zakłady azotowe, chemiczne względnie koksochemiczne w Oświęcimiu, Tarnowie, Chorzowie, Kędzierzynie, Puławach, Płocku, Włocławku, Brzegu i innych. „Prosynchem” gliwicki należy do tych zakładów i placówek, które w ćwierćwieczu Polski Ludowej wielce się zaśluszyły krajowej gospodarce.

„Prosynchem” powstał już w czerwcu 1945 r. Kilkakrotnie zmieniał swą nazwę, był wzorcem i bazą doświadczalną dla wielu innych dużych biur projektów chemii, stał się też kuźnią wysoko kwalifikowanych kadr i szkołą prawdziwej organizacji.

Studia podjęte w Zakładzie Badań i Doświadczeń „Prosynchemu” zadecydowały m. in. o lokalizacji, schemacie technologicznym i wydajności jednego z największych i najbardziej nowoczesnych kombinatów azotowych w świecie, wybudowanego w ostatnich latach w Puławach.

Później „Prosynchemowi” powierzono nowe zadanie — koordynację prac projektowo-badawczych w branży petrochemicznej. Opracowuje on założenia jej rozwoju, m. in. koncepcje produkcji dla zakładów w Płocku, Białymostku, Kędzierzynie, Oświęcimiu, Tarnowie i Włocławku.

„Prosynchem” jest też biurem projektowym dla największego w Polsce producenta gazów technicznych. Pracują już zrealizowane na podstawie gliwickich projektów nowoczesne, o wysokim stopniu automatyzacji procesów technologicznych i mechanizacji prac, wytwórnie tlenu w Warszawie, Łodzi, Bydgoszczy, Mielcu i Kościanie, a budowane są dalsze w Pszczynie i Skierkowiecach.

„Prosynchem”, który niedawno obchodził swe 25-lecie jest również twórcą projektów budowy Politechniki Szczecińskiej i Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie, laboratorium dla Instytutu Nawozów Sztucznych w Puławach i Polskiej Akademii Nauk w Zabrzu.

(R)

HENIU PISZE Z KOLONII W POLSCE

KOCHANY TYGODNIKU!

Ten list piszę z kolonii letniej w Polsce. Do Polski zawiózł nas z lotniska w Le Bourget polski samolot. Po polsku na samolot mówi się samolot. Kiedy dziadzia przyjedzie do Polski — bo on też przyjedzie do Polski i zabierze mnie ze sobą do wioski, w której się urodził — to muszę mu o tym powiedzieć, bo on myśli, że po polsku samolot nazywa się aeoroplan. Ja też tak myślałem, ale ta pani, która dała nam jeść w samolocie, wyjaśniła mi, że tak się mówiło dawniej, ale dzisiaj już się tak nie mówi. Obiad w samolocie był bardzo dobry. Na kolonii mamy również bardzo smaczne obiady i dlatego troszeczkę się spaszem i nie mogę już wejść w te nowe portki, które mama kupiła mi przed wakacjami w „Monoprix”, bo są za ciasne. Zresztą na portki też wcale nie mówi się portki, tylko spodnie. A na taki magazyn jak „Monoprix” nie mówi się skład, tylko sklep albo dom towarowy. A na sklep mówi się piwnica. Kiedy dziadzia po mnie przyjedzie, to będę go musiał cały czas poprawiać. Powiem mu też o tym śpiewaniu. Bo on mi ciągle powtarzał, że Polacy są weseli i wciąż nuczają jakieś melodie, więc ja sądziłem, że w Polsce ludzie nie mówią, tylko śpiewają jak w operze, a tymczasem tak wcale nie jest. Że Polacy są weseli to jest prawda, ale oni rozmawiają tak jak my. Śpiewają tylko wtedy, kiedy im się coś przypomni, to znaczy kiedy poczują ochotę śpiewania, albo kiedy obchodzą jakieś święta.

Razem z nami przebywają na kolonii chłopcy z Polski. Ja koleguję się z Rysiem Bugajskim z Wrocławia i z Jerzykiem Smugoniem z Katowic, bo oni zbierają znaczki, a ja też jestem filatelistą. Rysio mówi, że w Polsce arytmetyka w szkole też jest strasznie nudna i że nauczyciele są tak samo niesprawiedliwi jak we Francji i za byle co stawiają do kąta. A Jerzyk powiada, że kiedy podróżnie, to zbuduje okręt i będzie wędrował po morzach, jak słynny żeglarz Leonid Teliga, który zmarł niedawno temu, bo on chce rozstać się z Polską i w świecie. Ja mu tłumaczę, że ja też chcę, żeby Polska była sławna, więc niech mnie na ten swój okręt zabierze. Ale on twierdzi, że musi najpierw pomówić z Grażynką, żeby wiedzieć, czy ona się zgadza. Grażynka to jest taka dziewczynka z Katowic, która bardzo się Jerzykowi podoba i z którą on się ożeni. Podobno Grażynka obiecała mu, że jeśli się z nią ożeni, to ona zarobi dużo pieniędzy, bo będzie lekarzem, i kupi mu wioślo do okrętu i elektryczną gitarę.

Nie wiem, czy mam pisać dalej, bo dziadzia może będzie niezadowolony. Dziadzia zakazał mi pisać z kolonii do „Tygodnika Polskiego” dopóki on po mnie nie przyjedzie. „Jeszcze palniesz jakieś gupstwo, więc lepiej, żeby ja twoje pisanie skontrolował” — tak powiedział. Kiedy dziadzia przeczyta o tym, że on nie wie, jak się rychtyk po polsku mówi na samolot, to upadnie

w gniew i będzie wyzywał babusię, bo jak mu coś nie pasuje, to zawsze wyzywa babusię, a potem ją przeprosza. Ale kiedy przeczyta, że Polska mi się podoba, to chyba zapomni o samolocie i będzie bardzo szczęśliwy. A Polska naprawdę mi się podoba. Jest ona jeszcze ładniejsza niż w opowiadaniach dziadzi. Ja spytałem się naszego wychowawcy, czy to prawda, że najładniejsze jest w Polsce Poznańskie, bo dziadzia jest zdania, że tak, że Poznańskie ale nasz wychowawca uśmiechnął się i odpowiedział mi, że wszystkie okolice Polski są ładne. Zdaje mi się, że kiedy dziadzia opowiada o Poznańskim, to troszeczkę cygani. Ale po polsku nie mówi się cyganić, tylko kłamać.

Za kilka dni cała nasza kolonia pojedzie do Krakowa. W Krakowie zwiedzimy zamek, w którym mieszkali polscy królowie, czyli Wawel, i obejrzymy kopiec Wandy, która nie chciała Niemca. Rysio mówi, że gdyby o rękę Wandy prosił nie Niemiec, tylko Francuz, to Wanda by z pewnością tego Francuza chciała, bo w Polsce bardzo się Francję i Francuzów lubi, i wcale by się nie utopiła, tylko wyszłaby za męża jak wszystkie kobiety. Ale Jerzyk jest zdania, że dobrze, że się utopiła, bo gdyby się nie utopiła, nie byłoby kopca. O tym kopcu to dziadzia mi tłumaczył, że znajduje się on na Wawelu, ale to nie jest prawda. Nasz pan wychowawca wyjaśnił mi, że ten kopiec jest poza miastem, koło Nowej Huty, w Mogile. Ale o tym lepiej nie będę pisał, bo jeszcze by mnie dziadzia spruł.

Potem napiszę, czy mnie sprul czy nie. Mam nadzieję, że babusia mnie obroni. Na razie kończę i mocno całuję wszystkie dziadziów i wszystkie babusie polskie we Francji za to, że nauczyli nas kochać Polskę, która naprawdę jest taka piękna i taka żywna i niemata jak w piosence.

Heniu ZUBRZYCKI

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème

Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listownie.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

HOTEL OPERA - LAFAYETTE

RESTAURANT

CATEGORIE **A

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

80, rue Lafayette-PARIS 9-ème

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43 824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

UMIZGI NOSOROŻCA DO... AUTA

Dokończenie ze str. 14

Kapitałny jest również w omawianej książce rozdział o psach. Niejeden z właścicieli tych czworonożnych zwierząt może się z niego naprawdę wiele nauczyć.

Oczywiście autor jest wielkim przyjacielem zwierząt. Odkrył on w zwierzętach wiele zalet. Człowiek jednak jest ich największym mordercą. Dr Grzimek przytacza cyfry. Np. w jednym tylko 1925 roku Norwegowie wytracili 343 tys. fok, a polują na nie od stu-

leci. Niektóre gatunki z uporem niszczone przez człowieka w ogóle już przestały istnieć lub są na wykończeniu. Tymczasem „dla człowieka ciągle jeszcze najgroźniejszy jest drugi człowiek i jego twory. Samochody przelewają co godzinę więcej ludzkiej krwi niż wszystkie psy, lwy, tygrysy i wilki razem wzięte przez całe dziesięciolecie”.

St. ZIEMBA

*) Bernhard Grzimek „20 zwierząt i człowiek”, tłumaczył z niem. Piotr Studziński. Warszawa. Wiedza Powszechna 1965. Stron 168

O CASANOVIE I JEGO POTOMKACH

Na dalszych stronach numeru wakacyjnego przyniosimy początek komiksu opartego na autentycznych pamiętnikach znanego urodziwego i obieżyświata z XVIII wieku, Casanovy.

Przed kilku laty odbył się w Wenecji zjazd osób, z których każda nosi nazwisko Casanova i w jakimś stopniu pretenduje do tego, że jest potomkiem słynnego Giovanni Giacomo Casanovy z XVIII w., który m. in. przez jakiś czas bawił na dworze króla Stasia w Warszawie, był gościem wielu kardynałów w Rzymie, baszy tureckiego w Konstantynopolu, rozmawiał z monarchami i papieżami, przyjaźnił się z filozofami, a wszędzie gdzie zawiązał, podbił serca najbardziej zatwardziały piękności, nie oszczędzając przy tym ani królewskich żon czy kochanek, ani wysoko postawionych dam z towarzystwa, ani światobliwych mniszek, które mu wpały w oko, ani też wiejskich dziewcząt, służących, kucharek czy mleczarek. Uwielbiał urodziwe dziewczęta i niewiasty, jak i piękność kobiecego ciała. Nie była to zresztą jego jedyna specjalność. Casanova był człowiekiem wykształconym, o nieprzeciętnej inteligencji i talentach, w wielu kierunkach, a przy tym odważnym.

W ciągu długiego życia wypadło mu poświęcać się różnym zawodom: był klerykiem, mnichem, oficerem, finansistą i aktorem, parał się dyplomacją i szpiegostwem, tłumaczył Horacego i trudnił się pisaniem listów miłosnych, był znakomitym szermierzem, wychodzącym zwycięsko z pojedynków, a gdy zachodziła potrzeba — nie gardził szulerką. Ogólnie uważa się go za awanturnika i urodziwego — choć chyba nie zawsze słusznie — tak jak nie zawsze radośnie musiał spoglądać na świat, a właściwie na niebo, przez okno mocno i gęsto zakratowane z pomieszczeń bez klamek od wewnątrz.

Casanova — jak wiadomo — pozostawił po sobie niezwykle ciekawe pamiętniki, tłumaczone na niemal wszystkie języki. Pamiętniki Casanovy mają wciąż nowe edycje, a pierwsze ich wydanie ukazało się w 1882 r.

Wróćmy jednak do zjazdu Casanovów. Dlaczego właśnie zebrał się w Wenecji? — Miasto to Casanova kochał najbardziej, w nim czuł się najlepiej, chociaż nie odwiedzało mu się za tę miłość, a przeciwnie: tu stał się więźniem inkwizycji, został podstępnie oskarżony, siedział pod Ołowianym Dachem, pokazywanym dzisiaj turystom z całego świata wraz z „Mostem Westchnień”, był jednak sprytniejszy i inteligentniejszy niż jego prześladowcy, toteż zdołał opuścić więzienie bez ich zezwolenia ku wielkiemu zdumieniu strażników.

Na zjazd w Wenecji przybyło ok. 50 osób, jakkolwiek noszących nazwiska Casanova — pretendujących do tytułu potomka messer Giovanni Giacomo — jest podobno aż 1033. Najliczniej obsadzili zjazd Włosi. Oprócz nich było kilku Francuzów, dwóch Szwajcarów, paru Holendrów, Hiszpanów, Niemiec, Austriaków, Czechosłowaków i Amerykanin. Jakiś dziennikarz napisał, że to właśnie ten Amerykanin sfinansował całą imprezę, mając na oku swój interes, którego jednak nie udało się rozszyfrować.

Jakie były uchwały zjazdu? „Wszystko co Giovanni Giacomo Casanova napisał w swych pamiętnikach jest najprawdziwszą prawdą. Z wyjątkiem jednego: a mianowicie tego, co dotyczy kobiet. Podróże Casanovy po wielu krajach miały charakter naukowy, a że odbywały w przyrodzie, to wynikało z warunków w jakich się podróżowało w owych trudnych czasach. Życie naszego pra-pra-pradziadka było jak najbardziej poważne i moralne”. Uczestnicy zjazdu zapomnieli o jednym, że: bez kobiet Casanova nie zyskałby żadnej sławy i tym samym jego potomkowie nie mieliby powodów do dumy ze swego pra-pra-pradka.

Dzień jak co dzień



na GROCHU za BÉTHUNE

mal część Polski ma na grochu swoją reprezentację), różni dawni działacze tłumaczą kobietom, co oni byliby zrobili, gdyby byli na miejscu Paderewskiego, Witosa czy generała Sikorskiego, kobiety opowiadają, jakie mają rozpustne sąsiadki, rozpatrywane są nawet problemy życia pozagrobowego, zawzięcie dyskutuje się o duchach i zmorach, itd.

Podobało mi się może także i dlatego, że przede mną pracowała tęga młoda wdówka imieniem Wandzia. Niestety, ta cała Wandzia już po paru dniach przeniosła się na drugi kraniec pola. Wyobraźcie sobie, że ubrała sobie, że ja schylałem się tylko po to, żeby oglądać jej uda! Nie twierdzą, że schylałem się tylko po to, żeby zrywać groch, ale przysięgam, że wcale nie schylałem się tylko po to, żeby paść oczy widokiem jej ud. Co miałem zrobić? Zawiązać sobie oczy i zrywać groch po omacku, czy co? Zresztą Wy mnie przecież znacie i dobrze wiecie o tym, że ludzi w moim wieku o wiele bardziej interesują uda gęsie i królicze aniżeli uda damskie, no nie? Ale że ta Wandzia to jest jeszcze całkiem fest kobieta, to jest fakt. Jeszcze nigdy nie musiałem się tak opętać grzesznym myślom, jak na tym polu. Całe szczęście, że jestem jako tako obznajmiony z pismami ewangelistów i że wraził mi się głęboko w pamięć ten ustęp, w którym święty Mateusz powiada, że „każdy, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu swoim. Jeśli tedy oko twoje prawe gorszy cię, wyrup je a odrzuć od siebie. Albowiem pożyteczniej dla ciebie, aby zginął jeden z członków twoich, niżby wszystko ciało twe miało być wrzucone do piekła”. Całe szczęście — powiadam — że słowa te utkwiły mi w pamięci, bo gdybym ich był nie znał, to kto wie, co byłoby się stało.

Ale żarty na bok. Po paru dniach ogarnęło mnie takie znużenie, że nawet gdybym był przed sobą sto tysięcy takich pulchnych blondynek jak Wandzia, i nawet gdyby te blondynki były nie wiem jak kuso ubrane i nie wiem jak się schylały, to byłoby mi to równie obojętne, co widok pasącego się w polu stada owiec. Tak byłem nieludzko zmęczony, że ledwo rozumiałem, co do mnie mówiono. To wydawało mi się, że nie jestem Walosiem Gawędą, tylko Janem Valjean, głównym bohaterem „Nędzników” Wiktora Hugo, i że siedzę przykuty do wiosła na galerze, to znowu roilo mi się, że jestem przypisanym do ziemi chłopem pańszczyźnianym w dawnowiecznej Polsce, a raz w południe, kiedy słońce zaczęło przygrzewać po afrykańsku, majaczyło mi się nawet, że ja sam też jestem grochem i że za chwilę ktoś mnie zerwie i wrzuci do worka. W końcu tak mi ten wstręty groch obmierzył, że przyrzekłem sobie w duchu, że nawet gdyby mi „bauer” chciał dać kopalnię złota i nawet gdyby mi żona „bauera” obiecała, że odbędzie ze mną podróż do tak zwanego siódmego nieba, już nigdy w życiu zrywać go nie będę.

A może jednak będę? Wiecie, ja chyba tylko dlatego tak przeklinam, wyzywam i pomstuję, że piszę to swoje opowiadanko o grochu o głodnym — jak to mówią — pysku, a wiadomo, że kiedy Polak jest głodny, to się złości. W rzeczywistości na tym grochu czułem się dobrze, bo ja robotę w polu lubię. Że to praca jest męcząca, to prawda, ale za to zarobiłem ładny grosz. W sierpniu będę mógł pojechać do Polski i zawięzić pełno prezentów krewnym i znajomym. A potem — we wrześniu — znowu pojedę na groch. Bo na grochu jest fajnie. Takich dyskusji o sprawach emigrantów, Polaków, grzeszących kobiet i straszących ludzi nieboszczyków — takich dyskusji, jak te, które toczą się na grochowskich za Béthune naprawdę warto wysłuchać. Poza tym na grochu nawiedzają człowieka grzeszne myśli, a ja strasznie lubię z takimi myślami walczyć. Jeśli chcecie, to do nas we wrześniu przyjeździecie. Pogadamy, pośmiejemy się. Tylko pamiętajcie o tym, co ewangelista Mateusz powiada na temat pożądania, bo Wandzia mi powiedziała, że ona we wrześniu też stawi się do pracy.

Dzień dobry. Poznacie mnie? To ja, Walenty Gawęda. Tak, to na pewno ja, to na pewno Walenty Gawęda, a nie żaden Grochowiak ani Grochowski. To, że nie nazywam się już Gawędą, tylko Grochowiak albo Grochowski, to jest oczywiście złudzenie. Mnie się tylko tak wydaje. A wydaje mi się tak dlatego, że ostatnio tyle nasiedziałem się, a raczej nastąpiłem w grochu, że chwilami odnoszę wrażenie, że upodobałem się do tej rośliny.

W jakim grochu? Jasne, że nie w tym, co rzuca się nim o ścianę, kiedy ma się do czynienia z upartymi kozłami. Ani nie w tym, który w niektórych głowach pomieszany jest z kapustą. Ja nastąpiłem się i narobiłem w tym grochu, który rośnie za Béthune. Narobiłem się tak, że nie czuję ani ręk, ani nóg, ani pleców. Więcej mnie już Franek Zatoński na zrywanie tego pierońskiego grochu nie namówi, co to, to nie. Czy to ja ojca i matkę zabiłem, że bym miał tak się męczyć?!

Ale Wy chyba w ogóle nie wiecie, dlaczego ja tak na ten groch sarkam, więc wytłumaczę Wam wszystko od początku. Grochowska, jak już powiedziałem, znajdują się za Béthune. Z początkiem lipca zaczynają one kwitnąć i groch trzeba zrywać. Ponieważ rolnicy nie mogą się sami z tą robotą uporać, więc najmują do niej ludzi z kolonii górniczych. U nas nazywa się ta praca jeżdżeniem na groch. Na groch jeżdżą zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Jeździ się ciężarówkami. Odjazd odbywa się o świcie, kiedy ranne wstają zorze, a powrót późnym wieczorem, w momencie, kiedy starym kolonijnym grzesznikom zaczyna się śnić, że znowu przed położeniem się do łóżka zapomnieli zaśpiewać: „A gdy będziemy zasypiali, niech Cię nawet sen nasz chwali”. Robotą niby nie jest skomplikowana: trzeba po prostu zrywać groch i wrzucać go do worka. Cała trudność polega na tym, że trzeba się schylać, bo ten sakramencki groch rośnie strasznie nisko. Oczywiście, schylać się to też nie jest żadna filozofia. Tak się mówi. Ale ja teraz jestem innego zdania. Gdyby mi teraz kazano wybierać między czytaniem potwornie zawilego i kompletnie niezrozumiałego dzieła filozoficznego a schylaniem się w celu zrywania grochu, to wybrałbym czytanie. Bo czytać można na leżąco, a poza tym zawsze można udawać, że się czyta. A grochu zrywać na leżąco nie sposób, nie można nawet zrywać go siedząc na rycce, czyli na stołku, chyba żeby człowiek miał ryczkę z motorkiem, to znaczy taką, która by się sama posuwała, a o możliwości udawania szkoda w ogóle gadać. Ja myślę, że w piekle nie ma żadnych kadzi ze smołą, tylko grochowska na których przebrany za „bauera” diabeł przynagla potępieńców do pośpiechu. No bo bardziej srogiej kary aniżeli schylanie się celem zrywania grochu nawet sam Lucyper by nie wymyślił.

Mnie początkowo nawet się na tym grochu podobało, bo do tej roboty angażuje się sporo Polaków i w związku z tym na grochowskich odbywa się coś na kształt emigracyjnego sejmku na wolnym powietrzu. Ludzie z Galicji kpią z poznańskich pyr, Poznaniacy szydzą ze śląskich pieronów, (każda nie-



W SIERPNIU na działce zbieramy większość plonów, w związku z czym w tym okresie należy raczej unikać stosowania środków chemicznych, a ograniczać się do ręcznego zbierania szkodników i niszczenia ich oraz usuwania i palenia zaatakowanych przez chorobę liści lub całych roślin.

Działkowiec rozpoczyna w tym miesiącu właściwie nowy sezon pracy. Pod krzewami pomidorów i szuflierów sieje drobna salata zwana mache (kozłek), bo cień roślin osłoni ją przed promieniami słońca. Dalej sieje rzepę, oraz na początku miesiąca pierwszy siew szpinaku (epinard) a po 15 drugi przeznaczony do zbioru zimowego. Wskółce siał można warzywa zimujące: białą cebulę (oignons blancs), kapustę długą (choux pointus) i różne sałaty (laitues pommees i romaines). W połowie miesiąca sadzić można szufliery (brocolis hatifs) oraz w szkółkę sadzonki młodych truskawek, aby mieć flance na wiosnę.

Szpinak najlepiej posiać w rzędach (4 rzędy na zagonie i co 10 cm. roślin), bo łatwiej przerwać i oczyścić. Sałaty siał w miejscu ocienionym, a siew można przykryć.

Cebulę białą siał w lot na przekopanej i ubitej ziemi, siew lekko przysypać próchnicą. Kapustę zimową sadzić głęboko, 2 rzędy i co 70 cm odstęp, często podlewać. Można też posadzić stare ziemniaki, a na jesieni będą młode. U dyń przykryć ziemią kolanką; wyrosną z nich korzonki i dynie będą wielkie. Obciąż nad szyjką liście mlecza posianego w czerwcu a rozsadzonego w lipcu, a nowe wyrosłe liście będą dobre do spożycia.

Poza tym ogórki trzeba zbierać wszystkie dojrzałe, nie pozostawiając zniekształconych owoców. Należy też usuwać rośliny zarażone wirusami. Przy zbiorze pomidorów odkłada się osobno owoce chore, które trzeba zniszczyć, najlepiej spaść lub głęboko zakopać, pozostawione bowiem na działce powodują porażenie roślin w roku następnym. Nie zapominajmy też o podsypaniu ziemi porów dla uzyskania dłuższego odcinka białej części jadalnej.

Wśród drzew owocowych większość owoców dojrzała. Drzewo potrzebuje coraz mniej soków odżywczych, aby więc wzmocnić ziemię pod drzewami, ziemię trzeba płytko zorać i posiać wykę lub łubin a jesienią przynieść i znów przekopać lub przyorać. W sierpniu szczepić się pod skórę oczka na owoc lub związki na pęd, odpowiednio obcięte w klin i wpuszczone pod skórkę szczonego drzewa. Skracamy również pędy przeznaczony do owocowania, które mają grubość ołówka, wykonujemy opryski przeciwowadowe i przeciwochorobowe.

Wypada przypomnieć iż w czasie suchego i gorącego lata liście mają nieraz ołowiany kolor. Przyczyną tego są małe nieostrzegane gołym okiem czerwone robaczki zwane pajakami czerwonymi (araaignes rouges). Rozpowszechniają się szybko, bo w ciągu roku aż osiem pokoleń a samica składa po paręset jajek. Robaczki te diabłem nakuwają skórkę liścia a powietrze wypełnia następnie martwe komórki i powoduje ołowiany kolor liścia. Gdy się tej plagi nie zwalcza, liście żółkną i opadają, owoc nie rośnie albo też spada. Trzeba więc, póki pora, ratować schorzone drzewo. Od paru lat służy do tego celu płyn OVICAR „S”, który w ciągu 48 godzin zabija wszelkie formy czerwonego pajaka. Stosuje się ten preparat w ciągu całego roku, a szczególnie w sierpniu jest pożądany, bo niszczy jajka pokolenia, które wyłęgłoby się w połowie kwietnia następnego roku.

Ogródek kwietny. Siejemy w inspekcje lub w szkółce kwiaty, aby mieć sadzonki w roku przyszłym. Gdy jest chłodno można posiać trawę, szczepić róże, sadzić pod kłosem pędy róż i hortensji oraz rozdzielać krzaki piwonii.

Przypomniał

WASZ OGRODNIK

Walenty GAWĘDA

WIKTOR GOMULICKI

CUDNA MIESZCZKA

OBRAZKI STAROWARSZAWSKIE

(17)

Młodzi mówią o uczuciach — nie o swoich wszakże.

— Więc jeszcze nie „amen?” — pyta Szczerb, końcem czekana w piasku wierząc.

— Chwała Bogu, daleko jeszcze do niego — przytwardza z zapalem Dobra.

— Ba! rzecz to czasu tylko...

— I czegoś więcej także. Najpierw stryjka Balcera nie spodziewać się rychlej jak za dwie, trzy niedziele. Po wtóre... po wtóre...

— Bodaj że tu nie ma żadnego „po wtóre!...”

— Otóż jest. Po wtóre, że Basia słowa wyraźnego nie dała.

— Mogła je była pomyśleć...

— I nie pomyślała także. Pewnam tego.

— Waszmościanka w myślach jej czytasz?

— Czytam. A nie potrzeba do tego czarodziejstw żadnych. Ja myśli nie ze słów poznaję, jeno z postępów.

— A jakże ono pieściodło wychuchane postępuje?

— Dziwnie. Płacze i wzdycha. Czasem przed obrazami się modli, to znów na belwederku siada i nic nie mówiąc, w niebo tylko patrzy a patrzy... Najczęstsze u niej przecie: lutnia i ksiąg włoskich czytanie...

— Grajek pewnością je znosi?

— Tak, ale ona między nimi wybór czyni. Teraz przetrzuciła się nagle od świeckich do nabożnych. Dawniej wystawiała Petrarke, dziś rozplywa się nad Franciszkiem z Asyżu.

— Tyleż wiem o jednym, co o drugim!... — mruknął junak do siebie.

— Na pamięć się uczy jego „Kwiatczków”...

— Ba!

— Ale dziś znowu smak jej się odmienił. Cały ranek molestowała ciotkę o Tomasza a Kempis...

— Świętego jej się zachciało?

— Właśnie. To jest nie osoby jego, ale księgi. Wiesz waść — tej... *De contemptu mundi*¹⁾, albo inaczej: *De imitatione Christi*...²⁾

— Hm... Anim przypuszczał, że święci księgi pisują... Cóż to ma jednak oznaczać?

— Na mój rozum, jest to dwóch rzeczy znakiem. Pierwszej, że Basia myśli o kimś, wzdycha do kogoś i sprzyja komuś. Drugiej, że tym kimś nie jest Giano...

— Więc Jur?

— Tak by należało. Obawa tu wszakże zachodzi jedna — wagi niemałej... Gdy Jurasia nie będzie, Włoch miejsce jego zajmie...

— Otóż to! Trzebaż więc Zawisłaka sprowadzić, a tamtego odsunąć...

— Łatwo to rzec. Ale sposób?

Szczerb na tył głowy odrzucił kołpaczek, czoło srodze namarszczył i trzeć je począł. Natężenie myśli z trudem mu przychodziło.

— Ba! — rzekł wreszcie uradowany. — Sposób jest — i gładki...

— Jakież?

— Włocha w łeb i do Wisły, a Wieżę podpalić, by Jurach drapnął!

Dziewczyna zwróciła nań oczy zdziwione.

— Waści żarty się trzymają... — rzekła.

— Co zaś! — odparł urażony. — Nie do żartów mi. Chcesz waszmościanka? — pójdę zaraz i com rzekł, zrobię! Jakem Szczerb!

Wstał z ławki, do odedjścia gotów.

Dobra spojrzeniem go zatrzymała.

— Ja wiem sposób gładzy — rzekła.

— Ciekaw go jestem.

— Mówiłeś waszmość, że on niebożę robotą się zabawia?

— Łańcuch wykuwa. Ale jaki łańcuch! na szyję króla chyba — albo królowej!

— Właśnie w tym rzecz. Najmiłościw-

szy nasz pan artystą jest i w sztukach się kocha. Giana wypuścił za to, że śpiewa cudnie — czemuż by nie mógł postąpić tak samo z Jurasem, który jest mistrz w złotnictwie.

— Hm... bez urazy waszmościanki... mój sposób gładzy i prędzy!

— Zatrzymamy go w zapasie. Tymczasem waszmość łańcuch mi ów przynieś.

— Chciałabyś waszmościanka sama z nim iść do króla?

— Nie; do królewskiego złotnika tylko.

— Do Redura?

— Tak. Przyjaciel to stryjków, a i Zawisłakom przychylny.

— Ha, pomagaj Bóg! U Jura będę i łańcuch przyniosę. A teraz pora już mi odejść.

Podniósł się z ławki i ferezję na sobie obciągnął, a wasy rozczapierzył.

Dobruchna nie wstawała. Ze spuszczonej oczyma, z twarzą nagle posmutniała, szepnęła cicho:

— A o sobie nic-że mi waszmość nie powiesz?... —

O sobie? — zadziwił się Szczerb. — Alboż to we mnie jest co ciekawego? Rodzic mój uszy zatyka, gdy o synu mówią — cóż dopiero obcy!

— Ja bym przecie dowiedzieć się czegoś rada. Choćby o trzech garściach owych — dodała weselej niby, do uśmiechu się zmuszając.

— Ano — odrzekł w tymże tonie Szczerb — garść ostatnią przedstawia w tej chwili podobieństwo do mnie: jest na wychodnym...

— Kończy się?

— Tak nawet jakby już się skończyła.

— Cóż będzie?... —

— Dobrze będzie. Pan Lisowski werbunek urzędują: pójdę i ja za innymi. W pułku czerwieńce niepotrzebne.

Dziewczyna bardziej jeszcze posmutniała.

— Rzucić chcesz waść Warszawę? — szepnęła.

— Mamże czekać aż ona mnie rzuci?

— I... i... — wyjąkała z trudnością, jakby jej coś w gardle przeszkadzało — cknąć się waszmości nie będzie?

— Hej! — wykrzyknął raźnie, z oczyma błyszczącymi — w polu, na twardej kulbace, nikomu się nie cknę!

Dobra wstała w milczeniu i w milczeniu pożegnanie młodzieńca przyjął. On, rękę jej całując, w oczy chciał spojrzeć, ale mu je schowała. Nie stracił rezonu i rzekł jeszcze:

— Jakby z łańcuchem zawiodło to... jam gotowy!

Odszedł szybko, z głową podniesioną, z ruchami junackimi. Nagle jednak, przy furcie już samej, zawrócił. Ku Dobruchnie, w jednym miejscu wciąż stojącej, pobiegł, i rzekł śpiesznie:

— A com mówił, że mi się cknąć nie będzie, to... nieprawda.

I śpieszniej jeszcze wybiegł z ogródka.

Niewiasty miewają często szczęśliwe natchnienia. Nie upłynęło tygodnia, a już cudny ów łańcuch, wykuty, albo raczej wypieszczony przez Jura, znajdował się w rękach królewskiego złotnika.

Reduro, człowiek skryty, milczący, a może i zawistny nieco (i między mistrzami to się zdarza), obejrzał dzieło kolegi z uwagą: najpierw gołym okiem, potem przez szkła powiększające, lecz o wartości jego ani słowa nie rzekł. Chowając klejnot do szkatuły dębowej, mruknął:

— Dobrze. Jutro Najjaśniejszy rzecz tę zobaczy...

Gdy nazajutrz rozwieszono przed królem ów majstersztyk, którego każde ogniwo co innego wyobrażało, ukoronowanemu dyletantowi powieki drgać zaczęły. Był to jedyny znak wzruszenia na tej twarzy woskowej...

A jak na toż, zbierał się właśnie król w tym czasie małżonce swej dar piękny ofiarować, w nagrodę za ostatniego synaczka. Postanowienie jego szybko dojrzało; głową kiwnął przyzwalając i rękę po klejnot wyciągnął.

Przesuwając między palcami ten fantastyczny różaniec kwiatów osobliwych, ptasząt rajskich, anielskich główek itp., pytał o artystę, który go wyśnił i w kształty zaklął.

Reduro wymienił nazwisko...

Okazało się, że królowi Zawisłacy obcy nie byli. Ze starym naradzał się nieraz nad modelami naczyń świętych. O talencie młodego również coś był zasłyszał.

Wówczas mistrz nadworny, w imieniu starej matki Jura, a i swoim też (boć braćmi byli w sztuce), do stóp monarchy suplikę pokorną złożył. Czyż godzi się, aby młodzieńszek tak zacny jedną chwilę krewkości półrocznym zamknięciem opłacać miał? A jego matka sparaliżowana za jakież winy pokutę taką cierpi?... —

Król wysłuchał, oczów od arcydzieła trymanego nie odwracając, potem rzekł krótko:

— Marszałka tu prosić.

Wynik tej konsultacji niedługo dał czekać na siebie. W kilka dni później zamkniętemu w Wieży Okrągłej Jurowi przyniesiono sto dukatów w woreczku z herbem Wazów, a staroście rozkaz natychmiastowego wypuszczenia młodzieńca na wolność.

Tegoż dnia wieczorem Jur, płacząc z radości, klęczał u kolan matki swej, w dworku na Podwalnej. Staruszka (przed którą prawdę zatajono) witała syna, jako z dalekiej drogi wracającego. I ona miała łzy w oczach, a pochylając się nad jedynakiem, drżącym głosem mówiła:

— Dobrześ, synusiu, zrobił pośpieszniejszy... Matkę twoją czeka wkrótce dalsza jeszcze droga — cóż byłoby, gdybyś się z nią nie pożegnał?... —

Potem przyszła kolej na sprawy domowe, które pod niebytność Jura bardzo upadły. Pieniądzy na gwałt było trzeba...

— Ale łaska Boża z nami — zakończyła utyskiwania. — Dziś właśnie o zmierzchu cudzoziemiec tu był jeden i robotę zamówił. Robotą niepowszednia, na sto dukatów...

— Magnat to być musi... — zauważył młodzieniec. — A robotą owa jaka?

— Łańcuch białogłowski, kanak ze złota szczerego. Kamieni żadnych nie chce, ale robotą ma być na schwał misterna. Ogniwo każde, mówił, co innego niech wyraża. Ozdób żadnych, jeno kwiatki, ptaszęta i główki anielskie...

— Kanak białogłowski... kamieni żadnych... kwiatki, ptaszki i aniołki... Ależ to kropla w kroplę łańcuch, jaki król wziął dla królowej!...

— Właśnie i on to mówił. Podobien ma być zupełnie królewskiemu...

Jur głową pokręcił, dziwiąc się.

— I któż on zacz? — spytał.

— Przejezdny jakiś. Szwed pono. Z samym nie gadałem, jeno z dworzaninem jego, który polskiego języka uczony...

— Ha! — wyrzekł Jur, pomyślawszy trochę. — Szwed, nie Szwed — dukatami płaci, robotę wziąć trzeba. Czerwieńce przydadzą się, nieprawda matko?

— Oj prawda! — przytaknęła.

— Wreszcie pamiętać nie zawadzi o tym, czego w szkole uczono. *Labor omnia vincit improbus*...³⁾

Zawisłakowa westchnęła...

— Nieraz-em to od rodzica twego w złych okazjach słyszała... — głosem wzruszonym rzekła.

— Ha! prawda w tym tkwić musi.

¹⁾ łac. „O pogardzeniu światem”.

²⁾ łac. „O naśladowaniu Chrystusa”.

³⁾ łac. ciężka praca przewycięża wszystko.

Młodzieniec poweselał. Po izdebkach niskich kręcił się, rzecz każdą brał do ręki, długo nie widziane kąty opatrywał. Matka mówiła o tym, o owym — on na wszystko odpowiesz miał wesołą i otuchy pełną.

— Cóż Szeliżanka? — zagadnęła wreszcie. — Dawno mnie już o niej wieść żadna nie doszła. Będzie-ż z mąki tej chleb?...

To go od razu z tonu zbiło.

Nic nie odrzekł, ale wraz sposepniał, na ból głowy i na niewywczaś skarżyć się począł...

Niebawem też matkę na dobranoc ucałował i spać legł.

A nazajutrz, o świcie samym, siedział już na górze zamknięty i nad kanakiem zamówionym pracował.

XIII

DALSZE OGNIWA TEGO SAMEGO ŁAŃCUCHA

— Zapisali się już: Zuzel, Krzywoszewscy obydwaj, z Konopiaków jeden...

— Starszy!

— Nie, młodszy. Dalej: nowomieszczań pięciu, Gajda ze starostwa, kalikator od Świętego Ducha, kuśnierż Kot, co mu żona i dziatek dwoje pomarło, pogorzalców kilku z Rybitwy, płatnerz jeden, cyrulików dwóch. Jandrzych Safraniec kwapił się za innymi, ale go nie przyjęto, bo koślawy i żółtego włosa...

— I kiedyż pod chorągiew stajecie?

— Jak skoro zapis dziesięciu secin dosięże? Za dwie, trzy niedziele.

— Munderunek dają?

— Ladażaki. Konia dostać można, choć lepiej mieć swojego. Uprząż prosta: siodełko krótkie, wędziłko małe a mocne. Strojów i błyskotek ani poświeć. Zelaza tyle tylko, co na szablę i pod kopytami końskimi.

— A zbroja?

— Właśnież w tym rzecz, nic, co by ciężyło. A więc ni pancerza, ni tarczy, nie przyłbicy, żadnych też blach na konia, naramienników i nagolenników...

— To was, niebożęta, rozsieczą!

— Nie stoimy o to. Śmierć to śmierć. Nie darmo przecie „straceńcami” nas zowią...

— Chyba-ć wam żywot niemiliły...

— Prawie. Jedni radziby go pozbyć się, jak brzemienia, co uciska; inni nie mają go za jaje... Komu miękko a słodko, do pana Lisowskiego nie idzie. A kto idzie, wie, co go czeka. Śmierć? — wielkie rzeczy! Koziołek z tej strony na tamtą.

— Mędrkować, widzę, poczynasz...

— Zgadłeś, robi się ze mnie *philosophus*¹⁾. Na tym świecie trzeba mieć jedno z dwojga: czerwieńce albo filozofię. Komu zbywa i na tym i na tamtym, pogardy godzien. Ja pierwszy w oczy mu napluję — jakem Szcerb!

Junak wstał przy tych słowach, ramiona rozłożył, przeciągnął się i przeraźliwie ziewnął.

— Nie pójdziesz na wino? — rzekł do towarzysza, który przez cały czas rozmowy nad warsztacikiem swym garbił się, młotkiem stukał, pilnikiem tarł, metal topił i spajał. — U Agły nasi się zbierają. Huczek tam teraz ciągly od rana do wieczora.

— Wiesz, że nie wychodzę — odrzekł Jur. — Matka prawie że konająca, a prócz siostry zakonnej nie ma przy niej nikogo. Przy tym łańcuch ten przeklęty na gwałt wykonać muszę. Szwedzisko codziennie nasyla pokojowca, o pośpiech nagląc. Dziś na wieczór robota ma być gotowa. Inaczej sto dukatów przepadnie...

— Racja jest. O Szweda mniejsza, ale dukatom szacunek się należy.

Młody złotnik odłożył narzędzia, na rękę wsparł się i wzrok smutny w przestrzeń posłał.

— Jeden jest jeszcze powód, dla którego w domu więzić się wolę — rzekł smutno. — Ty go znasz. Oto lękam się spotkania z wrogiem swym — i z nią. Marszałkowi słowo-m dał, że zwady unikać będę. A i jej wolę tymczasem nie widzieć. Dopiero gdy stary Szeliżanka powróci, dowiem się, com wart i co życie moje warte. Słowo rodzica losy moje przeważą.

— Może same one rychlej się jeszcze prze-

ważą... — mruknął Szcerb, czapkę nakładając i wychodząc.

Po odejściu towarzysza Jura pracował ze zdwojonym zapałem. Pot występował mu na czoło, siły słaby (nocy kilka przy chorej matce bez snu przepędził) — nic go jednak zmóc nie było w stanie. Drżącą ręką spajał ogniwa, słabymi płucami w dmuchawkę dał i złoto mialkim proszkiem ostatecznie wygładzał.

Z dołu dochodziły jęki chorej matki. Starzał się ich nie słyszeć, bo lękał się opóźnienia w robocie. Mimo to każdy z jęków owych, jak żądło gada, w serce mu się wpijał... Wreszcie, już o zachodzie słońca, podniósł się ze stołka, plecy zgarbione wyprostował i, jak człowiek pozbywający się wielkiego ciężaru, z głębi piersi odetchnął...

Łańcuch był skończony.

Obejrzał go raz jeszcze, odkurzył, odmuchał, potem do szkatułki zawczasu przygotowanej schował i zeszedł na dół.

Matkę zastał dogorywającą. Spoczywała w swym krześle poręczowym wyprężona, sina, z odkrytym ramieniem, na którym astrolog znaki kreślił kabalistyczne.

W kącie, przy okiennicy do połowy odemkniętej, zakonnica czytała w głos modlitwy. Ledwie miał czas klęknąć u stóp staruszki i kilka słów pociechy szepnąć, wbiegł famulus z wiadomością, że Szwed ze sługą swym po robotę zamówioną przybyli.

Wyszedłszy do pierwszej izby, spostrzegł cudzoziemca, który, jakby umyślnie w najciemniejszy kąt się zasunął. Skłonił mu się w milczeniu, podał szkatułkę i do lampy sięgnął, aby ją zapalić.

Szwed powstrzymał go gestem...

— Pan mój — rzekł sługa — oczy ma chore. Blasku mocnego nie znosi...

Pozostano więc w półmroku.

Gość szkatułkę otworzył i z łańcuchem w rękę przystąpił do okna. Wysoki kołnierż płaszcz a nasunięty na oczy beret, któregoś wchodząc nie zdjął (uchodziło to wówczas — szlachcicowi zwłaszcza w gościnie u plebejusza), maskowały go całkowicie. Trudno było nawet zgadnąć: młody jest, czy stary?

Przy słabym świetle — tym słabszym, że tuż naprzeciw mur wznosił się obronny — obejrzał uważnie łańcuch, każde jego ogniwo palcami długimi obmacał. Nie wiadomo, co twarz jego wyrażała, ale ogledziny skończywszy, kilkakrotnie kiwnął głową w sposób wyrażający zadowolenie.

Zaraz też słudze swemu zlecił coś półgłosem.

Sługa dobył spod łosiowego kaftana trzos tego wyładowany i wykładając ją na stół du-

katy. Dukaty te błyszcząły mocno, jakby je przed chwilą dopiero spod mincarskiego stempla wyjęto.

Gdy już setka była ułożona, Jur zbliżył się do stołu, pieniądze zliczył i do mieszka zgarnawszy, w kieszeń schował.

W tej chwili gość, stojący wciąż przy oknie, skinął na sługę i głosem przyciszonym długo mu coś powiedział. Prawiąc, na łańcuch raz po raz wskazywał.

— Pan mój — rzekł sługa, do Jura się zwracając — zapytuje, czy na zapince łańcucha można jeszcze liter kilka wyrzeć?

— Można — odpowiedział młodzieniec. — Tu oto papier i inkaust; niech pan twój siadzie i litery owe napisze.

Gość żądanie spełnił.

— G.B. i B.S. — przeczytał Jur, obojętne spojrzenie na papier rzuciwszy. — Czy litery wyrzeć mają w tym porządku, jak je napisano? — spytał.

Sługa, porozumiewszy się z panem, pośpieszył z objaśnieniem:

— Pierwsze dwie mają być w parze i drugie dwie w parze. Następnie obie te pary łączyć się winny ze sobą tak, aby jedną całość tworzyły.

— Dobrze — wyrzekł młodzieniec i raz jeszcze na papier spojrział.

Ale w tej chwili myśl mu straszna przez głowę przebiegła...

— Cóż to? — mruknął do siebie, czoło ręką pocierając. — Najpierw G. i B., potem B. i S. — Czyżby?... Ależ tak, do pioruna! — krzyknął nagle, w stół pięścią uderzając — G. i B. to znaczy Giano Baldi a B. i S...

Nie dokończył i z ręką do góry podniesioną na cudzoziemca się rzucił.

Ale cudzoziemiec i sługa jego za progiem już byli.

Wybiegł za nimi, jak wściekły, i zębami zgrzytając, gonić jął uciekających.

W bramie Wiślanej, otwartej jeszcze, udało mu się pochwycić za płaszcz mniemanego Szweda. Płaszcz rozchylił się i z fałd jego wyjrzała suchotnicza twarz Fabia...

Zaraz jednak Włoch silnym szarpnięciem wyrwał się i pomknął pod górę, w stronę Rynku. Ludzie gęsto się tam snuli i tłok panował znaczny. W tłoku gonitwa była trudniejsza i Jur, pracą długą wycieńczony, uczuł, że już za uciekającym nie zdąży...

¹⁾ łac. mędrzec, filozof.

Dalszy ciąg nastąpi

UWAGA! JUŻ WKRÓTCE „FILIŻANKA CZARNEJ KAWY”

— NOWA POWIEŚĆ
SENSACYJNO-KRYMINALNO-OBYCZAJOWA
BARBARY GORDON

Do małego polskiego miasteczka przyjeżdża starsza, nikomu nie znana kobieta. Wsiada w taksówkę. Jedzie do miejscowego sędziego. W chwilę później rozgrywa się tragedia. Nad zwłokami dwóch osób lekarze, milicja, pielęgniarka... Przypadek? Zbrodnia z premedytacją? A może porachunki z czasów ostatniej wojny?

W dociekaniu tym polska Agata Christie — autorka „Filiżanki czarnej kawy” Barbara Gordon poprowadzi czytelników w sposób niezwykle zajmujący. Akcja książki rozegra się wartko, interesująco, z napięciem, które pozostawi w was jakiś ślad. Warto więc czytać. Warto, choć nie znajdziecie w niej taniej sensacji, ani kliwów opowieści, ani o duchach, czarach czy wdziałach. Nie będzie też przysłowiowego trupa w wannie. A jednak znajdziecie pasjonującą opowieść z życia, wielce prawdopodobną w każdym miasteczku, w każdym zakątku świata. Jeżeli spojrzycie głębiej i

wnikliwiej na otaczających was ludzi. Takim obiektywem widzi rzeczywistość Barbara Gordon. Daje temu wyraz na kartach krótkiej, ale fascynującej powieści pt. „Filiżanka czarnej kawy”.

Czy tylko o kawę i ewentualną truciznę będzie tu chodziło przekonają się Czytelnicy już po przeczytaniu kilku szpalt pierwszego odcinka powieści, której druk rozpoczniemy w najbliższym czasie.

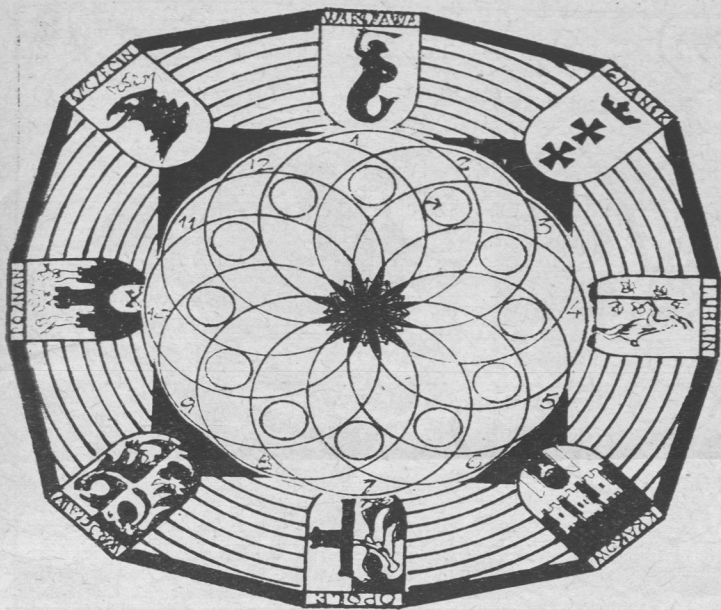
Czy znajdziemy mordercę? A może morderców.

Nawet niejedyn Czytelnik — miłośnik powieści kryminalnych pomylił się w domysłach już na wstępie. A może morderca nie zostanie wykryty?

Pytania takie i podobne mnożyć się będą w trakcie lektury „Filiżanki czarnej kawy”. Aż wreszcie rozwiązane zostaną w sposób następujący... Jaki? Przekonacie się o tym już wkrótce.

Rozrywki umysłowe

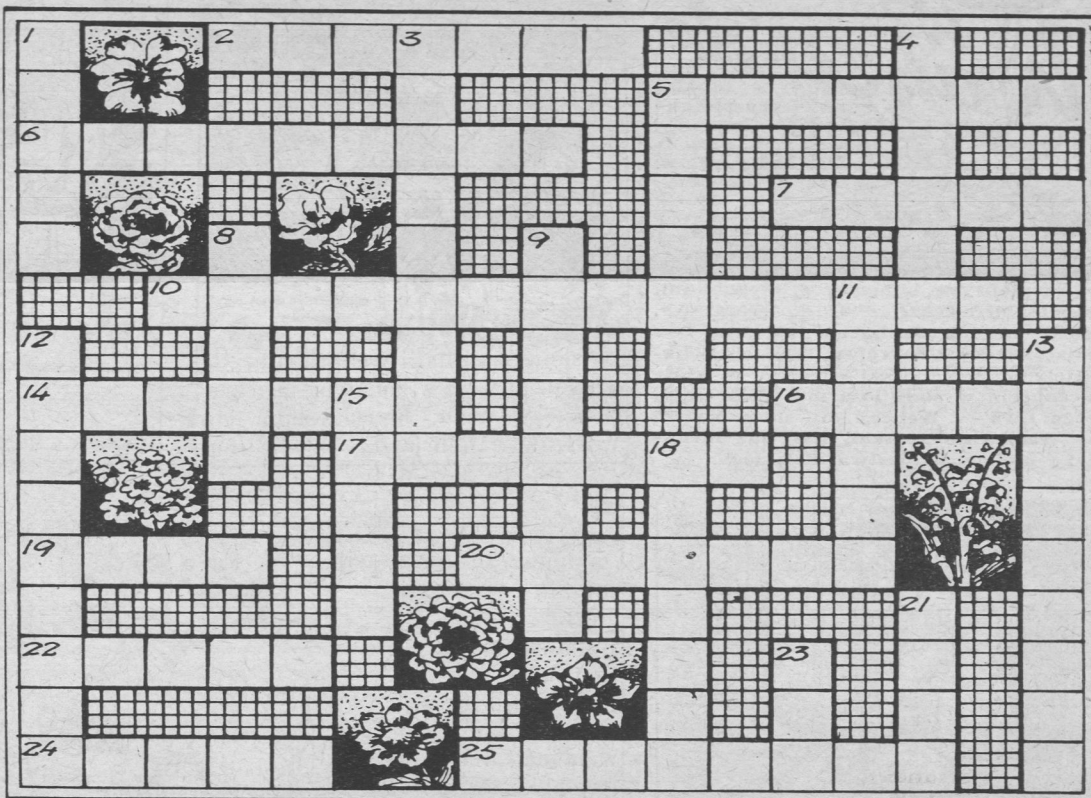
KWIATY POLSKIE



ROZETKA

Prosimy odgadnąć 12 wyrazów 5-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je prawoskrętnie dośrodkowo do zamieszczonego rysunku. Litery, które się znajdują w polach z kółkami, czytane w kierunku ruchu wskazówek zegara dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
 1) święty klucznik rajskej bramy, 2) ozdobny zyrandol wiszący, o licznych ramionach, 3) przeciwieństwo pokory, buta, 4) tygrysi paznokieć, 5) tablica kamienna tafla, 6) pośrednik w złodziejskim handlu, 7) wartki strumień górski, 8) ciała ciekłe, ciecze, 9) przeciwieństwo wojny, 10) zapal, umiesienie, 11) skrzydła samolotu, 12) arlekin, biazen, trefniś cyrkowy.



Rozwiązanie krzyżówki z przysłowiem z nr. 26

RADA BY DUSZA DO RAJU, ALE GRZECHY NIE PUSZCZAJA.

POZIOMO: 1) patera, 4) Majdanek, 9) czeresnie, 10) zakos, 12) lazur, 13) zdrajca, 14) zniewaga, 16) zapasy, 18) natura, 20) przepych, 24) narybek, 25) kasek, 27) frant, 28) teatroman, 29) rozpałka, 30) asysta.

PIONOWO: 1) puchacz, 2) trefl, 3) Rzeszów, 5) areszt, 6) dozorca, 7) koszary, 8) intryga, 11) kajdany, 15) interna, 17) traktat, 18) nenufar, 19) rybitwa, 21) ekspres, 22) hulanka, 23) skutek, 26) kumys.

WIRO-KRZYŻÓWKA

WIROWO (dookoła liter w kółkach, początek i kierunek wpisywania wskazują strzałki): A) wybitny pisarz polski, autor „Ludzi bezdomnych” i „Szyfowych prac”, B) człowiek dwulicowy, hipokryta, C) obwiniony, oskarżony pociągnięty do odpowiedzialności przed sądem, D) wyższa uczelnia albo uroczystość ku czci, E) uciążliwe zabiegi, kłopotliwe starania, F) słomiany dach, G) ptak domowy w białe kropki, perliczka, H) puchowe materace, bety.

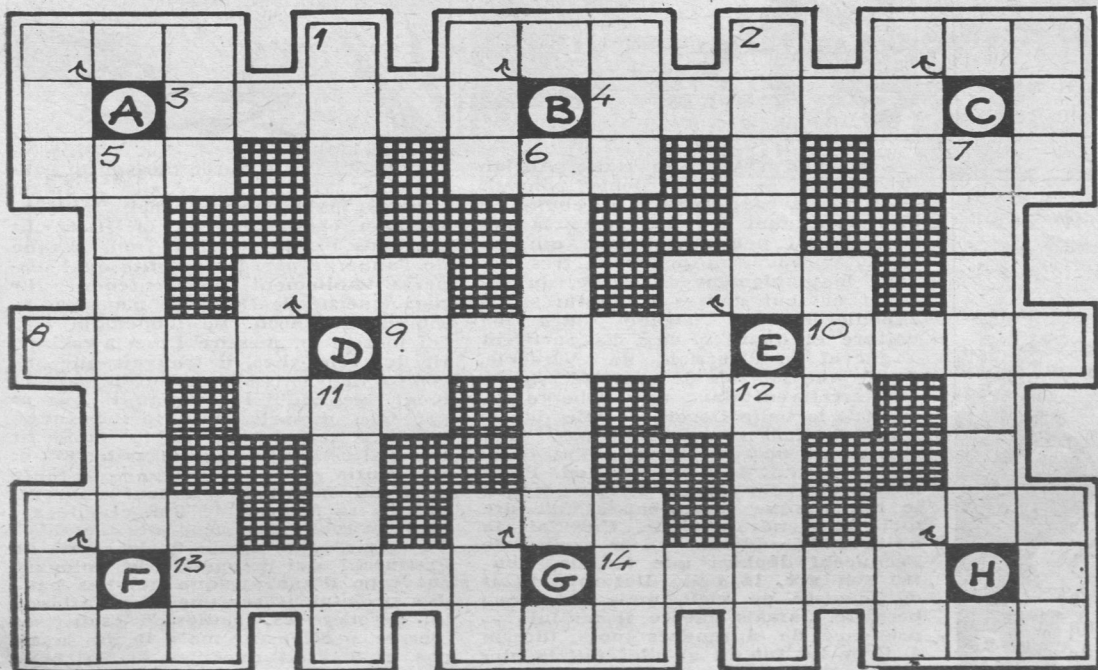
POZIOMO: 3) lekka chmura, 4) obrażenia ciała, 8) od-

kryty wagon towarowy, platforma, 9) straża ponoć w starych zamczyskach, 10) spłaszczone koło, 13) swar, spór, kłótnia, 14) żałobne wiersze J. Kochanowskiego.

PIONOWO: 1) rodzinne miasto wybitnego poety W. Broniewskiego i stolica polskiej petrochemii, 2) umówiony wyraz rozpoznawczy wartowników, 5) produkt zastępczy, namiastka, 6) pouczający wniosek z przykrych doświadczeń życiowych, 7) napadowe kurcze mięśni, konwulsje, 11) pouczający sens przypowieści, 12) podstawowe danie na koński stół.

Zadanie to jest krzyżówką, ale nieco inną niż te, jakie bardzo często publikujemy, w których odgaduje się znaczenia wyrazów i następnie wpisuje się je do odpowiednich kratek rysunku. W tej krzyżówce nie trzeba sobie łamać głowy nad odgadywaniem znaczenia wyrazów, bowiem wyrazy te mamy podane niżej w grupach o odpowiednich ilościach liter i są nimi kwiaty polskie. Zadanie polega na tym, aby zadać sobie nieco trudu i znaleźć właściwe miejsce w kratkach podanego rysunku dla poszczególnych kwiatów, czyli po prostu ułożyć krzyżówkę. Przyjemnej zabawy!

Wyraz 3-literowy: BEZ



Wyrazy 4-literowe: RÓŻA, LIPA

Wyrazy 5-literowe: KĄKOL, MIŁEK, LILIA, OŻYNA, ASTER, TARKA, IRYSY

Wyrazy 6-literowe: WIDLAK, JAŚMIN, JEŻYNA

Wyrazy 7-literowe:

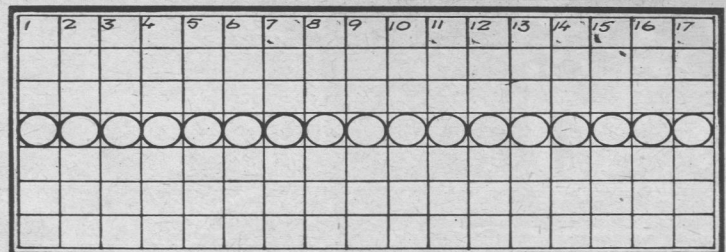
GOŹDZIK, JASKIER, TULIPAN, SASANKA, PIWONIA, KROKUSY

Wyrazy 8-literowe: KONWALIA, GORYCZKA

Wyrazy 9-literowe: KACZENIEC, DZIEWANNA, STOKROTKI, NASTURCJA

Wyraz 14-literowy: NIEZAPOMINAJKA

LOGOGRYF Z PRZYSŁOWIEM



Prosimy odgadnąć 17 wyrazów 7-literowych o podanych niżej znaczeniach oraz jednakowych literach początkowych i wpisać je pionowo do odpowiednich kratek rysunku. Litery, które się znajdują w polach z kółkami, czytane poziomo dadzą tekst przysłowia.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
 1) stały przegląd wydarzeń bieżących w prasie, 2) pierwszy po Bogu na statku, 3) ogonek, 4) straganiarz, 5) żabie niemowlę, 6) dramat J. Słowackiego, 7) niesprawiedliwość, 8) krokodyl amerykański, 9) żołnierze w szyku marszowym, 10) nadzorca folwarczny, ekonom, 11) powłoka na koldrę, 12) bliższa ciału niż sukmana, 13) wczesny letnie dla dzieci i młodzieży, 14) zwierzęta australijskie o przednich nogach krótszych, 15) dzielnica Zakopanego ze stacją kolejki linowej na Kasprowy Wierch, 16) znaczna suma pieniędzy, większa gotówka, 17) mowa z ambony.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu trzech tygodni od

daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane

**NAGRODY
KSIĄŻKOWE**

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
 Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
 C.C.P. 92.20.76 Paris

34/7 rue Chausteur, Lodelinsart
 Mme OI, Kuc
 C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
 półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
 rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur

Général: Danuta
 JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,
 Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

Cajanova w Warszawie

napad OPRYSZKOW

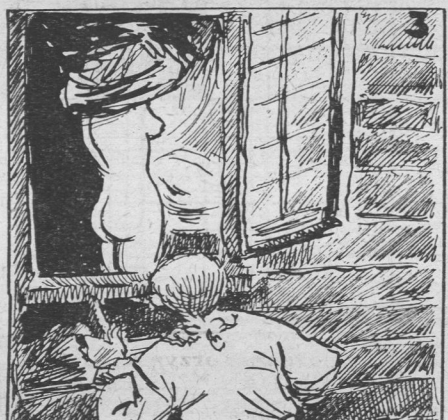
Na dobrych koniach, z niewielkimi tobołkami, jechali obaj do Warszawy, gdzie hr. de Frenucchi posłannictwo miał zawieźć. Sekret to był, choć kasztelan Przecławski wiedział, iż hr. de Frenucchi wysłała łoża masońska „Złotego Lwa” z Wenecji, by się z braćmi w Warszawie spotkał. Byli już niedaleko stolicy Królestwa Polskiego.



Ze słonecznej Italii wędrował hr. de Frenucchi wraz z bogatym szlachcicem Adrianem Przecławskim do Warszawy. Mieli jeszcze dzień drogi



Dorota bała się, ale Imć Przecławski udawał, że niczego nie dostrzega



Skoro tylko ciemność zapadła, przystawiał drabinę, wchodził ostrożnie



Nikt jeszcze nie mówił tak do pięknej Doroty, którą w młodości za starego i bogatego wydano karczmarza. Zdawało się jej, że zaświecił dla niej promyk miłości...



Piękne chwile nie trwały długo;



Hr. de Frenucchi jak kot zeskoczył po drabinie, zaraz ją odstawił. Szybko dosiadł konia, lekkim klusem odjechał w noc, by za chwilę wrócić z krzykiem i hałasem, jakby goniąc zbrojców. Pijany karczmarz dał się zwieść



Następnego ranka w gospodzie



Hr. de Frenucchi znał polską mowę i rozumiał, czym grożą zmagający się opryszkowie. Nie wiedział, że chodzi o piękną panią, która rankiem do karczmy na krótki popas przybyła

Lors d'un voyage en Italie, Adrian Przecławski — riche noble polonais — a fait la connaissance du comte de Frenucchi dont le succès auprès des femmes est peu commun et qui, en outre, éprouve un penchant très net pour le maniement de l'épée, du pistolet et tout genres d'aventures. Ils expédièrent leur bagage lourd en voiture et quant à eux, ils partirent à cheval en direction de Varsovie. Après une journée de route (dessin 1), ils s'arrêtèrent dans une auberge où, résidait la belle Dorothée. Afin que le comte italien ne succombe pas trop vite à son charme, messire Przecławski en avertit le comte italien. Point n'en fut besoin (dessin 2), vers le soir, le romanesque comte laissa entendre qu'il lui rendrait visite. Une fois la nuit tombée (dessin 3), le comte de Frenucchi déplaça une échelle. Contre son gré, la belle Dorothée avait dû épouser un vieil, mais riche aubergiste. Jamais encore il ne lui fut prononcé de si tendres mots, (dessin 4) il ne lui fut dit qu'elle était la plus belle. Mais les merveilleux instants

furent de courte durée (dessin 5), l'aubergiste ivre, s'en venait. L'amant sauta sur le sol, écarta l'échelle, enfourcha son cheval (dessin 6) et revint à grands bruits simulant une attaque de l'auberge par des bandits qu'il dispersa habilement, bien entendu. Le mari éméché de Dorothée n'eut pas le moindre soupçon. Le lendemain matin (dessin 7), messire Przecławski lui fit des reproches, il trouvait que son compagnon agissait par trop rapidement, bien qu'il lui reconnût „que sa présence d'esprit était fort grande”. Dans ce temps, une noble dame fit une halte à l'auberge (dessin 8) et elle confia à son compagnon de route qu'il lui fallait absolument parvenir jusqu'à sa Majesté le Roi, et elle assura „n'avoir pas peur des bandits”. Ce même jour (dessin 9), le comte de Frenucchi qui entendait le polonais eut écho d'une attaque que les bandits projetaient sur une dame afin de lui dérober ses „cailloux”, soit ses pierres précieuses, mais il ne savait pas qu'il était question de la belle et jeune femme entrevue le matin.

„Piękne kobiety w tym Regnum Poloniae”, myślał sobie hr. de Franucchi. Karczmarza urodziwa, o włosach jasnych, prawie jak słońce. Rankiem przybyła jakaś młoda osoba, zdaje się bogata, którą z ogromnym szacunkiem traktował starszy po polsku ubrany towarzysz podróży. Czymś zasmucona była ta dama i jakiś niepokój oboje ogarniał, ale tego hr. de Franucchi nie pojmował. Myślał o Dorocie i już chciał namówić Imię Pana Przeclawskiego, by w zajezdzie jeszcze dłużej zostali, skoro przegody tu takie miłe sercu, a odpuścić przed wyjazdem do stolicy królewskiej — też wypada. Miało się jednak stać inaczej...



„Splendides sont les femmes en Regnum Poloniae” — songeait le comte de Frenucchi. L'aubergiste est ravissante. La dame de ce matin était jeune, son compagnon de route, un homme âgé habillé à la polonaise, la traitait avec beaucoup de déférence. La dame paraissait affligée, une certaine inquiétude les agitaient tous les deux. Mais le comte de Frenucchi ne pouvait en deviner la raison. Il pensait à Dorothee et voulait proposer à Messire Przeclawski de prolonger leur séjour à l'auberge. Il devait en être autrement. Quand les bandits enfourchèrent les chevaux (dessin 1), le comte de Frenucchi raconta à son compagnon avoir entendu les bandits convenir d'une attaque sur une „certaine femme de voïvode”. Messire Przeclawski poussa un cri, il était sûrement question de la jeune dame. Toutefois, la voïvode Sedzimirska continuait sa route, les bijoux cachés dans une bourse de cuir qu'elle tenait dans son corsage (dessin 2). Dans la forêt entourant Varsovie, à trois lieues de l'auberge, les brigands attaquèrent la voiture et eurent vite fait de trouver la cachette aux bijoux (dessin 3). Alors qu'ils s'apprétaient à prendre la fuite (dessin 4), les deux cavaliers apparurent et ils se lancèrent aussitôt à la poursuite des bandits. L'un des bandits fut abattu sur le champ, quant à l'autre, son cheval trébucha, culbuta et se cassa une jambe (dessin 5). Le bandit grimpa à un arbre (dessin 6) mais le comte de Frenucchi fit feu (dessin 7) le bandit tomba de l'arbre, blessé. Les deux cavaliers traînèrent le blessé jusqu'à la voiture et l'y attachèrent (dessin 8). Ils chargèrent le butin des bandits sur le cheval du comte de Frenucchi qui s'en fut s'installer dans le carrosse (dessin 9) et promettre aide à la belle voïvode dans ses démarches auprès du Roi, et aussi l'escorter jusqu'à Varsovie.



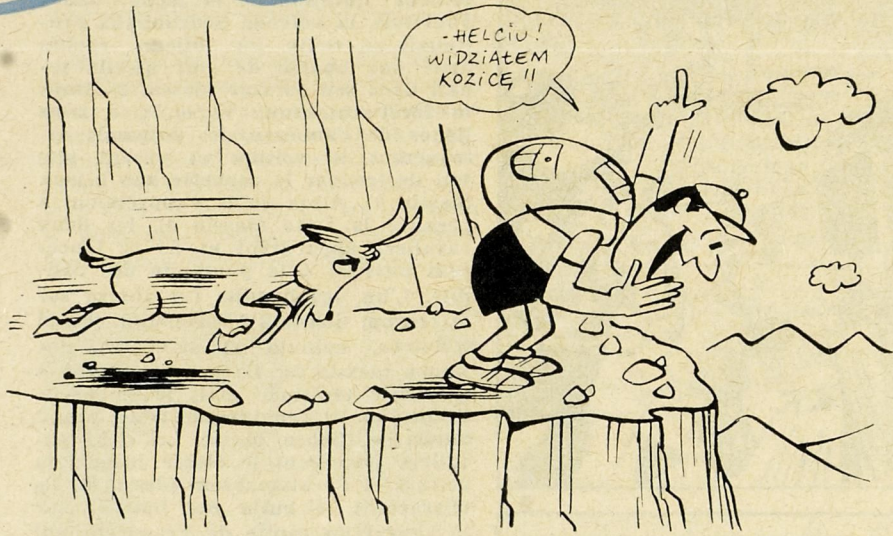
Następna przygoda:
„MASON U KRÓLA”



SELUZE SZPADA, KRÓCIĄ I CAŁYM SOBA,

Zabitego zbójcę zostawiono wilkom na pożarcie, a rannego przytoczono do karety. Hrabia i kasztelaniec obiecali pomoc pięknej wojewodzynie i to, że aż do Warszawy będą stale jej towarzyszyć i u samego Króla Jegomości jej starania rychło przedstawią

"W GÓRY, W GÓRY MITY BRACIE!"



- HELCIU!
WIDZIAŁEM
KOZICĘ !!

- Helek, j'ai vu un chamois!

- NO, DOBRZE,
ALE POCOŚMY TU
WŁAŚCIWIE PRZYSZLI ?!



- D'accord, mais pourquoi sommes-nous venus ici?

- POŻYCZCIE MI,
GAZDO, NA CHWILĘ
TEGO BARANA! ZA-
POMNIAŁEM ZABRAĆ
KORKOCIĄG!



- Berger, prêtez-moi un instant votre bétier, j'ai oublié mon tire-bouchon.



- JAK TO,
WRACASZ BEZ
SZAROTKI
DLA MNIE ?

- Et tu reviens sans edelweiss pour moi?

- STUCHAJ,
JAKA TO MOŻE BYĆ
WYSOKOŚĆ ?..



- Ecoute, à quelle hauteur pouvons-nous bien être?

- NIE WIEDZIAŁEM,
ŻE Z CIEBIE TAKA
WYGODNICKA !..



- Je ne savais pas qu'il te fallait, à ce point, tes aises.

- JEST ŻEA,
ŻE TU ECHO
MA OSTATNIE
STOWO!



- Elle est furieuse de voir que l'écho a le dernier mot.